Rok 71-szy. № 1.

KURJER WARSZAWSKI



[C]ena niniejszego
Numeru
KOP. 15.

1891.

NAJBARDZIEJ ROZPOWSZECHNIONE PISMO POLSKIE

KURJER WARSZAWSKI.

Wychodzi codziennie, przy współpracownictwie najpierwszych sił literackich, w dni powszednie wieczorem a w Niedziele i Święta rano.

Nadto wychodzą stale w dni powszednie, z wyjątkiem dni poświątecznych:

BEZPŁATNE DODATKI PORANNE,

zawierające wszelkie najnowsze wiadomości z ostatnich 12-tu godzin. Tym sposobem czytelnicy otrzymują tygodniowo 7 półto[...] do dwuarkuszowych numerów głównych i 5 półarkuszowych *dodatków porannych.*

KURJER WARSZAWSKI

liczy rok 71 istnienia i jest w stosunku do bogatéj i urozmaiconéj swéj treści

NAJTAŃSZEM PISMEM POLSKIEM.

Warunki prenumeraty:

(wraz z dodatkiem porannym)

W Warszawie: rocznie rs. **9**, półrocznie rs. **4** kop. **50**, kwartalnie rs. **2** kop **25**, miesięcznie kop. **75**.

Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie kop. **5**.

Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. **12**, półrocznie rs. **6**, kwartalnie rs. **3**, miesięcznie rs. **1**.

Za granicą: rocznie rs. **18**, półrocznie rs. **9**, kwartalnie rs. **4** kop. **50**, miesięcznie rs. **1** kop. **50**.

Warunki ogłoszeń:

Małe ogłoszenia: za jeden *wyraz* po **2** kop. każdy raz.

Zwyczajne ogłoszenia: za jeden wiersz petitowy albo jego miejsce pierwszy raz **10** kop., każdy następny raz kop. **8**.

Nekrologia: za jeden wiersz [...]

Reklamy: za jeden wiersz [...]towy albo jego miejsce pierws[...] 25 kop., każdy następny raz [...]

Nadesłane: za jeden wiers[...]towy rs. **1**.

Na szczególną uwagę zasługuje dział *własnych telegramów* Kurjera oraz wiadomości z czynności oddziałów banku włościańskiego w Królestwie [...] z piérwszéj ręki czerpanych. W felietonie *Kurjer Warszawski* drukuje Przeglądy literackie i artystyczne, kroniki tygodniowe, najnowsze romanse, powieści [...] i humoreski najznakomitszych autorów polskich; nauka i sztuka traktowane są przez najznakomitszych popularyzatorów. W programat *Kurjera Warszaws*[...]dzą przeglądy polityczne, artykuły wstępne w sprawach społecznych, ekonomicznych, oraz innych bieżących krajowych i zagranicznych, wiadomości admi[...] tak miejscowe, jako też z prowincyi i innych krajów, głosy gazet ruskich i zagranicznych; sprawozdania sądowe i porady prawne, sprawozdania, kursa [...] giełdowe, zbożowe i z handlu wszelkiemi innemi produktami; wskazówki praktyczne dla gospodarstwa domowego; odpowiedzi od redakcyi na wszelkie za[...]telników; wiadomości kościelne i urzędowe, wykazy wylosowanych papierów publicznych, logogryfy, szarady, zadania arytmetyczne, szachowe i t. p; wr[...]szenia prywatne.

Wielka poczytność „Kurjera Warszawskiego, czyni go **najodpowiedniejszém pismem dla wszelkich ogłoszeń** [...]ność ta, którą co najmniej na kilka kroć sto tysięcy osób liczyć można, w połączeniu ze znakomitą liczbą exemplarzy w jakiéj „Kurjer Warszawski" się od[...]pewnia ogłaszającym się w nim najlepsze rezultaty i robi owe ogłoszenia w porównaniu z innemi pismami, nietylko **najtańszemi** ale samo przez się [...]**miernie taniemi.**

Wszelkie zlecenia ogłoszeniowe lub prenumeracyjne tak z miasta jak i z prowincyi natychmiast są załatwiane.

Przedpłatę przyjmuje się w każdym czasie, licząc jéj termin od każdego 1-go według kalendarza nowego stylu.

Prenumeratorowie „Kurjera Warszawskiego" nabywać mogą **po zniżonéj cenie** za nad[...]niem przedpłaty do Administracyi „Kurjera Warszawskiego".

POEZYE I DRAMATA

WACŁAWA SZYMANOWSKIEGO

w 5-ciu tomach, zamiast rs. 6 w Warszawie **tylko rs. 3**, a z przesyłką pocztową zamiast rs. 6 k. 60 **tylko rs. 3. kop. 60.**

ZBIOROWE WYDANIE DZIEŁ

ELIZY ORZESZKOWÉJ

w Warszawie zamiast po **rublu** po **65** kop., a na prowincyi z przesyłką pocztową zamiast rs. 1 kop. 15, po **85** kop. za tom. Dotychczas w taniem zbiorowem wydaniu dzieł Elizy Orzeszkowéj wyszło tomów 47, **które nabywać można dowolnie bądź pojedyńczemi tomami, bądź po kilka tomów razem,** lub téż seryami po 12 tomów za rs. 7 k. 80 w Warszawie, a 9.60 z przesyłką pocztową na prowincyę. Nabywający od razu 24 tomy, lub więcéj, jeszcze większe mają ustępstwo, bo płacą tylko rs. 15 w Warszawie, a przesyłką pocztową rs. 18 kop. 60; za 36 tomów zaś rs. 21 kop. 60 w Warszawie, a z przesyłką pocztową rs. 27; za 48 tomów rs. 28 kop, 80 w Warszawie, a 36 z przesyłką na prowincyę.

Tanie zbiorowe wydanie dzieł Orzeszkowéj, zawiera następujące prace téj znakomitéj autorki: „Ostatnia miłość".—„Z życia realisty."—„W klatce."—„Na prowincyi," tomów 2.—„Pamiętnik Wacławy," tomów 4.—„Pan Graba," tomów 3.—„Cnotliwi."—„Wesoła teorya i smutna praktyka."—„Na dnie sumienia," tomów 4.—„Marta."—„Eli Makower," tomów 3.—„Rodzina Brochwiczów," tomów 2. „Pompalińscy," tomów 2.—„Marya."—„Meir Ezofowicz," tomów 2.—„Sylwek Cmentarnik."—„Zygmunt Ławicz i jego koledzy."—„Niziny," z ilustracyami E. M. Andriollego. —„Dziurdziowie," z ilustracyami E. M. Andriollego.—Nowelle: „Z pożogi," „Za doliną róż," „Echo," „Sen Abarysa," „Pokociło się i dam nogę."—Stare obrazki: „Turia" „Hasło," „Asylum," „Legenda," „Nieśmiertelny," „Myszy morskie," „Kassandra," „Perła szczęścia," „Z greckich podań." — O kobiecie („O kobiecie polskiéj,"—„O kobiecie indyjskiéj," —„Listy o kobietach").— „Kilka słów o kobietach."—„Patryotyzm i kosmopolityzm," studyum społeczne.—„Cham." „Nad Niemnem" tomów 3.

Nowelle i obrazki z różnych sfer, tomów 5, które mieszczą: *Tom I:* „Początek powieści."—„Roztajne drogi."—„Syn Stolarza."—„Obrazek z lat głodowych"—„Szara dola." *Tom II.* „Stracony."—Dziwak."—„Pani Luiza." *Tom III:* „Sielanka nie różowa."—„Daj kwiatek."—„Zefirek."—„Złota nitka." *Tom IV:* „Julianka."—„Czternasta część."—„Silny Samson." *Tom V:* „Milord."—„Widma."—„Bańka mydlana."

WYBÓR POWIEŚCI

TEODORA TOMASZA JEŻA

Dachijszczyzna zamiast rs. 1 k. 20 w Warszawie **tylko** kop. **80**; — *Rotułowicze* zamiast rs. 1 k. 50 w Warszawie **tylko** rs. **1**, razem zamiast rs. 2 kop. 70 **tylko** rs. **1** k. **80**, z przesyłką pocztową rs. **2** kop. **10**.

POWIEŚCI HISTORYCZNE

HENRYKA HR. RZEWUSKIEGO

osnute na tle dziejów ojczystych, *Rycerz Lizdejko* rs. **1** k. **10** — *Zamek Krakowski* rs. **1** k. **35**, — *Adam Śmigielski* kop. **75**, *Zaporożec* rs. **1** kop. **10**, *Pamiątki starego szlachcica litewskiego* rs. **1**, *Listopad* rs. **1** kop. **35**, razem zamiast rs. 6 kop. 65 **tylko** rs. **4** kop. **45**, z przesyłką pocztową rs. 5 kop. 45.

Komplet powieści

JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO

składający się z 7-u tomów (p. t.: *Kollokacya* kop. 75. *Spekulant* kop. 75. *Wędrówki Oryginała* kop. 75. *Nowe Wędrówki Oryginała* w dwóch tomach rs. 1 kop. 20 *Emeryt* rs. 1 kop. 20. *Garbaty* rs. 1), zamiast rs. 5 kop. 95 w Warszawie **tylko za rs. 3 k. 60,** a z przesyłką na prowincyę i do Cesarstwa zamiast rs. 6 k. 85 **tylko za rs. 4 k. 10.**

KOMPLET POWIEŚCI

MICHAŁA BAŁUCKIEGO

składający się z 8-u tomów p. t.: *Byle wyżéj* rs. 1 k[...] *Ostatnia stawka* kop. 75. *Sabina* rs. 1 kop. 20. *O ka*[...] rs. 1 k. 20. *Biały murzyn* rs. 1 kop. 20. *Za winy niepo*[...] rs. 1 kop. 20. *Komedye (Dom otwarty — Na łonie* [...] *Komedye z oświatą*) rs. 1 kop. 20, *Pańskie dziady* rs. 1 [...] razem zamiast rs. 9 k. 15 w Warszawie **tylko** [...] **k. 50** a z przesyłką pocztową **rs. 6 k. 70.**

TOWARZYSTWO KREDYTOWE ZIEMSKIE w KRÓLESTWI[...]

i Kredyt Rolny

przez J. Kirszrota-Prawnickiego, zamiast rs. 3 [...] szawie **tylko rs. 2**, a z przesyłką poczto[...] **kop. 20.**

ZUPEŁNE WYDANIE DZIEŁ

JÓZEFA KREMER[...]

w 12 dużych tomach, wielu ilustracyami zdo[...] miast rs. 12 w Warszawie **tylko rs. 7**, a z prz[...] pocztową zamiast rs. 14 **tylko rs.** [...]

Wybór poezyi

A. S. NARUSZEWICZ[...]

tom I, zamiast rs. 1 **tylko kop. 75**, z prze[...] tową kop. **90.**

Wybór powieści

HONORYUSZA BALZACA

tomów 9 zamiast rs. 8 k. 20 w Warszawie **tylko** [...] a z przesyłką pocztową zamiast rs. 9 k. 60 **tylko** [...] **kop. 40.**

Adres: Administracya „Kurjera Warszawskiego", Plac Teatralny Nr. 9. telefonu Nr. 141.

„KURJER WARSZAWSKI“

KALENDARZ NA ROK 1891.

ЯНВАРЬ.		STYCZEŃ.	
20 Ч.	*Дек.* 1890 Св. Игн.	1 C	NOWY ROK Fulgen.
21 П.	Мч. Іуліанія	2 P	Narcyza i Makarego
22 С.	Вм. Анастасіи	3 S	Daniela i Genowefy
23 В.	П. Павла	4 N	Tytusa i Grzegorza
24 П.	Пр. М. Евгенія	5 P	Telesfora i Symeona
25 В.	♔ РОЖ. IИС. ХР.	6 W	♔ TRZECH KRÓLI
26 С.	СОБОР. ПР. БО.	7 Ś	Lucyana i Juliana
27 Ч.	Пер. М. СТЕФАНА	8 C	Seweryna Opata
28 П.	Ап. Никанора	9 P	Marcyanny p. M.
29 С.	14,000 млад. муч.	10 S	Agatona i Wilhel.
30 В.	Мч. Анисіи	11 N	Higina i Honoraty
31 П.	Пр. Меланіи Р.	12 P	Arkadyusza M.
1 В.	♔ 1891 НОВ.ГОДЪ	13 W	♔ Weroniki panny
2 С.	С. Сильвестра	14 Ś	Hilarego B., Feliksa
3 Ч.	Пр. Малахіи	15 C	*Im. J.* Pawła 1 pust.
4 П.	Соб. св. 70 Апос.	16 P	Marcellego P.
5 С,	Мч. Θеопемитта	17 S	Antoniego Opata
6 В.	БОГОЯВ. ГОС.	18 N	Kated. Św. Piot, w Rz.
7 П.	Соб. св. Іоан. П.	19 P	Henryka i Kanuta
8 В.	Пр. Георгія	20 W	Fabiana i Sebastiana
9 С.	Мч. Поліевкта	21 Ś	Agnieszki p. M.
10 Ч.	Св. Григорія	22 C	Wincentego i Anast.
11 П.	Пр. Θеодосія	23 P	*Zaś. N.M.P.* i Ildefon.
12 С.	Вмч. Татіаны	24 S	Tymoteusza B.
13 В.	Мч. Ермила	25 N	Nawrócenie ś. Pawła
14 П.	Св. Іосифа	26 P	Polikarpa B. M.
15 В.	Пр. Павла Θив.	27 W	Jana Złotoustego
16 С.	Ап. Петра	28 Ś	Karola W. i Leonarda
17 Ч.	Пр. Антонія Вел.	29 C	Franciszka Salezego
18 П.	Св. Аθанасія	30 P	Martyny p. M.
19 С.	Пр. Макарія	31 S	† Piotra Nol. i Marcel.

Pełnia dnia 25 o god. 2 rano
Ostat. kw. „ 3 „ 12 „
Nów „ 10 „ 5 wiec.
Pierw. kw. „ 17 „ 2 „

ФЕВРАЛЬ.		LUTY	
20 В.	*Январь* Пр. Евф.	1 N	Ignacego i Brygidy
21 П.	Пр. Максима	2 P	OCZYSZCZ. N. M. P.
22 В.	Ап. Тимофея	3 W	Błażeja B. M.
23 С.	Смч. Климента	4 Ś	Ansgarego i Andr.
24 Ч.	Пр. Ксеніи и М.	5 C	Agaty panny M.
25 П.	Св. Григорія В.	6 P	Doroty p. i Teofila
26 С.	Пр. Ксенофонт.	7 S	Romualda Opata
27 В.	Пер. Мощ. с. Іоа.	8 N	Jana z Matty Wyzn.
28 П.	Пр. Ефрема	9 P	Apolonii p. M.
29 В.	Пер. м. Игнатія	10 W	Scholastyki panny
30 С.	3 Свят. Василія	11 Ś	† *Popielec* Lucyusza B.
31 Ч.	Св. Кира и Іоан.	12 C	Eulalii P. M.
1 П.	*Февр.* Трифона	13 P	† Juliana i Eufrozyny
2 С.	СРѢТЕНІЕ ГОС.	14 S	† Walentego kap.
3 В.	Св. Симеона	15 N	Faustyna
4 П.	Пр. Исидора	16 P	Julianny panny M.
5 В.	Мч. Агапія и Θеод.	17 W	Sylwina i Donata
6 С.	Пр. Вукола Си.	18 Ś	† Symeona Bisk. M.
7 Ч.	Пр. Парθенія	19 C	Konrada W.
8 П.	Вмч. Θеодора	20 P	† Eucharyusza i Leona
9 С.	Мч. Никифора	21 S	† Maxymiliana B.
10 В.	Мч. Харалама.	22 N	Kat. ś. Piotra w A.
11 П.	Смч. Власcія	23 P	Piotra Damiana
12 В.	Св. Алексія и М.	24 W	Macieja Apost.
13 С.	Пр. Мартиніяна	25 Ś	† Sygfryda Bisk.
14 Ч.	Пр. Кирилла	26 C	Aleksandra Bisk.
15 П.	Ап. Онисима	27 P	† Leandra B.
16 С.	Мч. Памфила и Пав.	28 S	† Romana Opata

♔ Озн. табельный день.

♔ Oznacza dzień galowy.
† Oznacza wigilie i posty.

Pełnia dnia 23 o god. 9 wiecz.
Ostat. kw. „ 2 „ 6 rano
Nów „ 9 „ 4 „
Pierw. kw. „ 15 „ 8 wiecz.

МАРТЪ.		MARZEC.	
17 В.	*Февр.* Мч. Θеодора	1 N	Albina i Antoniny
18 П.	Св. Льва папы Рим.	2 P	Heleny cesarzow.
19 В.	Ап. Архиппа	3 W	Kunegundy cesarzow.
20 С.	Св. Льва и Агафона	4 Ś	† Kazimierza królew.
21 Ч.	Св. Тимофея	5 C	Teofila B.
22 П.	Пр. Аθанасія	6 P	† Wiktoryna
23 С.	Смч. Поликарпа	7 S	† Tomasza z Akwi.
24 В.	Обр. чес. гл. Іоан.	8 N	Jana Bożego i Beaty
25 П.	Св. Тарасія	9 P	Franciszki wdowy
26 В.	♔ Св. Порфирія	10 W	♔ 40 Męczenników
27 С.	Пр. Прокопія	11 Ś	† Konstantyna W.
28 Ч.	Пр. Василія	12 C	Grzegorza Pap.
1 П.	*Мартъ* С. мч. Евд.	13 P	† Nicefora M.
2 С.	♔ Смч. Θеодота	14 S	† ♔ Matyldy kr.
3 В.	Мч. Евтропія	15 N	Longina M.
4 П.	Пр. Герасима	16 P	Cyryaka Dyakona
5 В.	Мч. Конона	17 W	Gertrudy Panny
6 С.	Мч. Константина	18 Ś	† Gabryela Archanioła
7 Ч.	Смч. Василія	19 C	*Józefa Obl. N. M. P.*
8 П.	Пр. Θеофилакта	20 P	† Wincentego Bisk.
9 С.	Св. 40 муч. Севаст.	21 S	† Benedykta Opata
10 В.	Св. Кондрата	22 N	Bogusława i Oktaw.
11 П.	Св. Софронія П.	23 P	† Nikona i Pelagii
12 В.	Пр. Θеофана	24 W	† Aleksandra M.
13 С.	Св. Никифора	25 Ś	† Ireneusza
14 Ч.	Св. Θеогноста	26 C	*Wiel* Emmanuella M.
15 П.	Мч. Агапія и Алек.	27 P	*Wiel.* Lidyi i Ruperta
16 С.	Мч. Савина	28 S	*Wiel.* Doroteusza M.
17 В.	Пр. Алексія	29 N	WIELKANOC Cyryl.
18 П.	Св. Кирилла	30 P	WIELKI Kwiryna
19 В.	Мч. Хрисанфа	31 W	Balbiny P.

Pełnia dnia 26 o god. 2 wiecz.
Ostat. kw. „ 3 „ 9 „
Nów „ 10 „ 12 „
Pierw. kw. „ 17 „ 10 „

АПРѢЛЬ.		KWIECIEŃ.	
20 С.	*Мартъ* Пр. Іоанна	1 S	Teodory M. Hugona
21 Ч.	Пр. Іакова	2 C	Franciszka a Paulo
22 П.	Смч. Василія	3 P	Ryszarda Bisk.
23 С.	Пр Никона	4 S	† Izydora B. D. K.
24 В.	Св. Артемона	5 N	Wincentego F.
25 П.	БЛАГ. ПР. БОГ.	6 P	ZWIASTOW. N.M.P.
26 В.	Соб. Арх. Гаврила	7 W	Epifaniusza
27 С.	Мч. Матроны	8 Ś	Dyonizego i Herod.
28 Ч.	Пр. Иларіона	9 C	Maryi Kleofy
29 П.	Свят. Марка	10 P	Ezechiela P. M.
30 С.	Пр. Іоанна	11 S	Leona Wiel.
31 В.	Игнатія Іон.	12 N	Juliusza Papieża
1 П.	*Ап.* Пр. Маріи Ег.	13 P	Hermenegilda Kr.
2 В.	Пр. Тита	14 W	Tyburcyusza i Waler.
3 С.	П. Никиты	15 Ś	Anastazyi i Bazyl.
4 Ч.	Прп. Іосифа	16 C	Lamberta M.
5 П.	Пр. Платона	17 P	Aniceta P. M.
6 С.	Св. Евтихія	18 S	Apoloniusza B.
7 В.	Св. Георгія	19 N	Hermogenes. M.
8 П.	Ап. Иродіона	20 P	Sulpicyusza M.
9 В.	Мч. Вадима	21 W	Anzelma Biskupa
10 С.	Максима Алекс. с.	22 Ś	Sotera i Kaja
11 Ч.	Св. Антипы	23 C	Wojciecha B. M.
12 П.	Св. Василія	24 P	Fidelisa Kap. i Bony
13 С.	Св. М. Артемона	25 S	Marka Ewangelisty
14 В.	Св. Мартина	26 N	Marcelina i Kleta
15 П.	Ап. Аристарха	27 P	Teofila B.
16 В.	Мч. Агапіи	28 W	Witalisa i Pawła
17 С.	Смч. Симеона	29 Ś	Piotra M.
18 Ч.	*Вел.* Пр. Іоанна	30 C	Katarzyny Seneńsk.

Pełnia dnia 24 o god. 6 rano
Ostat. kw. „ 2 „ 8 „
Nów „ 8 „ 10 wiecz.
Pierw. kw. „ 16 „ 3 rano

МАЙ.		MAJ.	
19 П.	*Вел. Апр.* С. Іоан.	1 P	Filipa i Jakóba
20 С.	*Вел.* Мч. Θеодора	2 S	Zygmunta Kr.
21 В.	ВОСКЕС. ХРИСТ	3 N	*Znal. ś Krz* i Alek.
22 П.	СВѢТЛ. Климента	4 P	† Floryana i Moniki
23 В.	СВѢТЛ. Георгія	5 W	† Piusa V. Papieża
24 С.	М. Саввы	6 Ś	† Jana Apost. w Oleju
25 Ч.	Ап. и Ев. Марка	7 C	WNIEBOWST. PAŃ.
26 П.	С. м. Василія	8 P	STANISŁAWA B.
27 С.	Смч. Симеона	9 S	Grzegorza Naz. D, K.
28 В.	Мч. Максима	10 N	Izyd. Or. i Antonina B.
29 П.	С. 9 м. въ Киз.	11 P	*N.P.M.Ł.* Mamerta B.
30 В.	Ап. Іакова	12 W	Pankracego
1 С.	*Май* Пр. Іереміи	13 Ś	Serwacego
2 Ч.	Св. Аθанасія В.	14 C	Bonifacego M.
3 П.	Мч. Тимоθея	15 P	Zofii z 3 córkami
4 С.	Мч. Пелагіи	16 S	Jana Nepomucena
5 В.	Мч. Ирины	17 N	ZESŁAN. DUCHA Ś.
6 П.	♔ Іова многостр.	18 P	♔ ŚWIĄTECZNY
7 В.	М. Акакія	19 W	Piotra Celestyna
8 С.	Ап. и Ев. Іоан. Б.	20 Ś	† Bernardyna
9 Ч.	СВ. НИКОЛАЯ Чуд.	21 C	Donata i Wiktora
10 П.	Ап. Симона	22 P	† Julii p. M. i Heleny
11 С.	Св. Кирилла	23 S	† Dezyderjusza B.
12 В.	Св. Епифанія	24 N	TRÓJCY ŚWIĘTEJ
13 П.	Мч. Александра	25 P	Grzegorza VII Pap.
14 В.	Мч. Исидора	26 W	Filipa Nereusza. W.
15 С.	♔ Пр. Пахомія В.	27 Ś	♔ Magdaleny
16 Ч.	Пр. Θеодора	28 C	BOŻE CIAŁO
17 П.	Св. Стефана	29 P	Teodozyi M.
18 С.	Θеодот., Александ.	30 S	Feliksa P. M.
19 В.	Смч. Патрикія	31 N	Petroneli

Pełnia dnia 23 o god. 8 wiecz.
Ostat. kw. „ 1 „ 3 „
Nów. „ 8 „ 7 rano
Pierw. k. „ 15 „ 8 wiecz.
Ostat. kw. „ 30 „ 8 „

ІЮНЬ.		CZERWIEC.	
20 П.	*Май* Муч. Алексія	1 P	Fortunata i Prokula M.
21 В.	Ц. Константина	2 W	Blandyny p. M.
22 С.	Мч. Василиска	3 Ś	Erazma B. Klotyldy
23 Ч.	Пр. Михаила Е.	4 C	Opata P. i Saturn. P.
24 П.	Прп. Симеона	5 P	*Serc. Jez* Bonifacego
25 С.	С. Крес. Іоанна	6 S	Norberta Biskupa
26 В.	Ап. Карпа	7 N	Roberta Opata
27 П.	Смч. Θерафонта	8 P	Maksymina i Medarda
28 В.	Св. Никиты	9 W	Pryma i Felicyana
29 С.	Св. Θеодосія Мч.	10 Ś	Małgorzaty Kr. Szk.
30 Ч.	ВОЗНЕС. ГОСП.	11 C	Barnaby Apostoła
31 П.	Ап. Ермія	12 P	Onufrego P.
1 С.	*Іюнь* Мч. Іустина	13 S	Antoniego z Padwy
2 В.	Св. Никифора.	14 N	Bazylego D. K.
3 П.	Мч. Клавдія	15 P	Wita i Modesta
4 В.	ВСѢХЪ СВ., Митр.	16 W	Benona i Justyny Jol.
5 С.	Св. Дороθея	17 Ś	Marcyana
6 Ч.	Пр. Иларіона	18 C	Marka i Marcelina
7 П.	Мч. Θеодота	19 P	Gerwazego i Protaz.
8 С.	В. М. Θеодора С.	20 S	Sylweryusza P.
9 В.	СВ. ТРОЙЦЫ	21 N	Aloizego Gonzagi
10 П.	СВ. ДУХА	22 P	Paulina Biskupa
11 В.	Н. 2 Меθодія	23 W	Agrypiny p. M.
12 С.	Ап. Варθоломея	24 Ś	*Narodz. ś Jana Chrz.*
13 Ч.	Анны и Іоанна	25 C	Prospera Bisk.
14 П.	Пр. Елисея	26 P	Jana i Pawła MM.
15 С.	Пр. Амоса	27 S	† Władysława Kr.
16 В.	Св. Тихона	28 N	Ireneusza i Leona II
17 П.	Мч. Мануила	29 P	PIOTRA i PAWŁA
18 В.	Мч. Леонтія	30 W	Emilii i Lucyny M.

Pełnia dnia 22 o god. 6 rano
Ostat. kw. „ 29 „ 12 „
Nów „ 6 „ 6 wiecz.
Pierw. kw. „ 14 „ 2 wiecz.

ІЮЛЬ.		LIPIEC.	
19 С.	*Іюнь* Ап. Іуды	1 Ś	Teodoryka Kapłana
20 Ч.	Смч. Меθодія	2 C	*Nawiedz N. M. P.*
21 П.	Мч. Терентія	3 P	Heliodora B. W.
22 С.	Смч. Евсевія	4 S	Józefa Kalasantego
23 В.	Мч. Агриппины	5 N	Cyryla i Metodego
24 П.	Рож. Св. Іоанна	6 P	Dominiki Panny
25 В.	Пр. м. Февроніи	7 W	*Jana z D.* Apol. i Wilib.
26 С.	Пр. Давида	8 Ś	Elżbiety wdowy
27 Ч.	Пр. Сампсона	9 C	Cyrylla B. i Anatolii M.
28 П.	Пер. м. С. Кира	10 P	7 br. MM. synów Fel.
29 С.	ПЕТРА и ПАВЛА	11 S	Pelagii i Piusa Pap.
30 В.	Соб. 12 Апостол	12 N	Jana Gwalberta
1 П.	*Іюль* Св. Космы	13 P	Małgorzaty p. M.
2 В.	Полож. Ризы Г.	14 W	Bonawentury B.
3 С.	Мч. Іакинфа	15 Ś	Henryka i Rozesł. Ap.
4 Ч.	Св. Андрея Кр.	16 C	*N. M. P. Szkaplerz.*
5 П.	Пр. Афанасія	17 P	Aleksego Wyzn.
6 С.	Пр. Сисоя	18 S	Szymona z Lipnicy
7 В.	Пр. Θомы и Ак.	19 N	Wincentego a Paulo
8 П.	Казан. Иконы Б. М.	20 P	Czesława i Eliasza
9 В.	См. Панкратія	21 W	Praksedy i Daniela
10 С.	Мч. Леонтія	22 Ś	Maryi Magdaleny
11 Ч.	Вм. Евфимія	23 C	Apolinarego Biskupa
12 П.	Мч. Прокла	24 P	Krystyny p. M.
13 С.	Ар. Гавріила	25 S	Krysztofa i Jakóba
14 В.	Ап. Акилы	26 N	*Anny Matki N. M. P.*
15 П.	Св. Владиміра	27 P	Natalii P. M. i Pantal.
16 В.	Аθиногена	28 W	Innocentego
17 С.	Вм. Марины	29 Ś	Marty i Serafiny P.
18 Ч.	Мч. Емиліана	30 C	Julity i Donatylli
19 П.	Пр. Марины	31 P	Ignacego Lojoli

Pełnia dnia 21 o god. 3 wiecz.
Ostat. kw. „ 28 „ 6 rano
Nów „ 6 „ 5 „
Pierw. kw. „ 14 „ 7 „

АВГУСТЪ.		SIERPIEŃ.	
20 С.	*Іюль* Пр. Иліи	1 S	Piotra w Okowach
21 В.	Пр. Симеона	2 N	*N. M. P. Anielskiéj*
22 П.	♔ См. Магдалины	3 P	♔ Znal. ś. Szczep.
23 В.	Мч. Трофима	4 W	Dominika Wyzn.
24 С.	Мч. Христины	5 Ś	*N. M. P. Snieżnéj*
25 Ч.	Успеніе Св. Анны	6 C	*Przemienienie Pańskie*
26 П.	Смч. Ермолая	7 P	Kajetana Wyznawcy
27 С.	Вм. Панталеймона	8 S	Cyryaka i Larga M.
28 В.	Ап. Прохора	9 N	Romana M.
29 П.	Мч. Калиника	10 P	Wawrzyńca M.
30 В.	Ап. Силы и Силуа.	11 W	Zuzanny i Dygny
31 С.	Св. Евдокима	12 Ś	Klary panny
1 Ч.	*Августъ* Пр. Дре.	13 C	Hipolita i Kassyana
2 П.	Пер. Мч. Стефана	14 P	† Euzebiusza Wyznaw.
3 С.	Пр. Исаакія	15 S	WNIEBOWZ. N. M.P.
4 В.	Св. 7 отр. въ Ефесѣ	16 N	Jacka Wyznawcy
5 П.	Мч. Евсигня	17 P	Mirona i Pawła
6 В.	ПРЕОБР. ГОСП.	18 W	Agapita M.
7 С.	Пр. м. Дометія	19 Ś	Rufina W.
8 Ч.	Св. Емиліана	20 C	Bernarda Opata
9 П.	Ап. Матθія	21 P	Joanny Fremiot Wd.
10 С.	Мч. Лаврентія	22 S	Symforyana i Tym.
11 В.	Мч. Соссанны	23 N	Filipa Benecyusza
12 П.	Мч. Фотія	24 P	Bartłomieja Apostoła
13 В.	Пр. Максима	25 W	Ludwika Króla
14 С.	Пр. Михея	26 Ś	Zefiryny P. M.
15 Ч.	УСПЕНІЕ ПР. БОГ.	27 C	*Przenies. św. Kazim.*
16 П.	Пер.нер.Об.Іис.Х.	28 P	Augustyna B. W.
17 С.	Мч. Мирона	29 S	*Ścięcie ś. Jana Chrzcic.*
18 В.	Мч. Флора	30 N	*Poc. N. M. P.* Feliksa
19 П.	Мч. Андрея С.	31 P	Rajmunda i Bożydara

Pełnia dnia 19 o god. 11 wiecz.
Nów „ 4 „ 7 „
Pierw. kw. „ 12 „ 10 „
Ostat. kw. „ 26 „ 1 „

СЕНТЯБРЬ.		WRZESIEŃ.	
20 В.	*Августъ* Пр. Сам.	1 W	Idziego Opata
21 С.	Ап. Θаддея	2 Ś	Stefana Króla
22 Ч.	Мч. Агаθоника	3 C	Bronisławy panny
23 П.	Св. м. Евтихія	4 P	Rozalii panny
24 С.	П. Георгія	5 S	Wawrzyńca i Just.
25 В.	Ап. Варθоломея	6 N	Zacharyasza Pror.
26 П.	Мч. Адріана	7 P	† Reginy p. M.
27 В.	Пр. Пимена	8 W	NARODZEN. N. M. P.
28 С.	Пр. Моисея	9 Ś	Gorgoniusza Męcz.
29 Ч.	УСѢК. ГЛ. ІОАН.	10 C	Mikołaja z Tolentynu
30 П.	♔ С. К. Алекс. Н.	11 P	♔ Prota i Jacka M.
31 С.	Пол.Пояс. П.Богор.	12 S	Walerego i Salezego M.
1 В.	*Сентябрь* Пр. Сим.	13 N	Mauryliusza
2 П.	Мч. Мамонта	14 P	*Podwyż. ś Krzyża*
3 В.	Смч. Анθима	15 W	*7 Bol. N. M. P.* Nikod.
4 С.	Смч. Вавилы	16 Ś	† Cypryana Biskupa
5 Ч.	Пр. Захаріи	17 C	5 blizn ś. Franciszka
6 П.	Ар. Михаила	18 P	† Józefa Wyznawcy
7 С.	Мч. Созонта	19 S	† Januaryusza Bisk.
8 В.	РОЖД. ПР. БОГ.	20 N	Eustachyusza M.
9 П.	Св. Іоакима	21 P	Mateusza Apost.
10 В.	Мч. Минодоры	22 W	Maurycego
11 С.	Пр. Θеодоры	23 Ś	Tekli P. M.
12 Ч.	Смч. Автонома	24 C	*N.M.P. od wyk.niewol.*
13 П.	Мч. Корнилія	25 P	Aurelii panny
14 С.	ВОЗДВИ. КР. Г.	26 S	Cypryana M. i Justyny
15 В.	Мч. Никиты	27 N	Ładysława z Geln.
16 П.	Мч. Евфимія	28 P	Wacława króla Czes.
17 В.	Мч. Софіи Вѣры	29 W	Michała Archanioła
18 С.	Св. Евменія	30 Ś	Hieronima D. Zofii

Pełnia dnia 18 o god. 6 rano
Ostat. kw. „ 25 „ 12 „
Nów „ 3 „ 10 „
Pierw. kw. „ 11 „ 12 wiecz.

ОКТЯБРЬ.		PAŹDZIERNIK.	
19 Ч.	*Сентяб.* М. Троф.	1 C	Remigiusza Biskupa
20 П.	Вм. Евстафія	2 P	Aniołów Stróżów
21 С.	Св. Димитрія Р.	3 S	Kandyda M.
22 В.	Смч. Фоки	4 N	*N.M.P.Róż.* Francisz.
23 П.	Зач. Св. Іоанна	5 P	Placydy i Donata
24 В.	Св. Θеклы	6 W	Brunona W.
25 С.	Пр. Сергія Рад.	7 Ś	Justyny P. M.
26 Ч.	СВ. ІОАННА БО.	8 C	Brygidy Wdowy
27 П.	Мч. Калистрата	9 P	Bogdana Opata
28 С.	Пр. Харитона	10 S	Franciszka Borg.
29 В.	Пр. Киріака	11 N	Wincentego Kadł.
30 П.	Смч. Григорія	12 P	Maksymiliana Bis.
1 В.	*Окт.* ПОК. П. Б.	13 W	Edwarda Króla
2 С.	Смч. Киприана	14 Ś	Kaliksta Papieża
3 Ч.	Смч. Діонисія	15 C	Jadwigi i Teresy
4 П.	Смч. Іероθея	16 P	Florentyna Bis.
5 С.	Св. Петра	17 S	Wiktora Biskupa Męcz.
6 В.	Ап. Θомы	18 N	Łukasza Ewan.
7 П.	Мч. Сергія	19 P	Piotra z Alkantary
8 В.	Пр. Пелагіи	20 W	*Pr.Św. Woje.* Ireny P.
9 С.	Ап. Іакова Альф.	21 Ś	Urszuli panny
10 Ч.	Мч. Евлампія	22 C	Korduli panny M.
11 П.	Ап. Филиппа	23 P	Jana Kapistrana
12 С.	Космы и Андрон.	24 S	Rafała Archanioła
13 В.	Мч. Карпа и Фл.	25 N	Kryspa i Kryspijanina
14 П.	Мч. Назарія	26 P	Ewarysta Papieża
15 В.	Пр. Евфимія	27 W	Sabiny M.
16 С.	Мч. Лонгина	28 Ś	Szymona i Tadeusza
17 Ч.	♔ Пр. Оссіи	29 C	♔ Narcyza i Euzebii
18 П.	Ап. и Ев. Луки	30 P	Zenobii i Zenobiusza
19 С.	Пр. Іоиля, Іоанна	31 S	† Wolfganga Bisk.

Pełnia dnia 17 o god. 3 wiecz.
Ostat. kw. „ 24 „ 3 „
Nów „ 3 „ 2 rano
Pierw. kw. „ 11 „ 12 „

НОЯБРЬ.		LISTOPAD.	
20 В.	*Октяб.* Мч. Арт.	1 N	WSZYSTKICH ŚWIĘ.
21 П.	Пр. Иларіона	2 P	*Dzień Zadusz.* Jerzego
22 В.	КАЗ. ИК. ПР. Б.	3 W	Huberta B., Sylwii M.
23 С.	Ап. Іакова	4 Ś	Karola Boromeusza
24 Ч.	Мч. Ареθы	5 C	Zachary. i Elżbiety
25 П.	Мч. Маркіяна	6 P	Leonarda Wyzn.
26 С.	Вм. Дмитрія	7 S	Willibranda Biskupa
27 В.	Мч. Нестора	8 N	*Op. N.M.P.* Godfryda
28 П.	Мч. Терентія	9 P	Teodora Męcz.
29 В.	П. М. Анастасія	10 W	Andrzeja z Aweliny
30 С.	Смч. Зиновія	11 Ś	Marcina
31 Ч.	Ап. Стахія	12 C	5 Braci MM.
1 П.	*Ноябрь* Св. Космы	13 P	Dydaka W.
2 С.	Мч. Акиндина	14 S	Serapiona M.
3 В.	Мч. Акепсима	15 N	*Stanisława Kostki*
4 П.	Пр. Іоанникія	16 P	Edmunda Bisk.
5 В	Мч. Галактіона	17 W	Salomei P.
6 С.	Св. Павла	18 Ś	Maksyma B.
7 Ч.	Мч. Іерона	19 C	Elżbiety Kr.
8 П.	СОБ. АРХ. МИХ.	20 P	Feliksa Walezyusza
9 С.	Мч. Онисифора	21 S	*Ofiarow. N. M. P.*
10 В.	Ап. Олимпа	22 N	Cecylii panny
11 П.	Мч. Мины и Викт.	23 P	Klemensa Pap.
12 В.	Св. Іоанна	24 W	Jana od Krzyża
13 С.	Св. Іоанна Злат.	25 Ś	Katarzyny p. M.
14 Ч.	♔ Ап. Филиппа	26 C	♔ Piotra Alex. B.
15 П.	Мч. Гурія, Самс.	27 P	Józefata Pustel.
16 С.	Ап. и Ев. Матθея	28 S	Mansweta i Rufa
17 В.	Св. Григорія Не.	29 N	*1 Ad.* Saturnina M.
18 П.	Мч. Платона	30 P	Andrzeja Apos.

Pełnia dnia 16 o god. 2 rano
Ostat. kw. „ 23 „ 10 „
Nów „ 1 „ 8 wiecz.
Pierw. kw. „ 9 „ 10 rano

ДЕКАБРЬ.		GRUDZIEŃ.	
19 В.	*Ноябрь* Пр. Авдія	1 W	Eligiusz Bisk.
20 С.	Пр. Григорія	2 Ś	† Bibianny p.
21 Ч.	ВВЕД.ВО ХР. ПР.Б.	3 C	Franciszka Ksaw.
22 П.	Ап. Филимона	4 P	† Barbary p. M.
23 С.	Св. Амфилохія	5 S	† Sabby Opata
24 В.	Вм. Екатерины	6 N	*2 Ad.* Mikołaja B.
25 П.	Смч. Климента	7 P	† Ambrożego B.
26 В.	Пр. Алипія	8 W	NIEP. P. N. M.
27 С.	Мч. Іакова	9 Ś	† Leokadyi i W.
28 Ч.	Пр. Мч. Стефана	10 C	*N.M. P. Loretań.*
29 П.	Мч. Парамона	11 P	† Damazego P.
30 С.	Ап. Андрея	12 S	† Aleksandra M.
1 В.	*Декабрь* П. Наума	13 N	*3 Ad.* Łucyi panny
2 П.	Пр. Аввакума	14 P	Spirydyona B. W.
3 В.	Пр. Софоніи	15 W	Waleryana M.
4 С.	Вм. Варвары	16 Ś	† Euzebiusza Biskupa
5 Ч.	Пр. Саввы	17 C	Łazarza Biskupa
6 П.	♔ С. НИКОЛАЯ	18 P	† ♔ Gracyana Bisk.
7 С.	Св. Амвросія	19 S	† Faustyny wdowy
8 В.	Ап. Софена	20 N	*4 Ad.* Teofila Męcz.
9 П.	Зачат. Св. Анны	21 P	Tomasza Apost.
10 В.	Мч. Мины и Ер.	22 W	Zenona Ż. i Faw.
11 С.	Пр. Даніила	23 Ś	† Wiktoryi panny
12 Ч.	Св. Спиридона	24 C	† *Wigilia* Zenobiusza
13 П.	Мч. Евстратія	25 P	NARODZEN. CHR. P.
14 С.	Мч. Θирса	26 S	SZCZEPANA 1 M.
15 В.	Смч. Елевθерія	27 N	*po N. Chr.* Jana Ewang.
16 П.	Пр. Аггея и Марины	28 P	Młodzianków
17 В.	Пр. Даніила	29 W	Tomasza Kant.
18 С.	Мч. Севастіана	30 Ś	Eugeniusza Biskupa
19 П.	Мч. Вонифатія	31 C	Sylwestra Papieża

Pełnia dnia 15 o god. 2 wiecz.
Ostat. kw. „ 23 „ 7 rano
Nów „ 1 „ 1 wiecz.
Pierw. kw. „ 8 „ 6 „
Nów „ 31 „ 5 rano

Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Декабря 1890 г.

W drukarni **S. Lewentala**, Nowy-Świat № 41.

NUMER NOWOROCZNY.

WYROK ZEUSA.

BAJKA GRECKA.

Raz, wieczorem, spotkali się na skałach Pnyksu Apollo i Hermes i, stanąwszy na krawędzi wiszaru, spoglądali na Ateny.

[illegible]ieczór był cudny; słońce przetoczyło się już z Ar[illegible]lagu ku morzu Jońskiemu i zanurzało zwolna [illegible]promienną głowę w turkusową, gładką roztocz. [illegible]szczyty Hymetu i Penteliku świeciły jeszcze, [illegible] oblane stopionem złotem i prócz tego na nie[illegible]yła zorza wieczorna. W blaskach jej tonął ca[illegible]ropol. Białe marmury Propyleów, Partenonu [illegible]chtejonu, wydawały się różowe i tak lekkie, jakby kamień stracił wszelką wagę, lub jakby były sennem zjawiskiem. Ostrze włóczni olbrzymiej Ateny Promachos płonęło w zorzy, niby zapalona nad Attyką pochodnia.

Na niebie ważyło się na rozpostartych skrzydłach kilka jastrzębi, które leciały na nocleg do gniazd uk[illegible] w skałach.

Ludzie wracali gromadami z robót polnych do miasta. Drogą od Pireus szły muły i osły, dźwigając zawieszone po bokach kosze pełne oliwek lub złocistego winogradu, za niemi, w czerwonych obłokach kurzu, ciągnęły stada kóz krętorogich — przed każdem stadem kozioł białobrody, po bokach psy czujne, z tyłu pasterz grający na multankach, lub cienkiem źdźble owsianem.

Między stadami posuwały się zwolna wozy, wiozące boski jęczmień, ciągnione przez woły leniwe; tu i owdzie mijały się oddziały hoplitów, przybranych w miedź, dążących na nocną straż do Pireu lub Aten.

W dole miasto wrzało jeszcze życiem. U wielkiej fontanny w pobliżu Poikile leżącej, młode dziewczęta, przybrane w białe szaty, czerpały wodę, śpiewając, chychocąc głośno, lub broniąc się chłopcom, którzy zarzucali na nie pęta plecione z bluszczów i winokrzewu. Inne, naczerpawszy już wody, z amforami wspartemi na ramieniu i ręką wzniesioną do góry, sz[illegible]y do domów, lekkie i wdzięczne, do nimf nieśmiertelnych podobne.

Łagodny wietrzyk z równiny attyckiej wiejący, donosił do uszu dwóch bogów odgłosy śmiechu, śpiewów i pocałunków.

„W dal godzący” Apollo, dla którego oczu nie było nic pod niebem milszego nad niewiastę, zwrócił [illegible] do Argoburcy i rzekł:

— O synu Mai, jakże piękne są atenki!

— I cnotliwe, mój Promienisty — odpowiedział Hermes—bo pod opieką Pallady zostają.

Srebrnołuki bóg umilkł i patrzył, a słuchał dalej. Tymczasem zorze zwolna gasły, ruch stopniowo ustawał; niewolnicy scytyjscy zamknęli bramy i wreszcie uczyniło się cicho. Noc ambrozyjska rzuciła ciemną, nabijaną gwiazdami zasłonę na Akropol, miasto i okolicę.

Lecz urok nie trwał długo. Wkrótce z Archipelagu wynurzyła się blada Selene i poczęła żeglować, jak srebrna łódź, po niebieskiem przestworzu. I znów rozświeciły się marmury na Akropolu, tylko świeciły teraz jasnozielonem światłem i były jeszcze do sennego zjawiska podobniejsze.

— Trzeba przyznać—rzekł „W dal godzący”—że Atene cudną sobie obrała siedzibę.

— Ha! mądra ona! Któż mógł lepiej od niej wybrać—odpowiedział Hermes.—Przytem Zeus ma dziwną do niej słabość. Byle go tylko, prosząc o coś, pogłaskała po brodzie, zaraz nazwie ją swą Tritogeneją, córeczką kochaną, wszystko przyrzeknie i na wszystko skinieniem głowy pozwoli.

— Tritogeneja nudzi mnie czasem!—mruknął syn Latony.

— Zauważyłem to i ja, że ona staje się teraz nudna!—odpowiedział Hermes.

— Jak stary peripatetyk. A przytem i cnotliwa do obrzydliwości, zupełnie, jak moja siostra, Artemis.

— Albo, jak jej własne służki, atenki.

Promienisty zwrócił się ku Argoburcy:

— Drugi raz już wspominasz, jakby umyślnie, o cnocie atenek. Czy one naprawdę takie niezłomne?

— Bajecznie, o synu Latony!

— Proszę!—rzekł Apollo.—A czy sądzisz, że jest w tem mieście, choć jedna kobieta, któraby się oparła mnie?

— Myślę, że tak!

— Mnie, Appolinowi?

— Tobie, mój Promienisty!

— Mnie, który ją opętam poezja, oczaruję pieśnią i muzyką?

— Tobie, mój Promienisty.

— Gdybyś był uczciwym bogiem, gotówbym pójść o zakład. Ale ty, Argoburco, jeśli przegrasz, ulotnisz się natychmiast razem ze swemi sandałami, z posochem i tyle cię będę widział!

— Nie. Położę jedną rękę na ziemi, drugą na morzu i przysięgnę na Hades. Takiej przysięgi dotrzymuję nietylko ja, ale nawet członkowie magistratu w Atenach.

— No! to znów przesadzasz. Ale dobrze! Jeżeli przegrasz, musisz mi dostawić na Trinakiję stado długorogich wołów, które ukradniesz u kogo ci się podoba, tak, jak w swoim czasie, będąc jeszcze chłopięciem, ukradłeś moje stada na Pieryi.

— Zgoda. A co dostanę jeśli wygram?

— Wybierz, co chcesz.

— Słuchaj mnie „W dal godzący”, będę z tobą szczery, co, jak wiesz, nie często mi się zdarza. Raz posłany przez Zeusa, nie pomnę już w jakiej sprawie, przelatywałem właśnie nad twoją Trinakiją i ujrzałem Lampecję, która wraz z Featuzą strzeże tam twoich stad. Od tej chwili nie mam spokoju. Lampecja nie schodzi mi z oczu, z pamięci, kocham ją i wzdycham do niej dniem i nocą. Jeżeli wygram, jeżeli znajdzie się w Atenach kobieta tak cnotliwa, że ci się oprze, dasz mi Lampecję. Niczego więcej nie żądam.

Srebrnołuki począł kiwać głową.

— Że też miłość umie się zagnieździć nawet w sercu patrona kupców. Ale bardzo chętnie. Dam ci Lampecję, tembardziej, że ona teraz nie może się pogodzić z Featuzą. Mówiąc nawiasem, obie są zakochane we mnie i dlatego się kłócą.

Radość wielka strzeliła z oczu Argoburcy.

— Więc zakład stoi—rzekł.—Jedno tylko: kobietę, na której chcesz popróbować swojej boskiej mocy, ja ci wybiorę.

— Byle była piękna!

— Będzie godna ciebie.

— Przyznaj się, żeś już jakąś upatrzył.

— Przyznaję.

— Dziewica, mężatka czy wdowa?

— Rozumie się, mężatka. Pannę czy wdowę mógłbyś sobie zjednać obietnicą małżeństwa.

— Jak jej na imię?

— **Eryfila. Jest to żona piekarza.**

— Piekarza?—spytał, krzywiąc się, Promienisty—to mi się mniej podoba.

— Cóż chcesz! ja w tych kołach najczęściej się obracam... Męża Eryfili niema obecnie w domu; pojechał do Megary. Ta piekarzowa jest najpiękniejszą kobietą, jaka kiedykolwiek stąpała po matce ziemi.

— Ciekawym.

— Jeszcze jeden warunek, mój Srebrnołuki. Przyrzecz mi, że użyjesz tylko sposobów godnych ciebie i nie postąpisz w żadnym razie, jakby postąpił taki naprzykład gbur, jak Ares, lub nawet, mówiąc między nami, jak postępuje ojciec nasz wspólny, Chmurozbiórca.

— Za kogo mnie masz!—rzekł Apollo.

— Zatem wszystko umówione i mogę ci pokazać Eryfilę.

Powietrze zniosło zaraz obydwóch bogów z Pnyksu i po chwili zawiśli obaj nad jednym z domów opodal Stoa. Argoburca podniósł potężną dłonią cały wierzch domu, również łatwo, jak gospodyni, gotująca strawę, podnosi pokrywę garnka i ukazując niewiastę siedzącą w zamkniętym od ulicy miedzianą kratą i wełnianą zasłoną sklepie, rzekł:

— Patrz!

Apollo spojrzał i skamieniał.

Nigdy Attyka, nigdy cała ziemia grecka nie wydała piękniejszego kwiatu nad tę niewiastę. Przy blasku potrójnego kaganka, siedziała pochylona nad stołem i zapisywała coś pilnie na marmurowych tabliczkach. Długie jej spuszczone rzęsy rzucały cień na policzki, chwilami jednak podnosiła głowę i oczy w górę, jakby się namyślając i przypominając sobie co jeszcze ma zapisać, a wówczas widać było jej cudne źrenice, tak błękitne, że przy nich turkusowa toń Archipelagu wydałaby się bladą i spłowiałą. Była to poprostu twarz Kiprydy, biała, jak piana morska, zaróżowiona, jak jutrzenka, o purpurowych jak Syryjska purpura ustach i złocistej fali włosów—piękna, najpiękniejsza na ziemi—piękna jak kwiat, jak światło, jak pieśń!

Gdy spuszczała oczy, wydawała się cichą i słodką, gdy je podnosiła w zamyśleniu—natchnioną. Pod Promienistym poczęły drżyć boskie łydki, nagle wsparł głowę na ramieniu Hermesa i szepnął:

— Hermesie, ja ją kocham! Ta, albo żadna!

Hermes uśmiechnął się chytrze i byłby zatarł z radości ręce pod fałdami chleny, gdyby nie to, że w prawicy trzymał posoch.

Tymczasem złotowłosa wzięła nową tabliczkę i poczęła na niej pisać. Rozchyliły się przytem jej boskie usta i zaszemrał jej głos, do głosu formingi podobny:

— ...Członek Areopagu Melanokles za chleb przez dwa miesiące: drachm czterdzieści pięć i cztery obole... napiszmy dla okrągłości drachm czterdzieści sześć... Na Atenę! napiszmy pięćdziesiąt—mąż będzie kontent! Ach ten Melanokles... Gdybyś ty nie mógł przyczepić się do nas o fałszywą wagę, dałabym ja ci kredyt... Ale z tą szarańczą trzeba być dobrze...

Apollo słów nie słuchał, poił się tylko dźwiękiem głosu, urokiem postaci i szeptał:

— Ta, albo żadna!

Złotowłosa mówiła, pisząc dalej:

— Alcybiades, za przaśne placki na miodzie z Hymetu dla hetery Chryzalis: min trzy. Ten nigdy nie sprawdza rachunków, przytem poklepał mnie raz na Stoa po łopatce... napiszmy więc: min cztery. Kiedy głupi niech płaci... Ale też i ta Chryzalis!... Chyba karmi plackami swoje karpie w sadzawce, albo może Alcybiades umyślnie ją tuczy,

by ją potem sprzedać kupcom fenickim, za kółka z kości słoniowej do uprzęży.

Apollo na słowa nie zważał — poił się tylko głosem i szeptał do Hermesa:

— Ta, albo żadna.

Lecz syn Mai nakrył nagle dom i cudne zjawisko znikło, a Promienistemu zdawało się, że razem z niem nikną gwiazdy, czernieje księżyc i świat cały przesłania się ciemnością krain kimeryjskich.

— Kiedy się zakład ma rozstrzygnąć?—spytał Hermes.

— Dziś, natychmiast!

— Ona pod niebytność męża sypia w sklepie. Możesz tam stanąć na ulicy, przed tą kratą. Jeśli odsunie zasłonę i kratę ci otworzy, ja zakład przegrałem.

— Przegrałeś!—zawołał „W dal godzący".

I nie tak szybko letnia błyskawica przebiega nocą między wschodem a zachodem, jak on pomknął nad słone fale Archipelagu. Tam uprosiwszy Amfitrytę o pustą skorupę żółwia, nawiązał na niej promieni słonecznych i z gotową formingą powrócił do Aten.

W mieście było już zupełnie cicho, światła pogasły, tylko domy i świątynie bielały w blasku księżyca, który wysoko wpłynął na niebo.

Sklep leżał w załamaniu murów, a w nim, za kratą i zasłoną, spała prześliczna Eryfila. Promienisty, stanąwszy na ulicy, począł uderzać w struny formingi. Pragnąc obudzić lekko swą ukochaną, zagrał z początku tak cicho, jak cicho wieczorem wiosennym brzęczą roje komarów nad Illisem. Lecz pieśń wzbierała stopniowo, niby górski strumień po boskim deszczu i coraz potężniejsza, słodsza, bardziej upajająca, napełniła całe powietrze, które poczęło drżyć lubieżnie. Tajemniczy ptak Ateny przyleciał cichym lotem od strony Akropolu i siadł na pobliskiej kolumnie nieruchomy.

W tem nagie ramię, godne Fidijasa lub Praksitela, bielsze od pentelickich marmurów, odsunęło zasłonę... W Promienistym zamarło serce ze wzruszenia.

I rozległ się głos Eryfili:

— Co tam za chłystek włóczy się po nocy i brzdęka. Niedość się człowiek w dzień napracuje, jeszcze mu w nocy spać nie dadzą!

— Eryfilo! Eryfilo!—zawołał Srebrnoluki.

I począł śpiewać:

Z Parnasu wyniosłych szczytów,
Gdzie w blasku i wśród błękitów
Natchnione muzy, koleją
Natchnione pieśni mi pieją:
Ja bóg! ja światłość uczczona,
Spływam!... Ty otwórz ramiona
A wieczność będzie mi chwilą
Na piersi twej Eryfilo!...

. . . .

. . . .

— Na świętą mąkę ofiarną! — zawołała żona piekarza: ten urwis do mnie śpiewa i mnie tu chce zbałamucić, a nie pójdziesz-że ty do domu, utrapieńcze?!

Promienisty, chcąc ją przekonać, że nie jest zwykłym śmiertelnikiem, zaświecił nagle tak, że od jego blasku zajaśniała ziemia i powietrze—lecz Eryfila, widząc to zawołała:

— Schował nicpoń latarkę pod chlenę i za jakiegoś boga mi się tu podaje. O, córko możnego Diosa! podatkami umieją nas cisnąć, a niema na to nawet straży scytyjskiej w mieście*), takich wartogłowów do kozy brała.

Apollo nie dał za wygraną i śpiewał dalej:

— Ach, otwórz ramiona białe,
Ja ci wieczystą dam chwałę...
Nad wszystkie w niebie boginie,
Imię twe w świecie zasłynie —
Ja nieśmiertelność dam tobie.
Ja cię tak, piękna, ozdobię
Potęgą boskiego słowa,
Że żadna w Grecji królowa
Nie będzie tak uwielbiona!

. . . .

Ach otwórz, otwórz ramiona!...

. . . .

. . . .

Z błękitów obedrę morze,
Z purpury i złota zorze,
Z skier gwiazdy, a z rosy kwiaty,
I z tej świetlistej tkaniny
Uczynię dla mej jedynej
Tęczowe Kiprydy szaty...

I głos boga poezji brzmiał tak cudnie, że cud wywołał. Oto wśród ambrozyjskiej nocy, zadrgała złocista włócznia w ręku stojącej na Akropolu Ateny, i marmurowa głowa olbrzymiego posągu zwróciła się nieco ku Katapolis, by lepiej słuchać słów pieśni... Słuchały niebo i ziemia; morze przestało szumieć i legło ciche przy brzegach, nawet blada Selene przerwała swą nocną po niebie wędrówkę i stanęła nad Atenami nieruchoma.

A gdy Apollo skończył, wstał lekki wiatr i niósł pieśń przez całą Grecję, gdziekolwiek zaś zasłyszało choć jeden jej ton dziecko w kolebce, tam z tego dziecka miał wyrosnąć poeta.

Lecz zanim jeszcze syn Latony skończył, gniewna Eryfila poczęła krzyczeć głośno:

— Głupiec jakiś! rosą tu będzie kupczył i gwiazdami. Że męża w domu niema, to myślisz, że wszystko ci wolno? Hej! szkoda, że czeladzi nie mam pod ręką, nauczyłabym ja cię rozumu! Ale i tak oduczę cię mydłku włóczyć się po nocy z bałabajką!

To rzekłszy, porwała za dzieżę z kwasem rozczynowym i chlustnąwszy przez kratę oblała Promienistemu promienistą twarz, promienisty kark, promienistą chlenę i formingę. Jęknął na to Apollo i zakrywszy swą natchnioną głowę połą mokrej chleny, odszedł we wstydzie i złości.

A czekający na Pnyksie Hermes, brał się za boki, stawał na głowie i wywijał z radości posochem.

Gdy jednak strapiony syn Latony zbliżył się ku niemu, chytry opiekun handlarzy udał współczucie i rzekł:

— Przykro mi, żeś przegrał, o, „W dal godzący!"

— Idźże precz, francie! — odrzekł z gniewem Apollo.

— Pójdę, tylko mi oddasz Lampecyję.

— Bogdaj ci Cerber łydki poszarpał. Nie dam Lampecji i mówię idź precz! bo ci twój posoch na głowie połamię.

Argoburca wiedział, że gdy Apollo zły, to nie ma z nim żartów, więc odsunął się przezornie i rzekł:

— Jeśli chcesz mnie oszukać, to bądźże ty nadal Hermesem, a ja zostanę Apollinem. Wiem, że nademną potęgą górujesz i że ukrzywdzić mnie możesz; ale na szczęście, jest ktoś od ciebie mocniejszy i ten nas rozsądzi. Wzywam cię, Promienisty na sąd Kronida!... Chodź ze mną!

Zląkł się imienia Kronida Apollo, nie śmiał odmówić i poszli.

A tymczasem zaczęło świtać. Attyka wychyliła się z cienia. Różanopalca jutrzenka weszła na niebo od strony archipelagu.

Zeus spędził noc na szczycie Idy — a czy spał, czy nie spał i co tam robił, nikt tego nie wiedział, bo Mgłonośca osłonił się mgłą tak gęstą, że nawet Hero nic przez nią dostrzedz nie mogła. Hermes drżał trochę, zbliżając się do ojca bogów i ludzi.

— Słuszność po mojej stronie — myślał — lecz nuż Zews zbudził się gniewny, nuż nim wysłucha, porwie każdego za nogę, zakręci nad głową i ciśnie na jakie trzysta stadm ateńskich. Jeszcze na Apolina ma on wzgląd jakiś, ale ze mną, choć synem jego jestem, nie będzie robił ceremonji.

Lecz płonna była obawa syna Mai. Kronid siedział na ziemi wesół, bo mu noc zeszła wesoło i w chwale radosnej ogarniał świecącemi oczami krąg ziemski. Ziemia uradowana ciężarem ojca bogów i ludzi, rodziła pod nim jasną majową trawkę i młode hjacynty, a on, wspierając się o nią dłońmi, przebierał palcami w kędzierzawem kwieciu i cieszył się w sercu wyniosłem.

Widząc to syn Mai, ochłonął i oddawszy pokłon rodzicielowi, śmiało zaczął Promienistego oskarżać— a nie tak gęsto padają płatki śnieżne w czasie zadymki, jak gęsto padały jego słowa wymowne.

Gdy skończył, Zeus milczał przez chwilę, a potem ozwał się do Apollina:

— Prawda-że to wszystko Promienisty?

— Prawda, ojcze Kronidzie — odrzekł Apollo — ale jeśli po haňbie, jaka mnie spotkała, jeszcze mi zakład płacić każesz, tedy zstąpię do Hadu i cieniom będę świecił.

Zeus zamyślił się znowu i rozważał.

— Więc ta kobieta — spytał nakoniec — pozostała głuchą na twoją muzykę, na twoją pieśń i odtrąciła cię ze wzgardą?

— Wylała mi dzieżę kwasu na głowę, o Gromowładny!

Zeus zmarszczył brwi, a od tego zmarszczenia zadrżała zaraz Ida. Odłamy skał zaczęły się toczyć z hukiem w morze, a lasy pokładły się jak kłosy, którym wiatr żenie.

Struchleli obaj bogowie i z bijącemi sercami czekali wyroku.

— Hermesie — rzekł Zeus — oszukuj ile chcesz ludzi, ludzie chcą być oszukani. Ale bogom daj pokój, albowiem, jeżeli gniewem zapłonę i rzucę cię w eter, to spadłszy, zanurzysz się tak głęboko w toni oceanu, że nawet brat mój, Posejdon, nie wydobędzie cię ztamtąd trójzębem.

Boski strach chwycił Hermesa za gładkie kolana, Zeus zaś mówił dalej, coraz potężniejszym głosem:

„— Kobieta cnotliwa, zwłaszcza gdy kocha innego, może oprzeć się Apollinowi...

... Ale z pewnością i zawsze oprze mu się kobieta głupia...

...Eryfila jest głupia, nie cnotliw[illegible] dlatego m[illegible] się oparła...

...Przetoś ty oszukał Promienistego... i Lampec[illegible] mieć nie będziesz... A teraz, idźcie w spokoju!"

. . . .

Bogowie odeszli.

Zeus został sam w swej chwale radosnej. Pr[illegible] chwilę patrzył milcząc w ślad za odchodzącym A[illegible] linem i mruknął zcicha:

— O tak! Jemu potrafi się oprzeć kobieta gł[illegible] pia.

I zaraz potem, ponieważ był niewywczasowa[illegible] bardzo, skinął na Sen, który siedząc na pobliskiej drzewie w postaci krogulca, czekał na rozkazy ojc[illegible] bogów i ludzi.

Henryk Sienkiewicz.

NA STAREJ CHOINIE.

Hm! jak było zimno! Codzień! A dni tych w[illegible] ciągnął się szereg bez liku. Stara choina, co m[illegible] sto zim pamiętała, dziwiła się nawet owej srogoś[illegible] stojąc po kolana w śniegu, w białej czapce, w kożuchu z grubej, mchem okrytej kory.

Dziwiła się, z nieukontentowaniem kiwając gałęźmi, i oburzona mówiła do młodszej siostry:

— Jak ci się zda taki porządek? Codzień jeśli nie śnieg, to mróz, a często i oboje włóczą się po lesie. Cygany te, zbójcy, myślą u nas chyba osiąść na stałe! Nie wiem, co sobie ten nasz pan-słońce myśli? Bezprawie, mówię ci, bezprawie.

— Co mi tam!—lekceważąco wznosiła ram[illegible] młodsza,—do mnie chłód nie dochodzi, a dobrz[illegible] bie czasami podrzemać.

— Błaźnica jesteś i basta. Albo się to ja o[illegible] bie troszczę? A moi lokatorowie!

— Jabym ta nigdy żadnej hałastry do siebi[illegible] przyjmowała.

— Gadaj, albo to nie wiem, że i ty masz, choć się jeszcze kryjesz. A liszki?

— No, liszki, cicho siedzą.

— A w tej rososze, co ci burza skręciła i dziupło się zrobiło, nic nie masz?

— Et, prawie nic. Wprosiły się sójki na lato, a teraz pusta.

— Moja droga! I ja za młodu lubiłam się [illegible] gadać i rosnąć. Na starość inne gusta. Lubię gwar wkoło siebie, no i dochód. Mam sporo mieszkań.

Płacą to oni licho, ale, że przeważnie biedota, a nie łajdaki, więc patrzę na to przez szpary, uno przywykłam do nich. Trapi ich ta zima kaducznie. Boję się, że nie wszyscy lata doczekają. Może kto i zamrzeć, a wiesz, co z tego? Naprzód mieszkanie opustoszeje, a powtóre niechętnie kto się osiedla po nieboszczyku—dowodzą, że straszy.

— Dużo ty ich masz, tych lokatorów?

— Ho ho! Pięć piętr, moja duszo!

W suterenie siedzi borsuk. Mówią, że to malkontent i zbój potajemny. Prawią tak mrówki, a[illegible] dowodów niema. Włóczy się wprawdzie tylko po nocach, ale może odzieży nie ma dość porządnej, aby w dzień paradować. Wiem zresztą, co ma w spiżarni, a przecie to fakt: co jesz, takim jesteś. Otóż grzyby tylko ma. Zwłóczył je całą jesień. Wogóle lubi to dreptać po grzyby, bo i dzie[illegible] chodziły, i żona się starała. Znieśli też tego pr[illegible] ant[illegible] całą komorę, do drugiej naciągali mchu i liści, [illegible] biedaki zimują.

Niby to śpi, ale mizernieje w oczach.

Dzieciom szczędzą zapasów, a sami cierpią.

Żal mi najgorzej starej. Zeszłego roku wo[illegible] wpadła w korytarze, zalała na śmierć dwoje dz[illegible] popsuła mieszkanie. Często stara wspomina [illegible] i płacze.

— Moja droga! Łatwo ci co wmówić. To twoje borsuki, chytre łotry. Posłuchaj, co mrówki opowiadają. Jak wpadną im do domu, to tys[illegible] dzieci niszczą i stuletnią robotę w perzynę obr[illegible].

— Wściekła przesada. Te ichmościanki lubią się wiecznie cudami pracy chełpić. A zresztą, nie one jedne chcą żyć. Wielka mi parada te ich dzieci. Ni to chodzi, ni co zrozumie. Tysiąc mniej, tysiąc więcej, a mrówek zawsze dosyć. Nie uwierzysz, jak mi one swem bezustannem włóczeniem się i zaglądaniem we wszystkie kąty obrzydły. Skład[illegible] to niby na pracę, a w gruncie monstrualna [illegible] wość.

— Ty bo dla swych lokatorów masz słab[illegible]

— To się grubo mylisz. Zaraz na parterze za[illegible] krzywą gałęzią jest ciupka kawalerska, którą [illegible] zajął pstry dzięcioł. To jest skończone ładaco. [illegible] wiosna obiecuje ustatkować się i żonę bierze, [illegible] lą się, skaczą, dokazują, nawet raz troje [illegible] mieli: a potem na jesieni żonę precz wyg[illegible]

---

*) Do czuwania nad porządkiem i bezpieczeństwem w mieście, używani bywali w Atenach niewolnicy scytyjscy.

rzuci i znowu kawalera udaje. Wymówiłam mieszkanie, a on mi na to bezczelnie: „To ście za remont". Prawda, stancyjka gładka, wykuta, oheblowana, wejście z rzeźbą. Zmil- nie lubię wydawać pieniędzy. To łotr jest, uczciwie płaci. Liszki mi tępi, pędraki pę- i dnia nie zaśpi.

łodka iluzja! Szyszki twoje żywcem na pal rozdziera.

prawda, nie moje! Gadają, że łotr to czy- kryje. Oho! niechby! Wygnałabym nie-

la się stara choina, ale po chwili znowu śkawa mówiła dalej:

wsze piętro przed pięciu laty zajęły pszczo- owiadam ci, to był piękny dzień, gdy do mnie pozycją i warunkami posły przyszły. Nielada nor ich mieć, nielada bezpieczeństwo. Teraz jam ięta i szanowna wśród całego lasu.

Było trochę kłopotu i krętaniny,

Mówiły, że ciasno, ze drzwi za wielkie, że im rówki będą szkodziły, że z dachu może zaciekać. iadomo, wielkie panie, czują, co za honor robią.

Musiałam im dach dobrze gałęźmi i igłami otulić, ścia mchem pozacieśniać, wewnątrz się ścisnąć, mrówek żywicy dać i na paszę mszyc jedną ż ustąpić.

o, i pewnego południa przybyły. Skłoniłam się cz cią przed królową, złotym pyłem posypałam im drogę, otuliłam od wiatru i skwaru. Moja droga! szczęsny, kto w sercu swem takiej mądrości i pracy dał mieszkanie; a chociem tylko choina stara, z dębem nie zmienię honoru, gdy mi mały, duży, człowiek i mól powiada: „to barć!"

Takam wtedy dumna, żem opiekunką i domem tej królowej i ludu nad wszystkie mędrszego!

O! biedy były. Raz, mrówki ladaco, zerwały umowę i zajrzały do ula. Musiałam im jeszcze dla stu mszyc paszy dodać i żywicy szmat od pnia odłupić.

Potem czarna żółna, mego dzięcioła kuzynka, chciała do nich się dobrać! Ten ladaco jej pewnie łatkę puścił i namówił.

zucałam na nią szyszki i gałęzie, nic! kuła i kuła. W em po radę do człowieka poszła—zastrzelił ją. Od chnęłam.

I się dziwisz, żem łagodna i dobra; jakżebym zła być mogła, serce całe mając miodu pełne! Jam barć!—

Dąb przepyszny, co opodal stał, nagiemi gałęźmi wstrząsnął i zaszemrał z westchnieniem:

— Ty barć! Ty nietykalna!

— Już i pszczoły ten chłód czują. Zaglądałam onegdaj. Ciepło niby i zacisznie, a przecie bez humoru. Ekonomi utyskują, że może do wiosny miodu nie starczyć.

Zgroza zajrzała mi w oczy, gdym to usłyszała. ałam już bez tych pszczół swoich żyć nie potrafiła, o co po nich warto do serca przygarnąć?

Tam wyżej ulokowały się szpaki.

e podobały mi się zrazu, bo obiecywały zawie- i liszki tępić, i mech od południa oczyścić, i suche gały pozbierać na młodych pędach. Wreszcie zgodziły się na rok, i osiadły. Wrzasku tam było co niemiara, plotek, kłótni, zawiści i próżnej paplaniny.

Czekam na zapłatę — miesiąc — dwa—wreszcie pominam. Cała zgraja odpowiada z fukaniem: jeszcze do roku daleko. Po terminie możesz nam komornika nasyłać, a teraz wara! Wolnoć Tomku w swoim domku.

—Ha—no, czekam. Ale to i niechlujne, i niebycz e—dzieci zuchwałe i psotne.

S ciłam cierpliwość, nasłałam im wróbla komornika. Moja droga! tenby nawet mrówki od mszyc wygnał. Wygnał i ich. Numymyślały mi, ile się zmieściło—i precz uciekły. Chciałam ich za wymysły procesować, ale wróbel radzi czekać, aż wróca, a tymczasem to ich mieszkanie zajął i pozwy i o zanieczyszczoną kwaterę, i o zaległe ko- ię, i o obelgi!

jeżdżę ich do szczętu, i dobrze! co warte takie tałałajstwo, które z nami razem zimy nie cierpi? Jabym ich nauczyła! Albo tym włóczęgom paszportów nie dawać, albo wcale z powrotem nie przyjmować.

— t, ja ich lubię. Zawsze jaką nowinę z za morz przyniosą.

— Potrzebne te nowiny. Niezadowolenie z własnego bytu i próżne mrzonki—oto ich owoc.

— No, no, będziesz ty miała i z wróblem miłe historje. Tego ci nikt nie wypędzi, byle raz w cudze pierze wlazł.

— Być może. Ale adwokata swego mieć, to też rte. Niech siedzi.

— Jeśli pieniać się lubisz, to i owszem.

— no, moja droga, różnie bywa—zamruczała oina, wobec widocznej ironji siostry tracąc chęć gawędy.

Otrząsła trochę śniegu z barków, i znów stała cierpliwa, wyglądając lepszych dni.

A tymczasem niebo było czerwone, aż raziło oczy, a ziemia zionęła z siebie chłód smalący. Zajrzały te mroźne płomienie do dziupła, co het nad mieszkaniem adwokata wróbla czerniało wąską szparą.

Wykręcona dziwacznie gałąź chociny zasłaniała je od śnieżnych zadmuchów, ale i tam nielepiej się działo, jak gdzieindziej.

Przeklęty mróz! przeklęty.

Przez szparę wyjrzały czarne ślepki i sterczące uszki. Lokatorka zlustrowała otoczenie i wyszła na świat.

Nie większa jak pięść, w rudem futerku, z kitą puszystą, najmniej odczuwała chłód.

Usiadła na gałęzi i zadumała się.

Jeść chciała, a gorzej jeszcze głodne były pędraki: czworo żarłoków, które wykradły poza plecami matki wszystkie orzechy i pożarły do pół zimy zapas całoroczny.

Obiła je, ale co to pomoże.

Kory gryźć nie chcą, żadnego ziarna niema, a i pożyczyć od kogo niema.

Machnęła kitą tu i tam, zaruszała wąsikami, przestąpiła z nóżki na nóżkę.

W dziuple hałasowały dzieci. Z głodu teraz codzień się biją i gryzą o łupiny orzechów. Matka już i rozbrajać przestała. Jak się biją, zapominają o jedzeniu.

Znowu machnęła kitką i skoczyła na niższą gałąź.

Stara choina pogardliwie na nią patrzała.

— Dobrze ci tak, kiedy nie dbasz o obyczaje. Byłby mąż—byłby opiekun. Naco zarobiłaś, to masz! Błoga imaginacja: jednej babie tyle bachorów wykarmić! Żeby to choć naukę wzięło. Gdzie tam! ledwie to podhoduje—do psich figlów znowu gotowa! Cierp asanna, cierp!

Wiewiórka jakby nie machała kitką i zbiegała na dół. Na śniegu tak ją chłód objął, że dwie przednie łapki podniosła do pyszczka i chuchała w nie.

Zajrzała do nory borsuków, ale się zlękła czarnego korytarza, i wstydziła się żebrać u dzietnych, jak i ona, sąsiadów.

Znowu przykucnęła na śniegu, grzejąc łapięta i strzygąc uszkami. Pomimo biedy, miała zawsze impertynencko-zalotną minę.

Zaczepił też ją wróbel adwokat.

— Nóżki zaziębisz!

— Ech, co mi tam!

— Kogoż to wyglądasz?

— A wiosny.

— Toś zawcześnie wyszła.

— Zkąd wiesz?

— Mam kalendarz.

— To powiedz, kiedy zima nas porzuci.

— Daj trzy orzechy.

— Może jeszcze co! Widzieliście go!

— No, to nie powiem. Kalendarz kosztuje!

— To go sobie zjedz.

Machnęła kitą i pobiegła. Nóżki jej po śniegu czyniły jakby łańcuszek perełek, w które wpadało słońce i złociło je. Czasem przystawała, grzejąc łapki, czasem podnosiła się w górę, lub grzebała śnieg zawzięcie.

Zabiegała do krzaków jałowca, w nadziei, że znajdzie choć parę jagód przymarzłych, ale przed nią już jemiołuszki tu żerowały, bo znalazła po nich piórko złote z czerwonem, a obwąchawszy je, pobiegła do dębu, w nadziei znalezienia choć jednego żołędzia.

Ale i tu nic—nic. Z desperacji zwiesiła kitę, szron osiadł jej na wąsikach i na końcach uszu, łańcuszek śladów szedł zygzakiem, widocznie bez celu.

Nagle stanęła, jak wryta, na tylnych łapkach, cała we wzrok i słuch zmieniona.

Coś się działo w borze, coś stukało, coś pracowało.

Zlękła się, i chciała uciekać, ale ciekawość nadewszystko była większą.

Skoczyła na dąb, z gałęzi na gałąź, aż na sam czub. Przysiadła za pękiem jemioły i wyjrzała. Oczęta miała bystre, a czarne i okrągłe, jak paciorki.

Stała opodal sosna koszlawa, rosochata, prawie krzak, o korze grubej i nierównej. Nisko nad ziemią, do pnia jej uczepiony jak akrobata, tkwił dzięcioł pstry—jej sąsiad, i tak kuł zawzięcie.

Wrócił jej rezon i nawet chęć do figlów.

Znowu znalazła się na ziemi, cichutko podbiegła i parsknęła wielkim śmiechem.

Ale kowal już ją przedtem spostrzegł, i tylko, głowę przekrzywiwszy, spytał:

— A czego tu?

— Tak sobie, na spacer!—odparła z głupia frant.

— Winszuję! w taki mróz.

— Mam szubę—dobrze mi!

— Ale głodno! mruknął, nos o drzewo ocierając.

Zamiast odpowiedzi, przyjrzała się jego robocie, i plasnęła łapkami.

— Bój się Boga, kowalu, toż ty szyszki żywcem pożerasz! Dzieci naszej choiny! czy ty masz sumienie!

— A mam!—flegmatycznie odparł — bo je aż tu zanoszę, żeby stara nie widziała. Zresztą żywcem, nie żywcem—żadna się nie odezwie, że ją boli!

Tu znowu nos o drzewo otarł. Taki miał zwyczaj, jakby go wieczysty katar trapił.

— Wypasłeś się też na pokaz! Dobre te szyszki być muszą?

— Aha—furda orzechy!

Tu znowu ogon mocniej o pień oparł i kuć począł. Szyszka była osadzona w korze, jak w kleszczach, a on jej tarcze rozbijał i dobywał ziarna brunatne, grube.

Wiewiórka skoczyła na gałąź i przyglądała się robocie, połykając ślinkę.

Taka była głodna, taka głodna.

— Kowalu,—rzekł—a dalibyście mi parę szyszek dla dzieci!

— Albo to moje dzieci?—odparł, łykając;—do żadnego orzecha niema przystępu za tobą, a teraz już ci szyszki pachną!

Zresztą jeśli się dobierzesz do magazynu, to ci pozwolę trochę wziąć dla bębnów.

— A gdzież ten magazyn?

— A ot—pod sosną tutaj. Śnieg przysypał.

— Głupstwo, ja śnieg odrzucę! Mój kowalu, a jak nas kto przed choiną oskarży?

— To ciebie stara wypędzi, a mnie zostawi, bo ja jej najlepiej płacę.

— Drobiazg pomarznie! szepnęła—wiewiórka w zamyśleniu, ruszając kitą tu i tam i strzygąc uszkami.

A dzięcioł nos otarł o korę kilkakroć, i z pod oka na nią spoglądając, rzekł:

— Jak chcesz!

Chwilę jeszcze pomedytowała, potem skoczyła na ziemię, zawęszyła pod sosną.

— Jak mi dzieci miłe, prawda! Czuć szyszki! —szepnęła, poczynając śnieg odrzucać.

Odrzucała z ochotą i zapałem, aż się zdyszała, aż chciała zrzucić szubkę, takie gorącości ją ogarnęły. Tylko ten śnieg się kłębił, a jej kita migała.

Dzięcioł kuć przestał, wgramolił się na gałąź, i zwiesiwszy wielki nos, przyglądał się robocie.

W tem wraz ze śniegiem wyleciała w powietrze jedna szyszka, potem druga i trzecia.

Magazyn stał otworem, a obfity był!

Ale oto nagle dzięcioł z gałęzi się porwał, wpadł na wiewiórkę, palnął ją w bok skrzydłem, uderzył dziobem po głowie, aż się biedna zaryła w śnieg, straciwszy z bólu i niespodzianej napaści przytomność.

— Ty? czego tu—czego! krzyczał.—Złodziejką być się boisz, to żebrzesz! Nie dam ci ani jednej szyszki, głupia! To moje, a żeś się spracowała — to słuszne! Głupi zawsze za mądrego robi! Precz mi idź, precz! bo cię ubiję.

Myślisz, że nie wiem, jak mnie przedrzeźniasz za plecami, i dzieci tak uczysz!

Tu wiewiórka oprzytomniała wreszcie, wstała ze śniegu, otrzepała się i rozpuściła język:

— Ty nosalu! ty pstry brudasie! ty szyszkożerco! Bodaj ci ten gruby nos wrósł w drzewo! bodaj ci żywica nogi pokleiła! bodajeś się na ogonie powiesił. Rozpowiem ja, rozpowiem, jakiś ty! poczekaj!

Siedząc na stosie szyszek, dzięcioł się nadął, nastroszył, głowę zupełnie w ramiona wciągnął, i kobiece gadanie puszczał mimo uszu.

Ona, rozsierdzona, przyskoczyła do niego, machnęła go kitą po nosie, i wszystkiemi czterema nóżkami rzuciła mu w twarz kłąb śniegu.

To była ostatnia zemsta. Przytem zdołała porwać szyszkę i odskoczyć z nią o kroków kilkanaście.

Tam, w oczach swego krzywdziciela, rozdarła ją i zjadła. Wtedy z całej mocy cisnęła na niego resztkami.

— Masz, masz! Dosyć mi na dziś. Dosyć! Adzju!

Skłoniła mu się kitą i pobiegła.

Ponieważ zapomniała wziąć z domu kobiałki na prowizje, przeto kilkanaście ziarn dla dzieci niosła w pyszczku, i wyglądała, jakby na fluksję cierpiała.

Przybiegła do choiny i prędko wdrapała się na swą salkę.

Dzieci wnet ją opadły z piskiem i skargami jedno na drugie.

Najprzód więc obiła wszystko czworo, a potem nakarmiła.

Złość miała zapalczywą, ale wnet ją inne wrażenie zacierało, i ani się obejrzała, jak sama z tej złości się śmiała.

— Cha, cha, cha! Cha, cha, cha!—rozlegało się z dziupli niefrasobliwe, urągające zimie i głodowi, a cztery dziecinne głosiki wtórowały chórem, bez powodu—za panią matką!

Takie *larum* uczyniły, taki rejwach, taki gwałt, że wyjrzała przezedrzwi sowa faktorka, zajmująca strych choiny, i pomyślała:

— Ani chybi—wiosna prędko.

Przeciągnęły się borsuki w norze i młodszy spytał:

— Matko, może już wstawać?

Pszczoły popotniałe i słabe otarły skrzydełka; szmer przeszedł.

— Coś się już odzywa wesoło na świecie!

Adwokat stanął na progu i rzekł do dzięcioła, co zdyszany na nocleg wracał:

— Słyszysz, co ta awanturnica dokazuje! Ona mi tu bez kalendarza wiosnę czyni.

— Trzy razy do wiosny zemrze—impertynentka!

— U ciebie co za wesele, siostro?—spytała młodsza sosna.

— Wesele, moja duszo, wesele biedy z humorem. Mówię ci: o tę warjatkę jestem spokojna. Czworo dzieci, nędza, głód—ale humor.

Ta się wiosny doczeka i innym czekać pomoże.

Słyszysz, jak to się śmieje. Jak się rozochocą, tańce urządzą!

Prawda i to, że mi chyba tą uciechą za lokal płacą.

Mróz smalił ogniem, od ziemi, od nieba,—nigdzie nie było litości.

— Cha, cha, cha! Cha, cha, cha!—wrzało u wiewiórek na salce!

Marja Rodziewicz.

„Z WYDARTYCH KART..."

„Czemu się zbliżasz do mnie milczący?
Czemuś w rozmowie ze mną ostrożny?
Dłoń ci ściskając, czuję, żeś drżący;
Patrząc ci w oczy, widzę, żeś trwożny.

Mnie nie oszuka twarz obojętna,
Udany uśmiech zawieść nie zdoła.
Bo nie zagłuszysz ty serca tętna,
Bo ty bladości nie zdejmiesz z czoła!

Byliśmy sami... Smutny, ze drżeniem
Dłoń mi ścisnąłeś, zimny z pozoru;
Chciałam, byś mówił, a ty milczeniem
Zwiększyłeś tylko ciszę wieczoru.

Dlaczego? Powiedz!... w jakiej rachubie
Słowem nadziei nie chcesz mnie darzyć?...
Gdy powiedziałam, że marzyć lubię,
Dałeś odpowiedź, żeś przestał marzyć!...

Gdy w noc majową lekkiemi wiosły
Łódź nasza gnała, jak ptak swobody,
Mnie w gwiazd krainy marzenia niosły,
Ty wzrok utkwiłeś w zimną toń wody.

Ja skrzydeł chciałam, i biedz za echem,
I snuć obrazy z tęcz malowideł;
Z ust twych, skrzywionych bólu uśmiechem,
Wypadło słowo, żeś zbył się skrzydeł.

Chciałam być gwiazdą i w noc majową
Na twoje czoło rzucać blask własny;
Znowu sny moje rozwiało słowo
Straszne, okrutne: wolę dzień jasny!...

Więc dniem być chciałam, w którym natura
Wdzięczy się słońcu wszechczarów mocą;
A na twem czole osiadła chmura
I twarz się czarną powlekła nocą.

Chciałam być kwiatem... o! nie dla siebie—
Wonią upajać i stać w purpurze...
Czy lubisz róże? spytałam ciebie,
Rzekłeś, żeś wszystkie zerwał już róże!

Więc powiedziałam, że moje serce
Chciałoby kochać i śnić wieczyście;
Ty, w jakiejś dziwnej myśli rozterce,
Wskazałeś zwiędłe na kwiatach liście.

Tak w słowie każdem, każdem pytaniu,
Trwa kłótnia myśli, spór duchów wieczny—
I rozkosz czuję przy powitaniu,
I wiem, że spędzi ją ból serdeczny.

Lecz pod kamienną maski powłoką,
Mimo słów zimnych i ust bladości,
Przeczuciem serca wzmocnione oko
Dostrzegło drgnięcie struny miłości.

Za słów przekorę, za tajemnicę,
Którą złożyłeś w sercu, jak w grobie,
Patrzące dotąd prośbą źrenice
Żadnych zapytań nie dały tobie.

Choć czoło miałeś jak grób spokojne
I twarz pokrytą maską nieznośną,
Musiałeś cierpieć—i zwiodłeś wojnę
Z ukłutem sercem, bo biło głośno.

I byłam smutna—i łzy, łzy duże
Na pierś mi spadły, jak grad perłowy...
Ach! wtedy rzekłeś... że lubisz róże,
Lecz wprzód kochałeś kwiat lilijowy.

Kazimierz Gliński.

METODA KOCHA.

HUMORESKA.

Z ratusza lwowskiego, gdzie mieści się muzeum przemysłowe i szkoła rysunkowa dla kobiet, wychodzą panny po skończonej lekcji. Naprost drzwi stoi od dłuższego czasu młody bardzo, przystojny mężczyzna o sentymentalnem spojrzeniu i zdaje się na kogoś wyczekiwać.

— Pan czeka na Leonkę?—zapytuje go nagle dźwięczny głosik fertycznej w ruchach młodej panienki, która z lekkością sarny zbiega ze schodów i wprost zbliża się ku niemu.

— Moje uszanowanie pani—odzywa się ów mężczyzna, zdejmując kapelusz, a fala rumieńca oblewa mu twarz po same białka oczów.— Czy jeszcze nie wyszła?— pyta nieśmiało.

— Wcale dziś nie była na lekcji i sądzę, że pan dobrze wiesz o tem.

— Doprawdy... nie spodziewałem się—odpowiada zmieszany.

— Brzydko jest kłamać, panie Kazimierzu. Wszak wczoraj, kiedyśmy z lekcji wracały, przy panu mówiła, że dziś nie będzie. Na co ta udana nieświadomość. Ale ponieważ pan już jesteś, to spodziewam się, odprowadzisz mnie do domu... Pójdźmy więc, bo jakoś nie wypada wystawać tutaj na dziwowisko koleżanek. Więc proszę powiedzieć mi otwarcie, po co tu pan przyszedłeś, na kogo czekałeś? Jestem przyjaciółką Leonki i uważam sobie za obowiązek rozciągnąć kontrolę nad jej bratem, gdy jej tu niema. No, mówże pan zaraz, na kogo tu czekałeś. Nie odpowiada pan, co? Żenujesz się... a ja wiem na kogo... Oho, tylko się pan nie uśmiechaj ironicznie... pan czekałeś na mnie?

Znów fala czerwona przeszła po twarzy Kazimierza, chciał coś powiedzieć, ustami poruszył, ale się zaciął i oczy spuścił.

— Prawda, że na mnie?

— Prawda...—szepnął nieśmiało.

— Już to pan za grosz jeden nie masz w sobie żadnej przebiegłości i jesteś tak naiwnym, ach mój Boże, tak naiwnym...

To mówiąc, panna Zofja roześmiała się całą buzią, patrząc z impertynencją w oczy Kazimierzowi, a dwa rzędy białych i lśniących ząbków tylko mu się mignęły.

— No, no, uspokoję pana—odzywa się zaraz—ja się nie gniewam o to. Proszę, weź no pan na chwilę moją tekę, muszę poszukać chusteczki od nosa, a trzech rąk nie mam... Widzisz pan przecie, w drugiej trzymam parasolkę... Trzymajże pan jak należy, jakiż to z pana niezgrabjasz, patrz, rysunki moje wypadają na ziemię... Oj, nie chciałabym być pacjentką pana przy jakiejbądź operacji; wszystko panu z rąk leci i to widocznie dlatego, że idziemy sami bez Leonki. Czy ja pana tak czaruję?

— Więcej, niż czaruje, pani mnie obezwładnia...

— No, przecie się panu raz coś dorzecznego wyrwało—mówi, zwracając ku niemu uroczą główkę i czarnemi, jak tarki, oczyma wpijając się w jego zażenowane oczy.— Przecież ja wiem, że pan się we mnie kocha.

Kazimierz zrobił pewien ruch ustami, jakby chciał zaprzeczyć.

— Jakto? masz pan chęć zapierania się, a to bardzo ładnie z jego strony... Za pozwoleniem, gdzież to pan skręca? po cóż mamy iść koniecznie głównemi ulicami, żeby nas kto znajomy spotkał... idźmy prosto, choć trochę dłuższa droga, mam dosyć czasu i nie pilno mi do domu... Ależ to pan jesteś dziś czerwony, jak piwonja, jeszczem pana takim nigdy nie widziała... No, przyznaj się pan, umyślnie chciałeś mnie spotkać bez Leonki, aby mi powiedzieć o swoich uczuciach.

— Pani chyba jesteś Panem Bogiem, że tak czytasz w moich myślach.

— Obrażasz mnie pan. Na to, żeby wiedzieć, co się dzieje w sercu pana, nie trzeba być wielkim prorokiem, a tembardziej Bogiem. Od dwóch miesięcy widzę to i czuję... i przyznam się, drażni mnie ta szczególniejsza z jego strony powściągliwość. Myślałam sobie nieraz: no, po takich czułych spojrzeniach—dziś, jutro mi z pewnością powie—a pan nic... To pewnie znów jutro—ale i to nie. Przyznasz pan, że musiało być męczącem dla mnie podobne oczekiwanie! Więc powiedzże pan naprawdę, kochasz mnie pan, czy nie?

— Kocham—wyszeptał właśnie w tej chwili, gdy przechodzący trotuarem żyd z koszem bułek trącił go tak mocno, że aż się zachwiał i skoczył do rynsztoku.

— Widzi pan, jak to jest źle być nieprzytomnym. Nic pan nie widzisz i nie słyszysz w tej chwili.

— Słusznie, bo w takiej chwili...

— Spodziewam się, dla pana przyjemnej...

— Bozkiej, powiedz pani, a jakąż też ona jest dla pani?

— Hm... gdyby to pan powiedział mi dawniej, sam, z własnej woli, bez takiego forsownego pompowania z mojej strony, byłoby może co innego. Miałabym kompletną niespodziankę i zapewne rumieniłabym się, jak pan. Ale teraz, kiedy już z góry wiedziałam o wszystkiem, rzecz stała się nieświeżą. Nie sądź pan, że w sprawach [illegible] wych jestem tak naiwna, jak Leonka. Oho, ja dużo [illegible] przedmiocie czytam i studjuję psychologicznych p[illegible] o sercu kobiety, o naszem sercu, o waszem sercu, [illegible] gmacie i rozumiem się dobrze na klasyfikacji [illegible] a szczególniej znam proces wyrabiania się ich u mę[illegible] A wiesz pan, jaki jest główny warunek podoba[illegible] nam? Oto śmiałość i ryzykowność. A pan co [illegible] dotąd, aby w naszym domu bywać?

— Kiedy wiem, że ojciec pani antypatyczni[illegible] doktorów.

— Otóż to właśnie jest najwdzięczniejsze pol[illegible] winięcia pańskiej pomysłowości. Wielka rzecz, [illegible] komuś, tak, bez żadnych przeszkód, wprowadzić d[illegible] domu, potem przychodzić częściej, zasługiwać się [illegible] i papie, spoglądać czule na pannę, nadskakiwać, ta[illegible] z nią, znosić książki i bukiety, a w teatrze częstować cu[illegible] kierkami, w końcu za jakie dwa miesiące oświadczyć si[illegible] papie w gabinecie... Jabym w ten pospolity sposób nig[illegible] za mąż nie wyszła, ja wszystko lubię z przeszkodami, l[illegible] bię, żeby się o mnie dobijano... Ale, ale wie pan, że j[illegible] mam suchoty...

— Wolne żarty... pani wyglądasz, jak rybka.

— To są pozory, a ja czuję wyraźnie, że mam tu w płu[illegible] cach laseczniki Kocha. Wczoraj nawet przy kaszlu poka[illegible] zała mi się krew. No czegoż pan robisz tak odrętwiałą minę! Zamiast się trwożyć, lepiej żebyś mnie pan ratował metodą Kocha. Tatko nie ma wiary w doktorów, ale odkrycia berlińskiego profesora niezmiernie mu zaimponowały i ręczę, jakbym mu powiedziała o stanie mojego zdrowia, zdecydowałby się wezwać naturalnie tego, który tu we Lwowie pierwszy zacznie leczyć jego metodą.

— Trzebaby jechać do Berlina, a ja nie mogę—odzywa się na to ciężko westchnąwszy pan Kazimierz.

— Mnie się zdaje—mówi na to panna, spoglądając badawczo w twarz jego—że tu niekoniecznie potrzeba tam jechać; dość będzie wrócić z Berlina, albo mieć flaszeczkę limfy od Kocha.

Młody człowiek spojrzał na nią tak dziwnie, że panna Zofja parsknęła śmiechem.

— Jakże można zkądś wracać, nie jadąc tam—rzuca doktor.

— Na świecie wszystko można, jak kto umie sobie poradzić. Proszę pana, jeżeli można gdzieś jechać nie wracać, to tak samo można wracać nie pojechawszy. Od czegóż są gazety. Jutro albo pojutrze naprzykład można wyczytać w rannym dzienniku, że p. dr. Kazimierz Rybarski, dawny i *ulubiony* uczeń profesora Kocha, otrzymał pierwszy flaszeczkę limfy od niego. Proszę mi nie przerywać, ogłoszenie takie może być, jak kto ma przyjaciół między dziennikarzami. Ojciec mój trapi się chorobą jedynaczki, czyta o tem w gazecie i posyła [illegible] po [illegible] Kazimierza, ręczę za to, że po[illegible]le... Naturalnie pan [illegible]tor pośpieszy i radykalnie córkę pana dyrektora wyleczy ciągu tygodnia, o czem jestem zupełnie przekonana. Cowtedy się robi? Oto pan dyrektor przez wdzięczność zaprosi go, aby częściej bywał w jego domu i pilnował drogiego zdrowia jego córki, a sądzę, że to dla pana będzie przyjemnem.

— Proszę pani—odzywa się na to Kazimierz—aż to byłaby blaga na grubą skalę.

— Prawdziwa miłość nie przebiera w środkach; zboż cała wasza medycyna nie jest także blagą, jak utrzymuje tatko...

— Jest to kwestja przekonań.

— A ja też mam takie przekonania, że jak kto kocha, pragnie osobę kochaną jaknajczęściej widywać... Ale otóż jesteśmy blizko domu, więc żegnam pana i proszę powiedzieć Leonce, że jutro ani pojutrze na rysunki nie pójdę, bo będę chora.

Podała mu rączkę, rzuciwszy na pożegnanie bardz[illegible] a bardzo słodkie spojrzenie i zniknęła w bramie domu.

Przez całą noc i dzień następny rozmyślał młody esku[illegible] lap nad tem, co jest lepszem: godność lekarza, czy miłoś[illegible] panny Zofji i nie mógł się zdecydować: tak, czy tak. Ale gdy następnego dnia nie pokazała się panienka na lekcji, opanował go straszny niepokój o jej zdrowie i godność lekarza przed miłością skapitulowała. Skutkiem czego drugiego już dnia czytaliśmy w formie pogłoski ogłoszoną w rannym dzienniku nowinę o pierwszej flaszeczce limfy profesora Kocha i że tym szczęśliwcem, który ją miał otrzymać, jest p. dr. Kazimierz Rybarski. O godz. 2-ej po południu już otrzymał wezwanie pana dyrektora do chorej córki.

Pan dyrektor, obywatel ziemski, powołany do zarządu pewnej instytucji finansowej we Lwowie, jest pierwowzorem zdrowia i wszelkiej pomyślności, a zarazem, jak się sam wyraził, człowiekiem myślącym.

— W waszą aleopatję i homeopatję nie wierzę; wierzę tylko w nóż chirurga i kleszcze akuszera, bo skutki ich widzę. Ale przyznam się panu, teorja Pasteura mi [illegible] podoba, dlatego i Koch ma u mnie pewne względy. [illegible] uważasz pan, jestem człowiekiem myślącym i czasami, j[illegible] usnąć nie mogę, to myślę. Otóż, zważ pan, idę dalej, j[illegible] ci dwaj naturaliści, i przypuszczam, że człowieka wc[illegible] nie ma...

— Jakto niema?—przerywa mu pan Kazimierz—w[illegible] pan dyrektor jesteś, ja jestem i, spodziewam się, [illegible] córka jest, bo mnie do niej raczyłeś wezwać.

— Podług dotychczasowych wyobrażeń naszych, takby się zdawało—mówi na to dyrektor—ale w gruncie rzeczy jesteśmy tylko zbiorem różnego rodzaju bakteryj i mikrobów, zamkniętych w formę kształtów, które nazywamy człowiekiem, czyli że jesteśmy naczyniem dla nich. Proszę się nie śmiać, bo w tem jest myśl, nowa jeszcze, ale może mieć swoją rację. Nasze zmysły są zawodne, to pan wie, więc dlaczegóżby mózg nie składał się z bakteryj, które myślą, dlaczegóżby głód tych żyjątek nie zmuszał nas do jedzenia i picia; inny rodzaj kazał nam się kochać w drugiem bakterycznem naczyniu, które nazywamy kobietą... A że mamy w sobie wielką ilość różnego rodzaju tych istot, o rozmaitych gustach i upodobaniach, więc każden rodzaj chce czego innego i ztąd też tłumaczy się ta rozmaitość apetytów, że raz człowiekowi zachciewa się słodyczy, to znów goryczy, raz ma apetyt na wódkę, to znów na kwasy...

Pan Kazimierz słuchał z powagą i patrzył zdziwionemi oczyma na dyrektora, który udowadniał, że np. burczenie po wnętrznościach, to jest nic innego, tylko głosy mikrobów, wołających o pożywienie. Tymczasem pacjentka w drugim pokoju zaczęła głośniej kaszlać i to przywołało ojca do porządku.

— Prawda—rzecze oprzytomniony—trzeba pójść do niej.

Panna Zofja leżała w łóżku i miała minę umierającej, to swoją drogą nie przeszkadzało, że wyglądała prześlicznie. Pan Kazimierz, jakby jej nigdy nie znał przedtem, wziął się do badania, opukiwania i słuchania, a trzeba mu to przyznać, że mimo fali rumieńców, bijących mu do skroni, wykonywał to nie śpiesząc się, ale z całą sumiennością i precyzją.

— Tylko mi pan nic nie zastrzykuj, bo to boli—zdołała mu szepnąć, gdy się nad nią nachylał.

— No, co pan doktor sądzi?—zapytał niespokojny ojciec.

— Co?—powtarza zamyślony Kazimierz.—Muszę powinszować panu dyrektorowi i pani—rzecze powoli—bo tak zdrowej osoby jeszcze nigdy nie widziałem. Płuca pyszne, jak miechy, serce w porządku, żółci jakby nie było, słowem typ zdrowia, okaz w dzisiejszych czasach niezmiernie rzadki.

Panience zaiskrzyły się oczy z gniewu, a szanownemu papie z radości.

— Ależ ja czuję, że jestem chora!—zawołała, poruszając się niespokojnie.

— Moje dziecko, to tylko tak ci się zdaje, bakterje walczą za ciebie między sobą i ztąd twój niepokój... Panie konsyljarzu, proszę, podaj mi rękę; pierwszy raz w życiu spotykam rzeczywiście uczciwego lekarza... Szanuję pana za to—mówi, wstrząsając po kilkakroć jego ręką— [illegible] żeby tu zaraz napisał łokciową receptę i tak kiwał głową, palcem w czoło pukał, że wszyscybyśmy łamali ręce z rozpaczy.

— Ja mówię całą prawdę—odzywa się Kazimierz, nie zważając na różne grymasy Zosi.—Jest mało zakatarzenie.

— Bakterje zaziębione, prawda?

— Może być, ale dwa dni w łóżeczku jak pani poleży, będzie zupełnie zdrowa.

Dyrektor uściskał pana Kazimierza, a gdy miał odchodzić, na skutek tajemniczego szeptu córki, rzekł do niego:

— Czego pan tak się śpieszy, proszę zostać na herbatkę u nas, pogadamy o mojej teorji. Ja sam jestem człowiekiem myślącym i lubię także ludzi myślących, a nie blagierów...

— A co—odzywa się pan Kazimierz do chorej, gdy papa wyszedł po cygara—czy nie lepszy skutek mojej przebiegłości?

— Przyznaję—odpowiada śmiejąc się—proszę tylko dalej trzymać się podobnej praktyki, a nie nazwę już pana więcej naiwnym! Lepiej odemnie trafiłeś pan w samo sedno przekonań ojca i ja kapituluję.

Albert Wilczyński.

---

* * *

Aforyzmy mają tę słabą stronę, że gdy się który nie uda, to nie można u spodu napisać: „Ciąg dalszy nastąpi".

*

Los gra z nami w *zielone*. Gdy się sprzyjająca okoliczność zdarzy, trzeba mieć w pogotowiu spryt i śmiałość, by z tego zdarzenia bez wahania skorzystać. Kto wtedy nie ma *zielonego*, ten przegrywa stawkę i musi spóźnionym żalem zapłacić.

*

Małżeństwo bywa często rodzajem ciuciubabki. Masz poznać i wyszukać tę lub tego, który najlepszą daje rękojmię, iż cię uszczęśliwi. Byłaby to rzecz może nie tak trudna, gdyby nie przyszła miłość i nie zawiązała ci oczu.

Włodzimierz Zagórski.

NIEBOSZCZYK.

(OBRAZEK Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA.)

...Lubiłem bardzo tego staruszka. Siwy jak gołąbek, miał lat coś około ośmdziesięciu, choć się do nich nie przyznawał. Niechętnie mówił o swoim wieku. Zagadnięty w tej materji zwykł był odpowiadać:

— Zdrów jestem, dajcie mi pokój. Ile mam, to mam; dość, że jak mi się widzi, żaden z was moich lat nie doczeka. Wy teraz wszystko robicie, jak na parowej maszynie—takie też i wasze życie.

Zwał się Jan Kublicki, a mieszkał w małej oficynce jednego z niepokaźnych dworków „nad Rudawą." Byłem raz w tem jego mieszkaniu. Zajmował dwa małe pokoiki, w których sprzęt był niemal ubogi, ale schludny i czyściutki, i biedy znać tam nie było.

Miał podobno jakiś kapitalik, od którego procent wystarczał mu na skromne utrzymanie; nikt jednak nie wiedział nic pewnego. Byli tacy, którzy pletli, że dusi grosze i siedzi na workach z pieniędzmi, ale niktby na to nie przysiągł. Dosyć, że od nikogo nic nie potrzebował. Owszem, nieraz zdobywał się nawet dla kogoś na skromny prezencik, jak naprzykład dla dzieci p. Marcina Kopytkiewicza, którego dom upodobał sobie jakoś nad inne i częstym w nim bywał gościem.

P. Marcin nie odpłacał mu się wzajemnością; wprawdzie u siebie tolerował go, a nawet zdobywał się na powierzchowne oznaki czułości, skłoniony snać do tego przypuszczeniami o świetnej sytuacji majątkowej staruszka, których, jak się raz wygadał, był tajemnym wyznawcą; prawdopodobnie chodziło mu o wykrycie owego domniemanego kapitaliku i przeniesienie go na swoją kamieniczkę na Kleparzu. Sam przecież nie odwiedzał go; był „nad Rudawą" wszystkiego raz, albo najwięcej parę razy, czego starowina nie brał bynajmniej za złe panu Marcinowi. Gdzież jemu, właścicielowi realności i kandydatowi na radcę miejskiego, fatygować się z wizytami do figury tak małoznaczącej, i to jeszcze mieszkającej w takim zakazanym zakątku, jak „nad Rudawą". Wszakże to na drugim końcu miasta! Z Kleparza kawał niemały.

Staruszka znała dobrze cała dzielnica Nowego-Świata i Smoleńska, lubił bowiem przechadzać się po plantach na przestrzeni pomiędzy zamkiem a *Collegium novum*; regularnie przez rok cały można było spotkać go tam o pewnych godzinach, a latem i jesienią rad siadywał na jednej z ławek w pobliżu „Grażyny", gdzie zwykły zbierać się matki i niańki z dziatwą, dla której miewał zawsze w kieszeni karmelki, albo kolorowe cukierki angielskie. Dalej zapuszczał się wtedy chyba, gdy szedł na Kleparz w odwiedziny do pana Marcina.

Raz, jakoś pod jesień, zniknął nam nagle z horyzontu, nie pokazując się wcale w miejscach, gdzie zwykle można go było spotkać. Zauważyłem to po niejakim czasie dopiero; zaintrygowało mnie to tem bardziej, że zapytywany o niego raz p. Marcin, którego spotkałem na ulicy; nie umiał mnie objaśnić na razie; przyrzekł mi tylko, że się dowie.

Tak rzeczy stały, gdy razu jednego spostrzegłem na rogu ulicy skromną kartę żałobną, oznajmującą, iż zeszedł z tego świata ś. p. Jan Kublicki, którego pogrzeb odbędzie się jutro z kostnicy szpitala św. Łazarza.

Więc umarł w szpitalu! Biedny starowina! nie miał go kto doglądać w domu. Mój Boże! jak smutną jest starość dla człowieka osamotnionego! Jakież były ostatnie jego chwile?

Ale pomyślałem sobie, że może p. Marcin wie coś o tem, a nawet, że to on zapewne, zająwszy się pogrzebem, kazał wydrukować klepsydrę.

Postanowiłem przeto dowiedzieć się bliższych szczegółów, i w tym celu zwróciłem kroki ku kamienicy pana Marcina, gdy jak nato spotkałem jego samego, idącego śpiesznie i mającego minę bardzo zaaferowaną. Wytłómaczyłem to sobie łatwo kłopotami, nieodłącznemi od zajęcia się pogrzebem.

Nie widział mnie, trzeba było więc samemu go zaczepić. Zajęty moją myślą, przystąpiłem do rzeczy bez wstępu.

— Jak się pan masz?—rzekłem—cóż mu było? na co umarł?

— Kto taki?

— Kublicki.

— Jaki Kublicki?

— No, pan Jan, ten z nad Rudawy, pański przyjaciel.

— A! umarł? kiedyż?

— Jakto, nie wiesz pan?

— Pierwsze słyszę.

— Umarł w szpitalu, jutro pogrzeb.

— O!—rzekł pan Marcin tonem konwencjonalnego ubolewania — dziwno mi też było, że tak dawno go nie widziałem. Dzieci dopytywały się już o niego.

— Więc pan się nie dowiadywałeś w jego mieszkaniu?

— Nie miałem czasu. Pan wiesz, że teraz wybory do rady miejskiej.

— Będziesz pan na pogrzebie?

— No, naturalnie.

Z tem rozstaliśmy się, bo panu Marcinowi śpieszyło się.

Nazajutrz, o godzinie wymienionej na karcie pogrzebowej, stawiłem się w kostnicy. Ludzi była garstka maleńka, a wśród nich napróżno szukałem pana Marcina. Nie było go.

Chciałem zobaczyć jeszcze nieboszczyka, ale trumna, skromna bardzo, była już zabitą.

Ceremonje żałobne nie zabrały wiele czasu. Dwukonny karawan stał już przed kostnicą; wyniesiono trumnę i niebawem kondukt był gotów.

Ale idąc za nim, jakże zostałem zdziwiony, gdy oko w oko spotkałem się z żywym panem Janem.

Dziwnego doznałem wrażenia, i muszę się przyznać, że nim zdążyłem się opamiętać, lekki dreszczyk mimowoli przebiegł mi po skórze. Ależ bo zdarzenie było niezwykłe; ten sam człowiek, na którego pogrzeb przybyłem, stał przedemną we własnej swojej osobie!

Powitał mnie przyjaźnie.

— Cóż pan tu porabiasz? — zapytał, ściskając mi rękę.—Znałeś tego Kublickiego?

— Nie znałem wcale. Myślałem, że to pan.

— A! myślałeś, że to ja?—zawołał dziwnie jakoś ukontentowany. — Myślałeś, że to ja, i przyszedłeś? Poczciwy! więc tybyś przyszedł na mój pogrzeb, gdybym naprawdę umarł?

— Czyż pan potrzebujesz się pytać! toż to rzecz naturalna. Alboż nie jesteśmy znajomi?

— Tak, znajomi tylko, bo nie żyliśmy z sobą bliżej, a jednak przyszedłeś, aby mi oddać ostatnią posługę? Poczciwy!

A potem dodał, oglądając się w koło:

— Widzisz! a jednak Marcina niema; mógł przecież tak samo, jak ty, być wprowadzonym w błąd, przeczytawszy na karcie moje imię i nazwisko.

— Zapewne wcale jej nie widział — rzekłem, zatajając prawdę, aby nie martwić staruszka—inaczej byłby przecie przyszedł.

— Prawda!—rzekł, uwierzywszy—oddać bliźniemu ostatnią chrześcijańską posługę, to obowiązek każdego.

Wziął mnie pod rękę i poszliśmy za konduktem, aż na sam cmentarz. Przez drogę opowiedział mi, jak przed kilku tygodniami zmuszony był wyjechać nagle w pilnej sprawie do rodziny i, jak, wróciwszy wczoraj właśnie, wyczytał przypadkiem na karcie pogrzebowej swoje imię i nazwisko. Nie wiedział wcale, co to za jeden był ten nieboszczyk, nazywający się tak samo, jak on, ale pomyślał sobie, że trzeba iść na pogrzeb imiennika. Był ze mną nadzwyczaj serdeczny, rozgadał się i co chwila powtarzał:

— Poczciwy! tobyś ty poszedł na mój pogrzeb!

Wdzięczność ta ujęła mnie bardzo, to też nie wymawiałem się bynajmniej, gdy po skończeniu ceremonji zaproponował mi, abym mu zrobił tę przyjemność i pozwolił zaprosić się na stary miodek, którego, jak mówił, miał parę butelek schowanych na wielkie uroczystości.

— Tak! na wielkie uroczystości! — zakonkludował — a czyż może być dla mnie większa, jak przekonanie się, że jest na świecie ktoś taki poczciwy, co przyszedł na mój pogrzeb, nie będąc nawet pewnym, że to ja.

Prosto tedy z cmentarza poszliśmy nad Rudawę, do mieszkania pana Jana, który, natychmiast po przybyciu, wydobył z pieca butelczynę z owym miodkiem i dwie lampeczki, które napełnił z miną uroczystą.

Ale zaledwie, trąciwszy się, pokosztowaliśmy wybornego trunku, spostrzegliśmy przez okno—kogo? pana Marcina, który, wszedłszy na podwórko, oddzielające oficynkę, zamieszkiwaną przez staruszka, od głównego dworku, rozglądał się ciekawie. Zdawał się być zdziwiony spokojem, jaki tu panował, i widocznie szukał oczyma kogoś, kogoby mógł wypytać się o to, co chciał wiedzieć.

Zrozumiałem, że chodzi mu nie o pana Jana, który w jego przekonaniu był już nieboszczykiem, tylko o okoliczności, towarzyszące jego ostatnim chwilom, a pośrednio o zachwycenie jakiegoś języka w sprawie jego pozostałości.

Staruszek, zaledwie go zobaczył, zawołał do mnie:

— Patrz! patrz!—i przylepił twarz do szyby.

Gość, zwrócony właśnie ku oknu, spostrzegł go; zbladł i cofnął się machinalnie o parę kroków. Widocznie miał ochotę uciekać, ale w tej chwili pan Jan wypadł do sieni, aby go powitać.

Pośpieszyłem z nim byłem świadkiem spotkania.

Pan Marcin potrzebował czasu, aby ochłonąć i orjentować się; dopiero więc po pewnej chwili, nie kwapiąc się z uściskiem, do którego zapraszały go roztwarte ramiona staruszka, wybełkotał:

— Pan żyjesz!

W tonie tego wykrzyknika zdawała się brzmieć jakby pretensja, a przynajmniej zawiedziona nadzieja.

Oblicze pana Jana spochmurniało.

— Jakto! alboż pan myślał, żem umarł? — zapytał gościa, wlepiając weń niespokojne spojrzenie.

Gość usiłował nadrobić rezonem, ale mimowoli poplątał się.

— Hm! — odrzekł — przeczytałem na karcie pogrzebowej pańskie nazwisko i byłem tego przekonania, że...

— Byłeś tego przekonania, żem naprawdę zadarł nogi — przerwał żywo staruszek — i nie przyszedłeś na mój pogrzeb! Otóż to przyjaciel!

— Ależ ja nie wierzyłem ani na chwilę, żeby to o panu była mowa — bronił się pan Marcin.

Pan Jan machnął ręką:

— Żeby tak było — rzekł — nie byłbyś się mnie zląkł, jak upiora.

A potem dodał, klepiąc pana Marcina po ramieniu i obracając to wszystko w żart:

— Tak, tak, dla ciebie jestem upiorem, próżnobyś się wypierał. Chyba tem jednem przekonasz mnie, że tak nie jest, jeżeli wstąpisz do mnie na szklaneczkę miodu, którym właśnie delektujemy się. Tego mi przecie nie odmówisz.

Pan Marcin nie mógł odmówić i wszedł z nami do oficynki, ale z miną niezmiernie zaambarasowaną. Sam nie wiedział, jak się zachować i w jakim tonie prowadzić rozmowę.

To też, wypiwszy lampeczkę dla ceremonji, pożegnał nas, wymówiwszy się brakiem czasu z powodu wyborów.

Wysączyliśmy we dwóch resztę butelczyny. Miodek poprawił nieco humor staruszka; wzdychał jednak jeszcze niekiedy i całował mnie, powtarzając:

— Ty będziesz na moim pogrzebie, prawda?

— Nie życzę sobie doczekać tego — odpowiadałem.

— Doczekasz, doczekasz, prędzej może, niż myślisz. Co mnie już po życiu!

Biedaczysko przepowiedział sobie.

Niezadługo, niespełna w rok potem, w towarzystwie nielicznego gronka odprowadziłem go z tej samej oficynki nad Rudawą, na miejsce wiecznego spoczynku.

Pana Marcina i tą razą brakowało, a byłbym dał wiele, żeby był. Zdawało mi się, że nieboszczykowi lżejby było odbywać podróż pośmiertną.

Ale egoiści unikają ile możności pogrzebów; psują im one humor.

Józef Bliziński.

HEBE!

O Hebe boska! — z swej czary litośnie
Krople nektaru lej na wargi moje!
Patrz, jak spragniony przed tobą tu stoję!
Na ustach żądza z każdą chwilą rośnie.

Tyle je mętów życiowych skalało,
Płynąc żądz marnych zmąconą wciąż strugą...
Podaj mi, dziewo, swoją czarę białą!
Niech do niej przylgnę na długo!... na długo!...

Z nektarem w duszę wstąpi nowa siła,
Rozpłomienię ją w rozkoszy uroczej...
O Hebe boska! — dawnoś tu nie była!
Dawno cię ziemskie nie widziały oczy!

Choć jam nie godny, marne dziecię ziemi,
Tknąć czary boskiej usty śmiertelnemi,
Niech cię ubłaga krzyk serdecznej skargi:
Daj chociaż kroplę na spalone wargi!

Antoni Pilecki.

OKAZJA DO NIEBA.

NOWELKA.

Dzwonek zabrzęczał na ulicy raz, potem za chwilę drugi, potem trzeci raz, miarowo, jednostajnie. Głos jego poważny zatrzymał naraz wszelki ruch, dorożki jadące stanęły, furmani pozdejmowali czapki z głowy, ludzie poklękali na chodniku i pochylili czoła ku ziemi przed księdzem, który w białej komży, z wijatykiem na piersiach, szedł wśród uroczystej ciszy za kościelnym, niosącym zapaloną gromnicę w jednej a dzwonek w drugiej ręce.

Za księdzem biegła szybko gromadka ludzi, popychając się i tłocząc jedno przez drugie, aby się dostać coprędzej najbliżej księdza. Najwięcej jednak pchała się naprzód jakaś staruszka, z wypukłemi i pochylonemi od starości plecami, ubrana w wytartą i spłowiałą od starości salopkę i kapelusz, który kiedyś musiał być czarny, ale przez długie używanie i zniszczenie miał teraz kolor przykurzonych pajęczyn, był pogięty, ostrzępiony i niekształtnie przylepiony do siwych włosów staruszki.

Z kościstą ręką, wyciągniętą naprzód, którą robiła sobie miejsce w tłoku, dreptała drobnym krokiem szybko, dysząc ze zmęczenia.

— Patrzcie, ta zmokła wrona już się znalazła — odezwał się po przejściu księdza jakiś wyrobnik, wstając i otrzepując kolana.

— Ona zawsze musi być, gdy ksiądz idzie do chorego — rzekła przekupka, siedząca opatulona za straganem.

— I po co? Chyba żeby straszyć umierającego swoim krogulczym nosem i temi czarnemi ślepiami. Brr! wolałbym nie wiedzieć co, jak tę babę obrzydliwą widzieć przy śmierci. To może człowiekowi przed czasem duszę z ciała wystraszyć. Ja, żebym tak, czego broń Boże, był chory, albo kto z moich, tobym tej wiedźmy nie puścił do domu.

— Ba, albo to można jej się ognać? Wciśnie się za księdzem, klęknie, zacznie trzepać pacierze i potem ani rusz jej się pozbyć. Klęczy kamieniem, dopóki ksiądz nie załatwi się ze spowiedzią i nie da sakramentów, a potem gwałtem doprasza się do chorego, żeby ją puścić do łóżka na chwileczkę, chwilunię, na jedno słóweczko. U tej kawiarki z małego rynku nie chcieli jej puścić, mąż postawił się ostro i powiedział: nie, nie pozwolę, dajcie mojej babinie spokojnie skonać; co jej kto ma trzeszczeć za uszami. Nie pozwolę i basta. — A ona jak zacznie skomleć i prosić, zaklinać go na wszystkie świętości: jeżeli się Boga boicie, powiada, jeżeli dbacie o zbawienie waszej duszy, to zrobicie mi tę łaskę. Ja będę się modliła za waszą kobiecinę, żeby jej Pan Bóg nie poskąpił światłości wiekuistej, żeby jej dał żywot wieczny i koronę niebieską. — I tak go męczyła, męczyła, aż stary zmiękł, uląkł się poprostu pomsty boskiej i puścił ją do umierającej.

— I cóż ona takiego mówi konającemu? — spytał wyrobnik.

— A kto ją wie, kiedy gębę przyłoży do samego ucha choremu i coś szepcze, gada a wymachuje żywo rękami, jakby mu coś przykazywała, i jak zacznie gadać, to końca temu niema. Nieraz chory już oczami wywraca i ostatnie powietrze łapie piersiami, a ona mu jeszcze do ucha coś dokłada, a ciągle powtarza: tylko nie zapomnijcie, moiściewy, jak was proszę! Będziecie pamiętali? co? — Niejednemu konającemu, co nie ma rodziny nijakiej, albo też taką, co o niego nie dba, to nawet na rękę, że się taka znajdzie, co go w ostatniej chwili nie odstąpi i pomodli się z nim, i gromnicę w stygnących rękach przytrzyma. Co ona tak do ucha szepcze, to Bóg raczy wiedzieć; ale że jest wysłużna choremu, to pewna, bo i lekarstwo poda, i poduszki poprawi, i za pozwoleniem porządek zrobi koło niego; a w chwili skonania, kiedy rodzina traci głowę, lamentuje, wrzeszczy, płacze, ona, jako mająca już wprawę przy tylu nieboszczykach, i oczy zamknie zmarłemu, i opadłą szczękę podwiąże, i ręce złoży, prześcieradłem nakryje trupa; a często się zdarzy, że i pomoże babkom kościelnym umyć go i ubrać. Wysługuje się nieboszczykom, jakby ich chciała ująć tem sobie i dobrze usposobić.

Stojąc w bramie sieni, w której owa gadatliwa przekupka miała swój stragan, wysłuchałem mimowoli całego opowiadania o tej dewotce, którą zmokłą wroną nazywano. Przez to utkwiła mi w pamięci.

Nieraz potem spotykałem ją, ale zawsze tylko albo na pogrzebach, albo na nabożeństwach żałobnych lub na cmentarzu. Była jakby niezbędną częścią konduktu pogrzebowego, jakby koniecznym dodatkiem do całunów, czarnych ornatów, pochodni i żałobnych śpiewów księży. Przy bogatych pogrzebach rzadziej ją widywałem, najczęściej szła wtedy gdzieś schowana w tłumie, albo dreptała z tyłu. Ale na pogrzebach biedaków odgrywała główną rolę, szła zaraz za rodziną, a często razem z nią, podtrzymując ramieniem to płaczącą wdowę, to strapionego ojca, pocieszając, uspakajając, dodając ducha.

Bo muszę dodać, że mimo tego żałobnego zajęcia, nie miała wcale smutnej, pogrzebowej miny. Była tylko niezmiernie czynna, zajęta, ale twarz jej, ożywiona rumieńcami, czy też suchotniczemi wypiekami, oczy ruchliwe, równie dobrze nadawałyby się do orszaku weselnego i nie byłyby tam anomalją. Pogrzeby były widocznie jej żywiołem, w którym poruszała się swobodnie, jak ryba w wodzie. Odgrywała tu mniej więcej tę rolę, jaką starościny na weselach: zajmowała się wszystkiem, pamiętała o wszystkiem i za wszystkich, a że miała wprawę nielada, więc przestrzegała porządku pogrzebowego i komenderowała, jak dowódca. Ona dysponowała komu dawać świece, kto ma iść za karawanem, kto prowadzić ma osoby najbliższe zmarłego, wstrzymywała pochód, gdy się jej wydawało, że zaprędko postępuje, na cmentarzu odsuwała od grobu osoby nienależące do głównego orszaku, żeby miejsca nie zabierały, odprowadzała podczas *„salve regina"* mdlejącą i spazmującą rodzinę za bramę cmentarną i miała w pogotowiu krople amoniakowe na otrzeźwienie. Słowem, była jakby reżyserem pogrzebowym i spełniała ten obowiązek z zapałem i gorliwością, nawet w domach mało jej znanych, z któremi nic jej nie łączyło, prócz owej tajemniczej rozmowy z kandydatami na nieboszczyków.

Co ona mogła im tam szeptać do ucha, dlaczego po śmierci tak się im wysługiwała, było to sekretem, którego żaden nieboszczyk zdradzić nie mógł, a ona nie chciała.

Przypadek jednak odkrył mi ten sekret. Staruszka bowiem owa mieszkała na przedmieściu, w domu, w którym mieszkał także jeden z kolegów moich. Sąsiadowali przez ścianę i mieli jedną i tę samą obsługaczkę.

Otóż przez tę obsługaczkę dowiedzieliśmy się, że to była wdowa po jakimś nauczycielu muzyki, zmarłym coś przed dziesięciu laty, że kochali się bardzo i dlatego po śmierci jego wpadła w rodzaj obłędu, z którego dopiero czas ją wyleczył i to, że znalazła podobno jakiś sposób komunikowania się z nieboszczykiem.

Jaki to był sposób, tego obsługiwaczka powiedzieć nam nie umiała, bo staruszka nie chciała jej się z tem zwierzyć, to tylko wiedziała, że bywały dnie, w których staruszka była niesłychanie ożywiona i kontenta, że ma okazję do nieba, do swego ukochanego Szymcia, i przypominała sobie wtedy pilnie, co mu ma powiedzieć, spisywała nawet na karteczce, żeby czego nie zapomnieć.

Dostaliśmy raz jedną taką kartkę do rąk, gdzie niekształtnemi literami było wynotowane: Szymusia pozdrowić; Szymuśiowi donieść, że jedna z jego uczennic poszła za mąż i ma już syna; że go wspominają często; a w końcu zapewniała go o swojem przywiązaniu, uspakajała, żeby się nie martwił, bo już blizka chwila ich połączenia na wieki. „Kaszlę teraz — pisała mu — po nocach więcej, niż dawniej; doktor powiedział, że na to niema rady, więc się pociesz, Szymusiu, że już niezadługo będziemy razem."

Obsługaczka uważała te pisaniny za dalsze następstwa obłąkania, za rodzaj małego bzika — „zajączków", jak mówiła. Bo proszę pana — mówiła — człowiek przy zdrowych zmysłach przecieżby nie uwierzył, że może być jaka okazja do nieba, bo przecież tam poczty żadne nie chodzą.

Ja jednak, pokombinowawszy to, co obsługiwaczka mówiła, z tem, co wiedziałem o owej dewotce, nie miałem tak złego wyobrażenia o jej rozumie i domyśliłem się, jaką to właściwie pocztę urządziła sobie, przez którą posyłała wiadomości swojemu Szymusiowi. Oto, mając najmocniejsze przekonanie, że jej Szymuś w niebieskich przebywa progach, i wiedząc z katechizmu, że każda dusza, oczyszczona przez spowiedź i przyjęcie świętych sakramentów, idzie także do nieba, tam, gdzie jej Szymuś, i z nim tam spotkać się musi, skorzystała z tej sposobności i przez każdego nieboszczyka posyłała mu pozdrowienie, wiadomości, które go obchodzić mogły, i zapewnienie o swojej niewygasłej miłości. W taki sposób urządziła sobie stałą pocztę i była w ciągłych stosunkach ze swoim najdroższym Szymusiem, i to stanowiło jej szczęście.

Teraz dopiero wytłómaczyłem sobie jej gorliwe zajmowanie się konającemi, jej troskliwość podczas pogrzebów. Poczciwina zasługiwała się umarłym, jak mogła, w nadziei, że jej się za to odpłacą na tamtym świecie i z Szymusiem nagadają się o niej dowoli. Tak wierzyła w to święcie, że gdy raz jakiejś nieboszczce rodzina, czy przez oszczędność, czy przez zapomnienie, nie dała pod materjalną suknię jakiejś części ubrania, spódnicy, czy coś takiego, ona, przyszedłszy pomodlić się przy ciele i powtórzyć nieboszczce, co ma powiedzieć Szymusiowi, gdy spostrzegła ten brak, wsiadła ostro na rodzinę, jak można było wysyłać nieboszczkę na sąd ostateczny w tak niestosownej tualecie.

— A cóżby mój Szymuś powiedział — rzekła — gdyby ją tak zobaczył, on, co był taki uważający na porządek i przyzwoitość?

I dotąd gadała, aż rodzina nieboszczce jakąś barchanową spódniczynę włożyć musiała, żeby się nie potrzebowała wstydzić przed Szymusiem na tamtym świecie.

Grób Szymusia także miała w wielkiej obserwacji. Co parę dni biegała na cmentarz, zanosiła świeże kwiatki, i w bukietach, i w wazonikach, które sama w domu hodowała, a zawsze dobierała takie, jakie on lubił za życia. Widywałem ją nieraz

rudnioną koło grobu. Krzątała się tam, jak pokówka przy sprzątaniu, wyrywała zielska i pode listeczki, strzygła trawę nożyczkami, okładała)b zuzlami, podlewała kwiatki, a podczas roboty ciła sobie pod nosem piosenki, które on lubił, aówiła głośno do swego Szymusia, wierząc mocno, on ją słyszy pod tą darnią mogilną; a gdy odchoiła, to żegnaniu nie było końca: po kilka razy się acała, aby mu powtórzyć: no, pa, Szymusiu, bądź rów, Szymusiu; ja tu pojutrze znowu przyjdę.

A! prawda! zapomniałem dodać, że dla zabezpieenia się, żeby jej po śmierci nie rozdzielono z najoższym Szymusiem, zakupiła sobie obok niego kaałek ziemi na grób dla siebie. Wykosztowała się ten zbytek, bo fundusze na utrzymanie miała barto małe, więc po nocach ślepiła, haftując poduki, ornaty, aż sobie złożyła potrzebną sumkę. Prawała biedaczka na grób z takim zapałem, z jakim ni na utrzymanie życia, na wygody i przyjemnoci, bo ten grób był całą jej nadzieją, całem szczęściem. Ktoby jej był wydarł tę silną wiarę w nieśmiertelność, w połączenie się po śmierci z Szymusiem, byłby ją zabił na duszy i na ciele. Ta wiara krzepiła, dodawała nawet sił i zdrowia. Mimo ułości i suchotniczego usposobienia, przebierała jeszcze żywo nogami; nieraz w zadymki, sloty, ona, kaszląca, brnęła po śniegu i błocie za pogrzebami, mimo to żyła. Śmierć, która z taką złośliwą lubością zabiera pulchnych pieszczochów z łona rodziny, bogaczów, żądnych życia i używania, nie śpieszyła się wcale do tej schorowanej, wychłej do kości prawie staruszki, nie śpieszyła się, choć wiedziała, z jakiem upragnieniem ona jej wyczekiwała. A może właśnie dlatego się nie śpieszyła. Śmierć ma swoje kaprysy i upodobania.

Długie lata potem widywałem ją tu i owdzie, wałęsającą się po tym świecie, a z każdym rokiem coraz mniejszą, coraz bardziej pochyloną ku ziemi. Znosiła cierpliwie to jarzmo długiego życia, jako pokutę za grzechy.

— Trzeba — mówiła do swojej posługaczki — odcierpieć na tym świecie i wysługiwać się Panu Bogu, żeby mnie po śmierci odrazu puścił do Szymusia.

areszcie śmierć zlitowała się i zabrała ją.

dąc raz przez cmentarz za jakimś pogrzebem, zozyłem obok grobu jej męża drugą mogiłkę świenieokrytą jeszcze darniną. Mogiłki łączył w jeą całość krzyż żelazny, stojący w pośrodku, a na n na tabliczce napis złoconemi literami:

„Szymuś i Bronisława proszą o westchnienie do oga."

Krzyż ten był jej fundacji: miała go przygotoway oddawna.

Tak więc trafiła się staruszce najlepsza okazja do ieba, bo nią zabrała się do swego kochanego Szyausia.

Michał Bałucki.

PIEPRZYCKI.

(OBRAZEK Z BRUKU.)

— Jeżeli chcesz, opowiem ci szczegółowo jak to było. Dziwna rzecz: głowa posiwiała, ręce się trzęsą, bóle po kościach chodzą, a pamięć dopisuje jednak. Żeby choć było co dobrego wspominać... ale gdzież tam! Taki los! Myślę nieraz, żem się pod ciemną gwiazdą urodził, choć co to jedno z drugiem może mieć za związek? Gwiazda gwiazdą, a Pieprzycki Pieprzyckim; może i ona na wysokościach, niby gwiazda, złorzeczy, że jej nad takim jak ja człowiekiem świecić wypadło... Licho wie!... Byłoś wczoraj na pogrzebie pani Amelji?

— Byłem...

— Wspaniały pogrzeb, bogaty. Jestem pewny, że się kazała uróżować do trumny, bo że się wystroiła, to wiem. Nieśli taką suknię elegancką, jak na wesele... Lubiła się stroić, wiedziała że urodą może wojować... bo też była to piękność swego czasu. Znałeś ją?

— Widziałem ją przed półrokiem w towarzystwie.

— Jak ci się też zdaje, ile miała lat?

— Mniej więcej, około czterdziestu...

— Ha! ha! Powiedz to komu innemu. Pięćdziesiąt sześć, jak obszył. Pięćdziesiąt sześć i kilka dni... Wiem to dobrze. Pytasz, jaki stosunek mnie z nią łączył?... Daleki, blizki, znów daleki, a w ostatnich czasach... żaden. A jednak na pogrzeb poszedłem—a jakże! rzuciłem garstkę ziemi na trumnę, westchnąłem za jej duszę. Bądźcobądź, należało oddać ostatnią przysługę kochanej żonie.

— Żonie? czyjej? przecież pani Amelja umarła jako wdowa...

— Nie przeszkadzało jej to być i moją żoną... Piękność zawróciła jej w głowie, świat pochlebstwami ją zepsuł.. Żona! to jest dziwny wyraz... może on znaczyć to samo co niebo, raj, rozkosz, a może też być synonimem nieszczęścia, piekła, niewoli, powolnego konania... Jak dla kogo.

— Zagadkami pan dobrodziej mówi.

— Rozwiążę je zaraz... Wszak nieboszczyka Zawrotkiewicza znałeś?

— Tego kulawego? Cokolwiek.

— Musiałeś też słyszeć i o Lalińskim?

— Przecież tak się nazywał mąż pani Amelji...

— O nim właśnie mowa... więc uważaj: panią Amelję znałeś, Zawrotkiewicza także, o Lalińskim słyszałeś, a mnie oto, Pieprzyckiego, masz przed sobą. Cztery osoby; na afisz zamało, na dramat aż nadto. Trzy osoby już zeszły ze sceny, ja kończę swoją rolę w epilogu. Rzecz dzieje się w różnych miejscach. W Warszawie, za granicą, w Ostaszkach. Znasz Ostaszki?

— Przejeżdżałem niegdyś przez tę wioskę...

— To, kochanie, nie była wioska, ale fortuna, co się zowie. Trzy folwarki, blizko sto włók obszaru, las, jak puszcza, łąki przepych. Już w złych czasach na majątki, kiedy o kupca było trudno, za Ostaszki, na licytacji w drodze działów, osiągnięto dwa kroć sto tysięcy. Po potrąceniu długów, sukcesorowie dostali po pięćdziesiąt tysięcy z górą. Pamiętam to dokładnie, gdyż sam byłem jednym ze spadkobierców. W Ostaszkach urodziłem się, w Ostaszkach dziecinne lata mi przeszły, tam, po skończeniu nauki, miałem zamiar gospodarować. Inaczej się stało, ale swoją drogą przyznaję, że jedyne lepsze chwile, jakie miałem w życiu, były właśnie w Ostaszkach. Dużoby o tem mówić, ale szczegółami nudzić cię nie chcę. Obok Ostaszek był folwarczek, dziesięć czy piętnaście włók wszystkiego, odłużony do niemożliwości, bieda aż piszczała... I nie dziw, wdowa prowadziła gospodarstwo licho, rygoru nie umiała utrzymać, wszystko rozłaziło się w jej ręku. To właśnie była matka pani Amelji, tej, którą pochowano niedawno... Zawrotkiewicz mieszkał w blizkiem sąsiedztwie. Łączyła nas przyjaźń od szkolnej ławki, kochaliśmy się, jak bracia... Już nam się obudwom wąsy zaczynały wysypywać, kiedy Amelcia była podlotkiem. Zapowiadała się piękna dziewczyna, ale, jako na dzieciaka, nie zwracano wówczas na nią uwagi... Jakiś czas nie byliśmy w domu, przejrzało się z Zawrotkiewiczem trochę świata... Młodzi, rwaliśmy się Bóg wie do czego, chciało się to i owo poznać, czegoś się dowiedzieć, nauczyć... Zeszło nam kilka lat, jak z bicza strzelił, zawsze w przyjaźni, zgodzie, prawie w braterstwie. Ktoby się spodziewał, że w jakiś czas później będziemy śmiertelnymi wrogami i z bronią w ręku...

— Jakto, biliście się?

— Gdy powróciliśmy do stron rodzinnych, ów podlotek już wyrósł i stał się dziewczyną rzadkiej piękności... Widziałeś tego ślady, możesz więc wyobrazić sobie... Oczy miała szczególne, nigdy już w życiu nie spotkałem podobnych... Naturalnie, pojechaliśmy z przyjacielem zobaczyć cud, o którym w całej okolicy mówiono. Niestety, mówiono prawdę. Od pierwszej bytności w Rokicinku, tak się ów mająteczek nazywał, pomiędzy mną a nim, moim takim serdecznym, takim dawnym przyjacielem, zapanował pewien przymus. Ja pragnąłem, żeby on koniecznie wyjechał, żeby się zaprzepaścił, zniknął, on względem mnie żywił takie same uczucia. Politykowaliśmy, zachowywali pozory dawnej przyjaźni, ale w rzeczywistości obadwaj coraz bardziej utwierdzaliśmy się w przekonaniu, że świat dla nas za ciasny... Spotykaliśmy się w Rokicinku, a każde takie spotkanie groziło katastrofą.

— A cóż panna Amelja?

— Ona... kombinowała...

— Jakto?

— A tak... kombinowała. Czy to z własnego instynktu, czy namówiona przez matkę, obdzielała nas obu spojrzeniami i uśmiechami z matematyczną równością. Ani odrobinę więcej jednemu lub drugiemu, zupełnie równo. Jako partja dla biednej dziewczyny, ani on, ani ja nie byliśmy do odrzucenia. Przeciwnie. Ja majątkowo stałem może cokolwiek lepiej, ale i on był zamożny i on mógł ją oprawić w złote ramki, tak samo, jak ja... ale panna mierzyła jeszcze wyżej, to też trzymani byliśmy w rezerwie, na wszelki przypadek, gdyby się kto lepszy nie trafił. On oświadczył się w sekrecie przedemną, ja w sekrecie przed nim... Panna Amelja, tak mnie, jak i jemu, odpowiedziała jednakowo: że losem swoim nie rozporządza i że pójdzie za wolą mamy.

— A mama?

— Była niezmiernie rozczulona. Powiedziała, że oświadczenie przynosi jej córce zaszczyt, ale Amelcia jeszcze taka młoda, nie zna świata, nie dokończyła edukacji, więc trzeba tę sprawę pozostawić czasowi, czekać, aż się w dziecku serce przebudzi, aż sama kogo pokocha i wybierze... Jednem słowem, nic. W dziecku serce nie przebudziło się i spało aż do samej śmierci. Względem mnie, jako też i względem tamtego, mama nie zaciągnęła żadnych zobowiązań. My natomiast w sekrecie jeden przed drugim zaciągaliśmy różne zobowiązania dla... mamy. Już to Rokicinek miał w nas niezwykle uczynnych i pełnych poświęcenia sąsiadów. Wszelkie ułatwienia kredytowe, dobra rada, pomoc w gospodarstwie, usunięcie zbyt natarczywych wierzycieli, wszystko to było na zawołanie. Źle mówię... nie na zawołanie, bośmy z własnej woli uprzedzali wszelkie życzenia. Dzięki temu, interesy wdowy poprawiły się tak dalece, że mogła spełnić to, czego oddawna pragnęła: wyjechać z córeczką do Warszawy dla dokończenia edukacji—wprowadzenia w świat... Tak się też stało. W trzy dni po wyjeździe tych pań ja także wybrałem się do Warszawy i o dwie mile drogi od Ostaszków spotkałem Zawrotkiewicza, który również do Warszawy zdążał. Już mnie wtedy złość zdjęła wielka. panować nad sobą nie mogłem. Na pierwszym popasie zacząłem mu robić docinki, on nie pozostawił ich bez odpowiedzi. Od słowa do słowa przyszło do gwałtownej sprzeczki...

Tu zamilkł, oparł głowę na dłoniach i siedział jakiś czas zamyślony. Potem westchnął, spojrzał zamglonym wzrokiem i rzekł:

— Później, kiedy Zawrotkiewicz, kaleka, dogorywał na Starem Mieście na strychu, kiedy dzieliłem się z nim mizernym kawałkiem chleba, przypominaliśmy te czasy i ubolewali nad naszą głupotą... tak, ale wówczas... przed laty patrzyliśmy na świat innemi oczami... W tydzień później byliśmy za granicą, gdzie odbył się między nami pojedynek na pistolety. Czy można wymyśleć coś bardziej niedorzecznego! Strzelaliśmy jeden do drugiego na komendę z mety... Pamiętam tylko huk i dym... Ja mierzyłem dobrze, on również. Mnie kula weszła w piersi z prawej strony, nie uszkodziwszy płuc... ja zdolowałem, chybiłem... Mierzyłem między oczy, a trafiłem w biodro. Rana była ciężka, naruszyła kość, przerwała arterję. Cudem się z tego wylizał, ale blizko pół roku w łóżku musiał przeleżeć. Ja wyzdrowiałem niedługo i powróciłem do kraju; przez ten czas mama panny Amelji zdążyła sprzedać Rokicinek, dzięki naszym staraniom, wolny od długów, i osiedliła się na stałe w Warszawie. Wkrótce, porozumiawszy się z rodzeństwem, sprzedałem Ostaszki, pożegnałem rodzinne kąty i także osiedliłem się w Warszawie. Ciągnęło mnie coś, jakaś siła niewidzialna, a niezwalczona, okrutna. Mój przeciwnik pozostawał za granicą, ja byłem panem położenia. Mama pani Amelji, widząc, że udzielni książęta jakoś nie dobijają się o jej córeczkę, zaczęła okazywać mi wiele uprzejmości, a i sama panna, widocznie nauczona przez mamę, starała się dać do zrozumienia, że nie jestem dla niej niemiły.

— A może też pokochała pana naprawdę?

— Żartujesz chyba—odrzekł, wzruszając ramionami—żeby kochać, trzeba serce mieć, a ona... Mogę cię zapewnić, że ta kobieta nie kochała w swojem życiu nikogo... ani mnie, ani tamtego. Kamień to był, marmur, marmur, głaz zimny. Zaraz po ślubie pojechaliśmy za granicę na cały rok. Było to życzeniem mamy, która towarzyszyła nam zawsze i za nic na świecie nie chciała się z jedynaczką rozłączyć. Byłem dość zamożny, a zakochany bez pamięci, nie umiałem odmówić, spełniałem nietylko życzenia, ale i nadziwaczniejsze kaprysy. Pieniądze szły jak woda... Mama była zdania, że Amelcia powinna świat poznać, więc włóczyliśmy się z kraju do kraju, z miasta do miasta. Ośmieliłem się zwrócić uwagę mamy, że te podróże w prędkim czasie majątek nasz pochłoną... Uwaga ta stała się powodem burzy, a raczej całego szeregu burz, trwających prawie bez przerwy. Żona moja trzymała stronę mamy, ja byłem bez posiłków w tych walkach i przegrywałem je też sromotnie. Co udręczeń zniosłem, co przykrości!.. Byliśmy już na odjezdnem z Paryża, gdy przypadkowym sposobem zapoznał się z nami Laliński.

— Rozumiem...

— Figura niepoczesna, ale zamożny, nawet bogaty. Miał już wtedy ze czterdzieści kilka lat życia, lecz znacznie starzej wyglądał, można było sądzić, że za pięćdziesiątkę już przeszedł i że mu szósty krzyżyk barki gniecie... Piękność pani Amelji zrobiła na nim odrazu wrażenie. Zakochał się — i był bardzo mile widziany...

— Więc romans.

— Któż mówi, że romans!—nowa kombinacja tylko, a dodam, że był mile widziany przez mamę. Co do pani Amelji, jestem pewny, że Laliński równie ją mało obchodził, jak ja, a obadwaj razem nie interesowaliśmy jej tyle, ile jakaś nowomodna suknia lub kapelusz. Ta kobieta znała tylko lustra i swoją piękność. Laliński zrozumiał położenie, nie nadskakiwał, nie narzucał się, nawet nie manifestował swych uczuć, lecz, jak się później dowiedziałem, traktował rzecz tę na chłodno z mamą Gdy powróciliśmy do Warszawy i on po niejakim czasie przywlókł się za nami. Bywał u nas, spotykał się z nami w towarzystwie, a zachowywał się przytem taktownie i nie dawał powodu do plotek. Mnie nigdy na myśl nie przyszło, że żywi jakieś zamiary, nie przypuszczałem nic, nie miałem żadnych podejrzeń. Ja wówczas byłem jeszcze zakochany, jeszcze łudziłem się nadzieją, że wykrzeszę z pani Amelji jakąś iskierkę uczucia... Rozpacz przejmowała mnie na myśl, że majątek topnieje, że życie nad stan doprowadzi nas w końcu do ruiny, że niedaleka jest chwila, w której będę musiał odmówić Amelci tych zbytków, do jakich ją sam przyzwyczaiłem. Podczas nocy bezsennych nieustannie zadawałem sobie pytanie: co będzie? co będzie? Przewidująca mama wyręczyła mnie i znalazła rozwiązanie zagadki. Raz, powróciwszy późnym wieczorem do domu, znalazłem mieszkanie puste i w pokojach nieład, pootwierane szafy, komody... Sądziłem, że jesteśmy okradzeni...

— A cóż to było?...

— Nic... tylko panie wyprowadziły się, zmieniły lokal...

— Po co?

— Dowiedziałem się o tem dopiero nazajutrz. Poszedłem, aby zażądać objaśnienia. Żona nie raczyła do mnie wyjść—tylko mama. Ze zmarszczonem czołem i z wielką powagą oświadczyła mi, że patrząc na nasze pożycie przez lat kilka, przekonała się, że jej Amelcia jest bardzo nieszczęśliwa, że zrobiła najfatalniejszy wybór, że ma męża utracjusza, ostatniego hulakę, niegodziwca, który jej nigdy nie kochał, a traktował ją jak niewolnicę, że z całem poświęceniem się i zaparciem znosiła to ciężkie życie, lecz obecnie cierpliwość jej wyczerpała się, tembardziej, że w niedalekiej przyszłości przewiduje głód i nędzę...

Rzecz jasna, że wobec tak smutnego położenia, nie pozostaje biednej kobiecie nic innego, jak udać się pod opiekę prawa i żądać separacji, a następnie unieważnienia małżeństwa z niegodziwcem, na którym się tak fatalnie zawiodła.

— Spodziewam się, że na takie *dictum* trzasnąłeś pan drzwiami i że już więcej nie widziano pana w tym domu.

— Przeciwnie! protestowałem, kłóciłem się, chciałem widzieć się z żoną i od niej samej usłyszeć, w czem i w jaki sposób ją skrzywdziłem? ale na co się to zdało?... Nie wskórałem nic, sprawa się rozpoczęła. Broniłem się, przepłacałem adwokatów, ale tamta strona była mocniejsza, znaleźli jakąś nieformalność w akcie i dopięli celu. Laliński zrobił na rzecz Amelji znaczny zapis i został jej małżonkiem. Czy szczęśliwym — wątpię, ale ostatecznie spełnił swoje marzenia. Woził ją po świecie, jak ja niegdyś, dogadzał jej kaprysom, jak ja niegdyś, i prawdopodobnie tak ją mało obchodził, jak ja niegdyś... Umarł w dziewięć, czy w dziesięć lat po ślubie... i pozostawił żonie majątek, który wystarczył jej na stroje i podtrzymywanie przekwitających wdzięków aż do śmierci.

Ja na sprawę, na zapłacenie długów, wydałem resztki, jakie mi pozostały, i zrzuciwszy pychę z serca, przyjąłem obowiązek prywatny. Jestem od lat kilkunastu pisarzem w wielkim składzie węgli, i jak widzisz, źle mi się nie dzieje, skoro mogłem jeszcze temu biedakowi Zawrotkiewiczowi dopomagać.

— A cóż się z nim stało?

— Mówiłem ci, że umarl, na Starem Mieście, na strychu...

— Tak, lecz co go do takiej biedy przywiodło?...

— A cóżby, jak nie owe piękne oczy... Leczył się długo. Potem chcąc żal i wspomnienia zagłuszyć, bawił się, szalał... w wirze życia pocieszenia szukał. Jak wiesz, różne sobie ludzie wynajdują lekarstwa, jednemu to pomaga, drugiemu tamto. Jemu nie pomogło, zmarnował się... Przez lata jego nieobecności, majątek podupadł i obdłużony przeszedł w inne ręce. Biedny Zawrotkiewicz! nie mając własności, licząc tylko na pracę, nie mógł zdobyć nietylko stanowiska, ale nawet kawałka chleba, marniał więc, marniał, w nałóg wpadł, aż zmarniał zupełnie. Spotkałem go w stanie politowania godnym; podaliśmy sobie ręce i rozpłakali się obadwaj. Ja mu opowiedziałem moje koleje życia, on mnie swoje nawzajem. Zmarnowaliśmy życie, cóż robić, naprawić tego nie można, gdyż raz się tylko żyje i najczęściej.,. głupio. Biedny Zawrotkiewicz! zrujnowany na zdrowiu, zaczął coraz bardziej słabnąć, cherlać — i umarł. Lepiej to może dla niego, niż żyć w takich warunkach. Zeszedł ze sceny za panią mamą, za Lalińskim, wyprzedziwszy tylko o rok panią Amelję, teraz na mnie kolej. Obecnie wiesz dlaczego byłem na pogrzebie—i bądź zdrów.

— Dokąd?

— Do obowiązku, jak zawsze, krócitki urlop mi dano, na parę godzin zaledwie i już go cokolwiek przetrzymałem, jak się zdaje.

Odszedł, ale w kilka minut powrócił, trzymając w ręku kawałek pomiętego papieru.

— Patrz no—rzekł—com ja znalazł.

— No?

— Ćwiartkę papieru, widocznie jest to szczątek jakiegoś rękopismu... napisano na nim takie zdanie: „jeżeli widzisz gmach szczęścia, to wiedz, że budowniczym, który go postawił, była... kobieta..." Święta prawda, mądre zdanie...

Moje szczęście odrazu rozsypało się w gruzy — bo też, kochany przyjacielu, jaki budowniczy, taki i pałac...

Klemens Junosza.

PÓŁ WIEKU.

(JUBILEUSZ „BIBLJOTEKI WARSZAWSKIEJ").

Długotrwałą egzystencją poszczycić się u nas nie mogą te czasopisma, które wiernie i wytrwale służyły nauce. Każdy z nas pamięta pisma poświęcone nauce ekonomji, prawu, lub daleko szerszemu zakresowi nauki i literatury które pędziły czas jakiś suchotniczy żywot i najwyżej po kilkunastu latach wytrwałości zniknąć musiały. Nie zawsze tylko troska materjalna przecinała żywot owych czasopism, niekiedy, choć co prawda rzadko, szereg pracowników tak przerzedniał i przeświecał pustkami, że wydawcy do reszty tracili odwagę i cofali się z pomocą. Jakakolwiek zresztą była przyczyna, faktem pozostanie niezaprzeczonym, że w samej Warszawie moglibyśmy naliczyć szereg prób, wydawnictw perjodycznych naukowych, które sędziwości, a nawet dojrzałości wieku nie doczekały.

Z tem większą też przyjemnością przychodzi nam zaznaczyć rzadki przykład wytrwałości w pracy, dla dobra nauki podjętej, jaki nam daje *Bibljeteka warszawska.* Czasopismo to bowiem z dniem 1-ym stycznia 1891-go roku, kończy półwiekowy okres swego wydawnictwa. W ciągu 50 ciu lat *Bibljoteka* wydała 200 tomów, czyli 600 książkowych zeszytów, pełnych przeróżnych studjów, ale co najważniejsza, że jakość była równa ilości i rzadko w którem innem naszem czasopismie znajdziemy takie bogactwo ważnych rozpraw, taki ton rzetelnie naukowy.

Założyciele *Bibljoteki* występując w r. 1841-ym z pierwszemi zeszytami czasopisma, potrafili od razu stanąć na odpowiedniej naukowej wyżynie i wykluczyć z programu wszelkie uboczne względy i tendencje. Poszukiwanie gruntowne prawdy w nauce, przewodniczyło zarówno redakcji, jak i gronu współpracowników i dlatego to dzisiaj po 50-ciu latach, poważny badacz nietylko z przyjemnością, ale z prawdziwym dla siebie pożytkiem, może przestudjować pierwsze zeszyty *Bibljoteki warszawskiej.*

Przedewszystkiem nie spotykamy na czele pierwszego zeszytu *Biblioteki* żanego programu, które dziś tak łatwo obwieszczać aby nigdy wykonanemi nie były. Za cały program służył tytuł *Biblioteki*: „pismo poświęcone naukom, sztukom i przemysłowi" i przyznać trzeba, że ów kilkowyrazowy, iście lakoniczny program, został w ciągu półwiekowej pracy wybornie wykonanym.—Na czele pierwszego zeszytu *Biblioteki* uderza czytelnika rozprawa A. W. Maciejowskiego traktująca o zabytkach pogaństwa w Polsce, należy zaś sobie przypomnieć, że wówczas Maciejowski uchodził za powagę naukową europejskiego pokroju, którą następnie historja prawodawstw słowiańskich, w tłomaczeniu niemieckiem długo podtrzymywała.

Obok Maciejowskiego występuje dziś już sędziwy August Cieszkowski, z rozprawą filozofji jońskiej poświęconą. Zacny ten obywatel i dzielny pracownik naukowy, jest prawdopodobnie jedynym żyjącym z szeregu tych pisarzy, którzy tak świetnie wypełnili pierwsze zeszyty *Biblioteki* płodami swego ducha. Waga bowiem, którego spostrzeżenia bibliograficzne spotykamy także w pierwszych zeszytach *Biblioteki*, niedawno spoczął w mogile. Heilman zaś i Walenty Dutkiewicz, wyborni prawnicy, od dawna wyprzedzili Wagę, tak samo jak gruntownie wykształcony ekonomista, Feliks Zieliński wytworni historycy literatury, Tyszyński i Baliński, utalentowany poeta Cyprjan Norwid, sympatyczny zbieracz i gawędziarz Woycicki.

Grono tych cenionych współpracowników pierwszych zeszytów *Bibljoteki* wzrosło znacznie z czasem i dziś przeglądając wykaz prac i nazwisk piszących, zamieszczony w książce prof. Estrejchera (tylko do 1875-go r.), zdumieć można na widok tego, co potrafi zebrać i zdziałać wytrwała a sumienna praca naukowa. Przedewszystkiem zastanawiając się nad półwiekową spuścizną naukową, jaką nam *Bibljoteka warszawska* pozostawiła, zaznaczyć trzeba wszechstronność i rozległość naukowych badań.. Nauki prawne, społeczno-statystyczno-ekonomiczne, poszczycić się mogą równie świetnemi pracami i nazwiskami jak historja polska, powszechna, filozofja, geografja i nauki przyrodnicze. Poważne, niekiedy wzorowe studja naukowe przeplatane są tworami literatury pięknej, wybornemi kronikami lub ciekawemi opisami podróży. Nawet matematyka, mechanika i inżenierja cywilna mają swoich poważnych a nauce zasłużonych reprezentantów. Zabiegliwość też redakcji, aby się ustrzedz od jednostronności, była godną uznania i pochwały.

Niepodobna w krótkiem wspomnieniu dać wyobrażenie o ogromie treści, jaka się zawiera w 600 zeszytach *Bibljoteki warszawskiej*. Wyliczenie też samych nazwisk znakomitszych współpracowników doprowadziłoby nas prędzej do celu, gdyby ono było możliwem. Z góry bowiem uprzedzić należy, że wymienienie najpoważniejszych nazwisk współpracowników, zajęłoby za dużo miejsca i dlatego ograniczyć się musiemy na niedokładnych wzmiankach, które bynajmniej nie wyczerpują szeregu pisarzów, jakiemi się *Bibljoteka* poszczycić może.

Z dziedziny poezji oryginalnej widnieją utwory: Ryszarda Berwińskiego, Norwida, Edmunda Chojeckiego, Romana Zmorskiego, E. Wasilewskiego, W. Pola, T. Lenartowicza, Gustawa Zielińskiego, Karola Balińskiego, Ujejskiego, J. Kraszewskiego, Wł. Wolskiego, Deotymy-Łuszczewskiej i Odyńca. Naturalnie pominęliśmy długi szereg nazwisk zapisanych zaszczytnie w historji naszej literatury. Że zaś nietylko nazwiska figurowały, lecz i piękności nieprzemijającej utwory, na to mamy dowód, że *Bibljoteka warszawska* między wieloma innemi drukowała „Hagar na puszczy" Ujejskiego, Farysa Karola Balińskiego i ową niezapomnianą fantazję Wolskiego, poświęconą zmarłemu Szopenowi.

Filozofję opracowywali w *Bibljotece*, prócz Cieszkowskiego, Józef Gołuchowski, Trentowski, Libelt, Tyszyński, Pawlicki, Struve i Kaszewski, a estetykę specjalnie Kremer i Lewestam. W dziale historji powszechnej najczęściej się spotyka: Maciejowskiego, Bartoszewicza, rzadziej zaś: Szwaynica, Plebańskiego i Korzona. Historja polska reprezentowana jest bardzo świetnie. Obok Maciejowskiego, Bartoszewicza, których nazwiska spotyka się nieustannie i w tym dziale, widzimy: Feliksa Bentkowskiego, Aleksandra Przezdzieckiego, Michała Balińskiego, Sobieszczańskiego, Romualda Hubego, Aleksandra Weynerta, Gołębiowskiego, Gawareckiego, Szajnochę, Augusta Bielowskiego, Helcla, księcia Tadeusza Lubomirskiego, J. Łukaszewicza i wielu innych. Numizmatyka i sfragistyka może się poszczycić nazwiskami: Stronczyńskiego, Ambrożego Grabowskiego, Józefa Przyborowskiego i Tymoteusza Lipińskiego. W dziale archeologji i mitologji zaznaczyli swą pracę, prawie wszyscy co uprawiali numizmatykę i sfragistykę. Prócz nich zaś zasłużyli na wzmiankę: Aleksander Przezdziecki, Edward Rastawiecki, J. Łebkowski, Zorjan Chodakowski, Jan Zawisza i Glogier.

Prawo, zwłaszcza prywatne, uprawiane było w *Bibljotece* przez znakomite siły: Heilman, Dutkiewicz, Jan Szymanowski, Leopold Łącki, Franciszek Maciejowski, Feliks Zieliński, Aleksander This, Antoni Wyczechowski, Hieronim Łabęcki, Jan Karnicki, C. Zaborowski, S. Budziński, Aleksander ks. Stadnicki, W. Holewiński, zamieszczali swe cenne studja w *Bibljotece*, a nawet tak rzadko u nas uprawiane prawo prywatne międzynarodowe pozyskało jedną rozprawę Antoniego Wrotnowskiego.

Nauki społeczne wykazać mogą w *Bibljotece* cały szereg wybornych współpracowników: August Cieszkowski, Adam Goltz, Edmund Stawiski, Ludwik Górski, Michalski, Feliks Zieliński, Aleksander Kurc, Szabrański, Oskierko i wielu innych, pozostawili cenne płody swej pracy. Nauki przyrodnicze poszczycić się mogą Taczanowskim, Wagą, Wrześniowskim, Tyzenhauzem i Kazimierzem Wodzickim. Wśród matematyków wreszcie spotykamy Fronckiewicza, wśród mechaników Wojciecha Jastrzębowskiego, a szereg inżenierów cywilnych przedstawia się bardzo okazale w *Bibljotece.*

Poprzestaniemy na powyższym szeregu nazwisk, wystarczy on bowiem zupełnie do przekonania każdego, jakiemi siłami posługiwała się *Bibljoteka.* Redakcje tego sędziwego czasopisma, nietylko, że nie zbaczały nigdy z drogi naukowej, ale i w badaniach czysto umiejętnych przyjmowały ostrożnie wszelkie hazardowne teorje, nie uwodząc się bynajmniej chwilowym ich rozgłosem. Nadto we wszystkich rozprawach, dotyczących historji polskiej lub stosunków społecznych naszych w XIX-ym wieku, *Bibljoteka warszawska* okazywała trwale zmysł zdrowy, krytyczny, który ją ustrzegł od manji historjozoficznej, pokrywającej brak studjów retorycznemi frazesami. Przytem *Bibljoteka warszawska* ustrzegła się od wszelkich wpływów koteryjnych. Nie tendencyjne programy, lecz badania naukowe, nie wyszydzanie nieprzyjaciół, lecz ocena sumienna i sprawiedliwa były jej głównem zadaniem. Zadanie też powyższe wypełniała gorliwie i w miarę sił, przez lat pięćdziesiąt. Za to się też należy jej serdeczna podzięka od wszystkich, co miłują naukę i pragną abu u nas kwitnęła.

A. Rembowski.

* * *

Na życzenie Szan. redakcji podaję krótką notatkę o jedenastu latach mego współudziału w redakcji *Bibljoteki warszawskiej.*

Zaproszony do komitetu redakcyjnego w miejsce docenta filozofji b. uniwersytetu warszawskiego, a dzisiejszego profesora krakowskiego uniwersytetu, ks. Stefana Pawlickiego, zastałem w komitecie: ś. p. K. Wł. Wójcickiego, ś. p. Szabrańskiego wydawcę, K. Kaszewskiego, Feliksa Zielińskiego znakomitego ekonomistę, dziś już także nieżyjącego, a oprócz tego: jako akcjonarjusza *Bibljoteki* i stałego współpracownika ś. p. Edmunda Stawiskiego.

Sesje odbywały się regularnie raz na tydzień, zazwyczaj w sobotę.

Odczytywano na nich te artykuły, o których wartości referaty wyrzekły dwa odmienne zdania, i dopiero potem zawiązywała się dyskusja, której rezultatem było albo poprawienie jeszcze pracy przez autora, albo całkowite jej odrzucenie.

Specjalni sprawozdawcy zabierali ze sobą do domu prace różnych autorów, z obowiązkiem składania o nich krótko wyrażonego zdania na piśmie.

W kilka lat potem, zdaje mi się, że w r. 1875-ym, komitet redakcyjny zasilony został nowemi siłami. Weszli doń: prof. A. Pawiński, prof. Struve, Tadeusz Korzon i dr. Szyszło.

W tym komplecie redagowano *Bibljotekę* lat pięć czy sześć, poczem profesorowie Struve, Pawiński, Korzon, Szyszło i niżej podpisany usunęli się z redakcji.

Edward Lubowski.

Romanzo.

Moje słonko przyćmij chmurą,
Piorunowych łun purpurą,
Wrącom tchnieniem burz...
Spłosz słowicze dum mych roje,
Zwarz, czy spopiel, lilje moje,
Moje sploty róż...
Wichru tchnieniem, nocy cieniem
Zmąć, czy zamrocz, toń kryniczną,
Zamrocz wiosny gaj...
W tem pomroczu, w tej rozterce
Zostaw ty mi tylko serce,
Tylko kochać daj
Tę śliczną,
Tylko kochać daj głęboko
Tę jedyną, czarnooką —
Tylko kochać daj...

* * *

Tylko wierzyć daj,
Że ona,
Wywróżona i sądzona,
Z pięciolistnych bzów majowych,
Z wróżek wiosny, snów tęczowych,
Z gwiazd na szlakach lazurowych —
Tylko wierzyć daj...

* * *

Tylko śpiewać daj
Mi o niej —
Fijołkowej ust jej woni,
O tem, jakie dumki woli,
Kędy wzbija lot sokoli,
Kędy jasnej szuka doli —
Tylko śpiewać daj...

Józef Kuczyński.

---

* * *

Los, udziałem ludzi będący, często dlatego za niesprawiedliwy poczytujemy, że liczymy się tylko z czynnikami na zewnątrz nas działającemi, tych, które w samych sobie, jako zadatek szczęścia albo nieszczęścia nosimy, nie spostrzegając. Losu, ludzi, świata ze zdziwieniem zapytywać: dla czego? za co? jest to najczęściej z błędnemi adresami wysyłać listy i dziwić się, że odpowiedzi nie nadchodzą.

* * *

Życie, jak suknia, miewa dwie strony: Zwierzchnią, wszystkim widzialną i spodnią, bliższą temu, który ją nosi. Tożby to było na świecie śmiechu i wstydu, gdyby z nagła niektóre podszewki życia na wierzch się obróciły! Byłoby także sporo uwielbienia, zastępującego wzgardę, i pożałowania, zajmującego miejsce zawiści.

* * *

Człowiek z wrażliwem podniebieniem prosi zrazu, potem krzycząc i wydzierając sobie włosy z głowy, żąda od życia marcepanów; lecz trochę tylko lat i rozsądku potrzeba, aby przyjrzawszy się śpiżarni życia i jej gościom, z rezygnacją przyjmował otrzymany kęs razowego chleba.

* * *

Jedne charaktery ludzkie podobnemi są do twardej skóry, od której ręce, do czynienia z nią mające, okrywają się nagniotkami; inne—do ślicznych gipsowych aniołków, które przy najlżejszem popchnięciu upadają i bardzo szpetnie rozbijają sobie noski; inne—do takiej muzyki wojennej, którąby wiecznie grała bohaterskie marsze; inne jeszcze, jak kryształ, pozoru na wskróś przejrzyste, przy każdej zmianie położenia i oświetlenia świecą i olśniewają coraz nowemi blaskami; i inne, przypominające więzienną celę, w której, w wiecznem odosobnieniu, siedzi na zamek strachu lub wstydu zamknięty—zbrodniarz.

* * *

Znajdować się w miejscach, niegdyś znanych i miłych, a dawno niewidzianych, jest tem samem, co być na cmentarzu; tylko, zamiast po ludzkich i wszystkim wiadomych, stąpasz tam, po jednemu tobie widzialnych mogiłach—pomarłych stanów życia i duszy.

* * *

Nic nie dorównywa pobłażliwości mężczyzny dla wad, a nawet występków kobiety, która się mu podoba i nic nie przewyższy jego surowości dla cnót i zalet tej, która się mu podobać przestała.

* * *

— Co te panie robiły wczoraj?— Oglądały magazyn i były na raucie.—A dziś?

— Czytały Maupassant'a i gawędziły z gośćmi.

— O czemże w tej chwili tak zawzięcie rozprawiają?

— O równouprawnieniu kobiet wobec nauki i pracy.

* * *

— Czego te koguty tak zapalczywie biją się i pierze ze łbów sobie wydzierają? — Zapytaj o to kosza, w którym są zamknięte.

* * *

Jeżeli uczujesz dziwaczne pragnienie, aby ktokolwiek widział cię i żałował wtedy, gdy krzywisz się od bólu, usiądź sobie przed zwierciadłem.

* * *

Gdy dostrzegamy cień naszego ideału, czujemy się pocieszonymi, chociaż wiemy, że on sam na zawsze dla nas niewidzialnym pozostanie; gdy czynimy krok jeden na drodze, ku niemu wiodącej, pragniemy żyć, aby uczynić drugi, chociaż wiemy, że u początku trzeciego drogę zastąpi nam grób.

* * *

Stwórca świata, niezmierzoną dobrocią będąc musi być także bezdennem cierpieniem.

El. Orzeszkowa.

PAŹ KRÓLOWEJ.

(Do akompanjamentu cytry.)

„Graj mi wciąż, jeszcze graj,
Mój paziu, mój ty mały,
Graj mi wciąż, jeszcze graj;
Co ci podszepnie maj!

Najświeższą oto z róż,
Co ranne mgły owiały,
Najświeższą oto z róż
Dla ciebie zrywam już..."

*

„O, pani, nie każ mi
Tknąć srebrnostrunnej lutni,
O, pani, nie każ mi
Wiosennych śpiewać dni.

Dość mi tych piosnek mdłych;
Wciąż tęskniej mi, wciąż smutniej...
Dość mi tych piosnek mdłych,
Nuconych u nóg twych.

Królowo, w duszy mej
Przedziwne zaszły zmiany,
Królowo, w duszy mej
Wyczytać prawdę chciej!

Rwie mi się serce w świat,
W szeroki świat nieznany;
Rwie mi się serce w świat
Po plon młodzieńczych lat.

Bojowa surma gra,
Grzmią, wrą i kipią boje,
Bojowa surma gra...
Czem przy niej lutnia ma!

Tam, pani, daj mi iść!
Weź wszystkie kwiaty swoje;
Tam, pani, daj mi iść
Po krwawy lauru liść!"

*

O zorzy hufce szły
Ordynkiem z zamku bramy;
O zorzy hufce szły
Hen, z gór, w podleśne mgły.

Szept cichy drżących ust
Szlą z wież im dworskie damy,
Szept cichy drżących ust
Z powiewem białych chust.

W narożnej izbie tam
Królowa w oknie stoi,
W narożnej izbie tam
Od dworskich zdala dam.

I duma patrząc w dal
I własnych dum się boi,
I duma patrząc w dal,
Serdeczny tłumiąc żal.

U stóp królowej tuż
Milcząca lutnia leży,
U stóp królowej tuż
Najświeższa więdnie z róż.

A, tam, z podleśnej mgły
Wiatr niesie pieśń ku wieży.
Hen, tam, w podleśne mgły
Królowej płyną łzy...

Czesław.

PANNA DZIUBA.

(OBRAZEK.)

Panna Dziuba, to znakomitość w swoim rodzaju. Głupiatka, jak młody trznadel, a jednak ludzie ją za mądrą mają. Leniwa, jak sułtanka, a jednak najlepsze stopnie za pilność dostaje. Łakoma, jak wróbel, a jednak je tylko niby z łaski i... ludzie myślą, że powietrzem żyje. Wygadana, jak kos, a jednak pozuje nieraz na milczącego, zagadkowego Sfinksa. Ciekawa, jak sroka, a ma najczęściej minę obojętną, zblazowaną, nieczułą na ludzkie komentarze. Zmienna, wrażliwa, nerwowa, pełna naiwności dziecka, rezonu studenta, rozwagi prababek; wszystko to się w niej mieści, na wszystko jest miejsce w jej głowie i sercu.

Nieraz bywa manierowaną, laleczką z saskiej porcelany, wrażliwą na każde trywialne wyrażenie, jak markiza z XVIII-go stulecia. Jej szczupła figurka, jej cera, z pod której niebieskie żyłki błękitnemi literami twarzyczkę zapisują, jej wyrafinowane, delikatne rysy zupełnie się nadają do modelu dla Watteau.

W kilka godzin później wesoła jak gil, niepohamowana w wybuchach śmiechu, urwisuje się z bratem, którego ochrzciła „Wielkim Panderanem", jako wspomnienie z „Tysiąca i jednej nocy".

Dziś wszystko ją nudzi. Zaledwie tylko z książką raczy się zadawać. Zasunęła się w najgłębszy kąt, nic i nikt jej ztamtąd nie wywabi.

Smutno w całym domu, bo uśmiech, młodość, wesele — wszystko to zasiadło wraz z Dziubą nad książką. Słońce niby to świeci, a nie świeci, bo długie, ciemne rzęsy rzucają cień na błękitnawą cerę twarzyczki; powieki spuszczone, oczu nie widać, a co po słońcu, kiedy się w oczach panny Dziuby nie odbije!

„Wielki Panderan", jako posiadający moc czarodziejską z „tysiąca i jednej nocy", ma jeden władzę nad melancholją siostry.

— Słuchaj Magali (Magali—to królewna z bajki, a brat i siostra tyle bajek razem się naczytali; to stanowi główny łącznik między niemi). Słuchaj Magali, żebyś ty wiedziała, co ja mam w kieszeni?

Ale Magali nie raczy nawet spojrzeć na Panderana. Pogromca wielkiego lwa z Bagdadu widzi w tej chwili tylko profil królewnej, a profil ten jest tak imponujący, ze niktby się nie odważył wywołać na nim oznaki niezadowolenia. Dziuba Magali tak umie lekceważąco spoglądać, a Wielki Panderan tego nie lubi.

— Mam coś w kieszeni.

Milczenie.

— Mam nawet różne rzeczy.

Cisza.

— Próbki takich jeszcze nie jadłaś.

Czary Wielkiego Panderana zaczynają działać. „Magali", wzięta na ciekawość i na łakomstwo, nawet w dniu melancholji się nie ostała.

— Kurtyna się podniosła... słońce zabłysło—zawołał z trjumfem Panderan.

Ta metafora stosować się miała do oczu Dziuby, w tej chwili na niego zwróconych.

Ale choć pochlebne były wyrazy takie, Dziuba jest przedewszystkiem dzieckiem „*fin de siècle*", ma okropnie wydelikacone podniebienie co do komplementów i nie lubi tego co trąci garderobą, więc czar prysnął znowu.

Twarz stała się znów obojętna, niby z marmuru wykuta. Przysłoniła ją do połowy książką, a z po za niej wyglądały przedewszystkiem rzęsy — trochę za długie... Doprawdy, po takich rzęsach na żadne inne patrzeć nie można.

Wielki Panderan czuje, że zmylił drogę, a musi ją odnaleźć; inaczej Dziuba, w kąt zaszyta, nie ruszy się ztamtąd dzień cały, a bez Dziuby dzień stracony; o tem wszyscy wiedzą.

— Ja nie żartowałem, Magali! Ty myślisz, że ja drwię sobie.

— Ja nic nie myślę, chcę żebyś mi dał pokój.

— Ależ ja ci chcę dać więcej, niż pokój; coś, za czem ty przepadasz. Ale ty takich nigdy jeszcze nie jadłaś.

— Nie mogę przepadać za czemś, czego nie jadłam—odpowiada bardzo rozsądnie Dziuba; twarz jej jednak jeszcze wyrazu nie zmieniła.

— Ale to jest z rodziny, z gatunku, z familji, którą znasz.

Cisza.

— Zgadnij tylko?

Milczenie.

— Nieznośna jesteś! Nie cierpię cię! Nienawidzę! Jeżeli myślisz, że nie zjem sam, to się mylisz. A potem „*Little Boy*” i „*Boy*” i „*Clever boy*” wszystko pójdzie na marne.

To był ostatni cios, wymierzony ręką Wielkiego Panderana.

Owi „*Boys*”—to kuc, groom i pies Dziuby; trójka, która droższą jej była od owoców i cukierków — *et c'est tout dire!*

To też zmieszała się widocznie; na jej twarzyczkę wystąpił taki rumieniec, jaki zdobi zwykle alpejskie róże.

Ale duma nie pozwalała jej odrazu zmienić frontu.

Poszedł Wielki Panderan, a Dziuba myśli.

— Zrobiłam mu przykrość, to źle! Przeproszę go, ale jeszcze nie zaraz. Pójdą „*Boys*”, pójdą na marne? Jakto na marne? przecież ich nie zabije, ani nie powiesi? On powiesił jednego psa, ale mojego nie powiesi, gdzie tam! Zresztą *Boy* nie da ani sobie, ani tamtym krzywdy zrobić. A potem, Panderan to dobry chłopiec, on tylko tak grozi. Co on ma? coś do zjedzenia, ale co? Gruszkę? brzoskwinię? a może figi? ja tak figi lubię. Mówił, że nie jadłam! Czego ja nigdy nie jadłam? Ja wszystko jadłam, nawet rzepę, dawno temu ale jadłam. Pójdę go przeprosić. Jemu widocznie bardzo było przykro. Mówił „próbki”. Jakie próbki? Nikt próbek nie je. A może banany? raz i banana jadłam. Granatów nie jadłam; pewnie granat... Pójdę zaraz... on taki dla mnie dobry! Granaty też dobre podobno. A może to ten owoc, co na Tahiti rośnie, man—man—mangustan zdaje mi się. To dobry brat, onby dla mnie wszystko zrobił. Czemu ja byłam taka nieznośna?

Kilka chwil później stoi Dziuba przy Panderanie, i takie robi miny do niego, jak gdyby przestudjowała cały traktat o kokieterji, począwszy od niewiast biblijnych i asyryjskich, a skończywszy na XIX-em stuleciu.

Tylko te wszystkie miny mają w sobie urok finezji, delikatności, wdzięku. Każdy jej uśmiech, spojrzenie każde to wdzięk nieokreślony; sam wdzięk nieokreślony—to Dziuba.

— Naturalnie, że jak ty dla mnie wybrałeś, to musi być bardzo dobre. Ty masz tyle gustu, tyle zdolności do wybierania.

Panderan daje się „każolować” i słucha obojętnie.

— Gdybyś był dobrym bratem, tobyś zrozumiał, że kiedy się książkę czyta..

— Aha, książkę? Dla ciebie książka znaczy tyle, co dla mnie parasol i kalosze, któremi nawet w czasie deszczu pogardzam.

— Nieprawda! Ja panią Craven pasjami lubię i Syrokomlę i Lenartowicza i pannę Maréchal także. Tylko pani Mouniot nie lubię... ona taka sentymentalna, egzaltowana... Ale to, co ma wartość jakąś, to lubię.

Śmiech ogólny przyjmuje replikę Dziuby, bo rodzina mniej jest o jej rozumie przeświadczona, niż ona sama i dalsi znajomi.

— Tak! co ma jakąś wartość. Naturalnie! A kiedy się ciebie pytałem, co napisał Wirgiljusz, odpowiedziałaś: „Iliadę”.

Dziaba ma tę własność, że nigdy nie jest skonfundowana. Kuta na cztery nogi, z każdego pieca zleci jak kot lekko i nieszkodliwie.

— Ja nie mogłam tego powiedzieć. Ciebie pamięć myli. Wirgiljusz to mój faworyt. Wkrótce się po łacinie nauczę, żeby go czytać w oryginale, bo w tłumaczeniu nie warto. A wtenczas i „Iliady” na pamięć się nauczę.

— Po łacinie, „Iliadę” w oryginale!!!

— No, ja taka mądra, jak ty, nigdy nie będę. Dla kobiety toby nawet nie uchodziło. Ja nie lubię emancypacji. Powiedz mi, czy to mangustany?

— Jakie mangustany?

— To, co masz w kieszeni.

— Aha! poczekaj!

— Nie mogę czekać, widzisz, bo czas tracę, a czas to pieniądz.

— Niewieleby m kupił za pieniądz z twego czasu czerpany.

— No, tybyś odemnie nie przyjął. Ja wiem, ty jesteś Wielki Panderan. Dumny, hardy! Bo widzisz, jeżeli to banany, to ja już jadłam.

— Ani mangustany, ani banany, daj mi pokój.

— Czekaj, ja ci dam coś lepszego, tak jak ty mnie przed chwilą dać chciałeś!

— Dawaj, ale prędzej, bo mnie już nudzi ta komedja.

— Dam ci „*Un baiser de papillon*”; znasz?

— Romansidło jakieś! Czemu jej mama pozwala czytać romanse?

Ale zanim mama zdołała się obronić z zarzutu, już Dziuba stanęła przy Panderanie, pochyliła główkę nad jego głową, przyłożyła oczy do jego twarzy, i mrugać zaczęła powieką, głaszcząc zlekka rzęsą czoło brata, co sprawiało wrażenie niby trzepotania skrzydłem motyla.

— Kto cię takich głupstw uczy?

Ale Panderanowi podobało się to „głupstwo” i myślał zastosować je w zupełnie innym kierunku na czole, o którego egzystencji panna Dziuba nie wiedziała. Tylko że rzęsa Panderana nie była tak podobna do pocałunku motyla.

— Kto mnie nauczył? motyl naturalnie!

Powiedziała to z taką minką, że mogło się wydać całkiem prawdopodobnem jej przestawanie z motylami, z kwiatami, z ptakami, ze wszystkiem co lekkie, pachnące, wiosenne, cudne.

— A teraz pokażesz mi, coś przyniósł?

— Próbki.

— Jakie?

Wtedy Panderan wyciągnął z kieszeni kilkanaście drobnych paczuszek. W każdej po dwa cukierki innego gatunku.

Dziubie oczy błyszczały.

— Obiadu jeść nie będzie — rzekła mama ostrożnie, bardzo ostrożnie, bo jakoś nie wypada być stanowczą, gdy nie jest się zupełnie pewną, o ile ta stanowczość w skutki obfita będzie.

A tak Panderan, jak Dziuba przekonali mamę, że wszelkie próby stanowczości z jej strony są tylko „*pia desideria*”.

— Zjem obiad i zjem cukierki — odparła Dziuba, która zabrała swej matce cały zapas pewności w decyzji.—Pyszne! zkąd wziąłeś?

— Nowa cukiernia. Patrz, to są „*Nathalie*” z bitych smarzonych migdałów.

— Ze śmietaną, pyszne!

— A to *marrons déguisés*.

— Ach! ja to tak lubię! Jużbym życia nie żałowała, żeby mi na tamtym świecie kasztany dawano.

— A to *pralines*, fabryki Massona. *Je ne te dis que ça!*

Dziuba je i pyta:

— Czy to dobre?

— Masz przecie w ustach, osądź sama.

— Ale ty powiedz. A te małe okrągłe, czy są dobre?

— Nie nudź. Jeżeli ci smakują, to powiedz, ja nie wiem.

Ale bo to taki już zwyczaj ma panna Dziuba, że lubi pytać: „Czy ta zupa dobra?” gdy zjadła cały talerz. „Czy ten kościół ładny”? gdy go już dziesięć razy widziała. „Czy ta osoba miła”? gdy ją zna od pewnego czasu;—i gdy najlepiej sama sobie odpowiedzieć mogła. To tylko dowodzi słuszności przysłowia niemieckiego, które mówi: „*Jedes Thierchen hat sein Manierchen*”.

Czy panna Dziuba jest elegantką? niewiadomo. O suknie nie dba, albo udaje, że nie dba. Za to kapelusz, buciki, ękawiczki muszą być „*corrects*”.

Dziuba wyrazu „*correct*” używa z wielką pedanterją i z bardzo komiczną minką,

Pomimo tych pretensyj do „*correct*”, Dziuba lubi się gapić przy wystawach sklepowych, pasjami lubi; od tego nie można jej odzwyczaić. Ma na to gotowy sofizmat, bo od czegóż jest kobietą.

— Tak się nie robi, ja wiem; ale ja to lubię, a ja się regułami dla pospólstwa nie krępuję.

Taka odpowiedź zamyka usta argumentom, szczególniej gdy jest z całem namaszczeniem wygłoszoną przez osóbkę, której oczy dowodzą, że się sama swojemi wykrętami bawi.

Nie wiem, czy z zasady, czy dla innych przyczyn panna Dziuba nie lubi zatrzymywać się przed wystawą jubilerów.

— To wszystko banalne. Ja o świecidełka nie dbam. Szafiry mi się podobają, ale nie tak obsadzone (naturalnie, bo najpiękniej obsadzone są w jej oczach). To dla parweniuszów.

Ale za to tam, gdzie wystawione były nożyki, pióra, modne papiery, albo chusteczki do nosa „*haute nouveauté*“ albo „breboriony”, tam Dziuby od okna oderwać nie było można.

Chusteczki to jej słabość, i statuetki wyobrażające świętych patronów, aniołów stróżów, z pianki morskiej lub z gipsu. Przed tem wpada w zachwyt. Bo panna Dziuba to bardzo pobożna osoba.

Czasem zdarzy jej się przewrócić na ulicy, ale zawsze zręcznie — i z gracją. Gdy np. widzi chusteczki albo figurki zdaleka, bywa roztrzepana i nie patrzy przed siebie. Nagle *bum*! i leży na ziemi. Wtedy podnosi się bardzo zdziwiona, jeszcze bardziej obrażona na trotoar.

Ale bo też, powtarzam, panna Dziuba jest bardzo głupiutka.

A jednak, jeżeli taka głupiutka, czemu umie wszystkich podbić, oczarować, ująć! Dlaczego potrafi delikatną rączką złagodzić ból niejeden, głęboko ukryty?

Jakim sposobem potrafi ból ten odgadnąć i domyślić się, że tylko pieszczotą, tylko serdecznością zagoić można ranę, ale nie słowem, nie zapytaniem.

Gdzie się wówczas podziała ciekawość panny Dziuby?

A kiedy taka głupiutka, czemu w jej oczach takie rozczulenie się maluje, gdy słyszy o niedoli bliźniego; czemu twarzyczka w smutek się obłóczy i tyle myśli, tyle poważnych myśli rysuje się na czole?

Skoro taka głupiutka, czemu potrafi prędko skierować rozmowę na inny temat, jak najwytrawniejsza dama światowa, gdy ktoś niedyskretny dotknie przedmiotu, który matkę albo drogą jej osobę zaboleć może?

Może główka jej pusta jeszcze, ale serce takie pełne—takie pełne, że jej starczy za rozum, za skarby, za wszystko.

W przyszłości może mi ją świat zepsuje, może mi ją odmieni, co nie daj Boże. W przyszłości może będzie więcej interesującą i nietylko dla mnie.

Tymczasem ma lat piętnaście i jest bardzo daleko. Mgły cieśniny kaletańskiej otaczają jej główkę złotą.

A gdy mi za nią bardzo tęskno, wówczas piszę o niej, a zwłaszcza myślę i to jest lekarstwem na moją tęsknotę.

Esteja.

MAZUREK.

Tam na niebie szafirowem
Świecą, błyszczą w górze
Gwiazdy mniejsze, gwiazdy większe,
Gwiazdy małe, duże.

Aż gdy wzejdzie słońce złote,
Na widok wybrańca
Wszystkie gwiazdy gasną z nieba
Od krańca do krańca.

Tu na ziemi, tu na szarej
Świecą, niby róże,
Dziewcząt oczy: mniejsze, większe,
Oczy: małe, duże.

Aż gdy wzejdzie ponad inne
Miła i jedyna,
Każda przy niej tu na ziemi
Gaśnie nam dziewczyna.

Marjan Jasieńczyk.

JOWISZ I DANAE.

Miała szatę srebrem przetykaną, włosy falujące na białych ramionach, a na czole złotą przepaskę. Siedziała na karym rumaku, który z nią pędził, jak wicher na stepie. Twarz jej blada nie rumieniła się wcale w tym szalonym pędzie, oczy zato iskrzyły się coraz więcej...

W obszernym budynku była cisza grobowa, choć ludzi było tysiące — tysiące ust milczały, chociaż tyle serc biło z podziwu i zachwycenia... Tylko koło niej huczał wicher, srebrna szata szeleściała, jak tysiące skrzydeł polnych koników, tylko czarne zwoje włosów fruwały, jak złowieszcze ptaki, szukając ofiary i żeru!

Między tysiącem widzów był jeden, który nieruchomie w nią patrzył. Miał twarz zarumienioną, usta napół otwarte i włos niedbale na czole rozwiany. Na kolanie oparł rękę z lornetką, w drugiej trzymał bukiet z róż białych i czerwonych.

Kary rumak zarył kopytami, a srebrna szata kobiety, jej oczy pałające, rozwiane włosy i złoty diadem na bladem czole ułożyły się w obraz uroczy. Z tysiąca ust wydobył się jeden okrzyk zachwytu i nagrody dla niezrównanej artystki, z tysiąca dłoni wybiegł grzmiący oklask!

Młodzieniec z bukietem róż czerwonych i białych powstał i wyprężył się, aby wszystkich przewyższyć. Twarz jego była teraz blada, usta drgały, oczy płonęły. Podniósł bukiet róż białych i czerwonych i rzucił na arenę. Spadł u samych stóp artystki. Spojrzała na róże, a szukając dawcy, powiodła okiem po całem zgromadzeniu. Odgadła, i długiem spojrzeniem uszczęśliwiła młodzieńca...

* * *

Na drugi dzień o tej samej godzinie, w buduarze wykwintnie urządzonym siedziała kobieta na otomanie

nie, obitej jedwabnym adamaszkiem. Przed nią na srebrnej tacy leżało kilka listów. Przeczytała je pobieżnie i na stolik rzuciła. Przy jednym z nich zatrzymała się dłużej. Białe jej czoło zmarszczyło się. Myślała chwilkę, potem, zawoławszy służącą, powiedziała jej kilka słów niezrozumiałych.

Za chwilę zapaliła służąca lampę różową, wiszącą u sufitu, na której w sposób starożytny wyobrażony był amor, ścigający Psyche. Drugi pokój, do którego drzwi stały otworem, zajaśniał światłem błękitnem.

Młoda kobieta wstała z otomany i uśmiechnięta zbliżyła się do dużego zwierciadła. W zwierciedle odbijała się cała jej postać. Przezroczyste koronki peniuaru przy świetle różowem czyniły ją podobną do budzącej się jutrzenki, która z łoża nocy wstaje, a nawet twarz jej, zawsze blada i biała, ożywiła się lekkim rumieńcem. Wysunęła z pod koronek złoty pantofelek i kilka chwil patrzyła na niego z upodobaniem. Podniosła prawą rękę do góry, z której białe koronki opadły aż po okrągłe ramię. Palce tej ręki zdawały się szukać kwiatka nad lewem uchem. W takiej pozie wykręciła się kilka razy przed zwierciadłem, zadowolona z tego, co tam widziała. Zanuciła kilka zwrotek wesołej piosenki i rzuciła się niedbale na otomanę.

W wonnej atmosferze budoaru była teraz cisza, jaka zwykle panuje w naturze przed burzą. Nawet głęboki oddech młodej kobiety nie przerywał tej ciszy. Był on cichy i jednostajny i spływał się razem ze stukiem zegara pod szklanym kloszem.

Trwało to czas niejaki. Oczy młodej kobiety przesuwały się zwolna po różnych cackach wykwintnego budoaru, przesuwały się obojętnie. Na biurku spotkały kilka porzuconych listów. Na jednym z nich zatrzymały się dłużej. Był on różowy i pomięty. Pomięła go niecierpliwa ręka czytającej kobiety, a po przeczytaniu między inne niepotrzebne rupiecie rzuciła. I teraz zbliżyła się ta sama ręka do niego. Wzięła go w różowe paluszki i kilka razy przesunęła przed oczyma.

W tej chwili ozwał się dzwonek w przedpokoju. Świeżo wypudrowana służąca, w śnieżnym czepeczku na głowie, przyniosła do budoaru dużą kartę wizytową, a na ustach uśmiech zagadkowy.

Młoda kobieta rzuciła list pomięty, a do ręki wzięła przyniesioną kartę. Obejrzała ją z zadowoleniem: miała brzegi złocone, a pod nazwiskiem większemi literami błyszczał napis: „nadworny dostawca".

Skinęła łaskawie ręką, a do budoaru wszedł nieśmiało gość szczęśliwy.

— Czy to pan jesteś nadwornym dostawcą?—zapytała gościa młoda kobieta.

— Tak jest, pani—odpowiedział gość z głębokim ukłonem.—Jestem nadwornym dostawcą.

Po tych słowach wyprostował się nadworny fabrykant, jak przystało na tak wielkiego dygnitarza. Na szeroko rozkraczonych nogach opierał się tułów, godny indyjskiego bóstwa. Na okazałym brzuchu wisiał gruby szczerozłoty łańcuch z fantem breloków. Z szerokich rękawów wyglądały krótkie palce, ubrane w sygnety i pierścienie błyszczące. Na białą kamizelkę zwieszał się okazały podbródek, od którego poczynała się szeroka twarz z wystającemi uszami. Na garbatym nosie opierały się złote okulary, z pod których patrzyły z zadowoleniem siwej barwy oczy. Krótko ostrzyżone włosy osłaniały tu i owdzie białawe kępki, jakie zazwyczaj dają się widzieć na łąkach w czasie posuchy.

Mimo to wspaniale wyglądał dostawca dwóch cesarzy. W lekki kabłąk zgięty, patrzył z uśmiechem w czarne oczy młodej kobiety, w tej chwili długą rzęsą do połowy przykryte.

— Wyglądasz pan, jak Jowisz—rzekła po chwili.

— Mogę być nim i wtedy—odpowiedział—gdy pani zechcesz wystąpić w roli Danay!

— Dałeś pan tego dowody.

Wstała z otomany, a otworzywszy hebanową kasetkę, stojącą na biurku, wyjęła z niej brylantowy naszyjnik. Snopy światła rozbiegły się po komnacie.

— Prawdziwe brylanty, nie imitacja!—zawołał dostawca cesarski.—Ja sprzedaję i kupuję tylko towar realnie dobry.

— Czy i pan jesteś także towarem realnie dobrym?

— Będę nim, jeżeli pani za niego tak drogo zapłacić raczysz.

— Jakaż cena?

— Zacząwszy od tych brylantowych spojrzeń i złotego uśmiechu.

Artystka roześmiała się prawdziwie brylantowym śmiechem. Cała gama tonów wybiegła z jej ust różowych, aż dostawca cesarski ugiął się pod nawałem takich rozkoszy.

— Więc dobrze... mój złoty deszczyku, Jowiszu, chciałam powiedzieć—rzekła po chwili, chowając naszyjnik—chodźże i usiądź przy mnie.

Okazały tułów z krótkiemi nogami spoczął na otomanie. Artystka wzięła towarzysza za rękę, odsunęła z niej szeroki rękaw i zaczęła przypatrywać się pierścieniom.

— Ten kupiłem w Londynie za pięćdziesiąt funtów; za ten w Paryżu dałem tysiąc franków; a ten kosztuje mię u kupca z Kalifornji trzysta dolarów.

— Jowiszu, jesteś wielkim! nad ciebie niema większego, rozumniejszego i piękniejszego!

Alabastrowa ręka owinęła się koło szyi szczęśliwego Jowisza. Rumiane jego policzki zatrzęsły się niewypowiedzianą rozkoszą.

— Chcesz być moją, o Danae?

— O, tak! będę twoją, ale zawsze w roli Danay.

— Zgadzam się, bo mnie stać na to.

— Gdzież naprzód pojedziemy?

Szczęśliwy Jowisz wyjął z kieszeni grubą książkę, zawierającą rozkład jazdy koleją i okrętem, i złożył na jej łonie.

— Wybieraj, gdzie chcesz jechać, wszędzie pojadę z tobą.

* * *

Za kilka dni młoda para siedziała na aksamitnych poduszkach pierwszej klasy kurjerskiego pociągu. Podróżny księgarz zaproponował przez okno kupno najświeższego dziennika.

— Czy są w nim kursa ostatniej giełdy?—zapytał szczęśliwy małżonek.

Za kilka minut ozwał się dzwonek po raz drugi. Dostawca cesarski skończył właśnie czytanie kursów, gdy się drzwiczki otworzyły. Wszedł młody człowiek, z głową starannie ufryzowaną. Podał rękę artystce i siadł naprzeciw niej.

— Któż to jest?—szepnął nieco zachmurzony.

— Czy go nie znasz?—odszepnęła Danae—wszak razem ze mną owego wieczoru robił ewolucje na jednym koniu.

— A gdzież teraz jedzie?

— Przypadkiem wypadła mu podróż razem z nami.

Chmurny Jowisz wziął znowu dziennik do ręki. Po chwili zmarszczył brwi, a potem roześmiał się.

— Z czego się śmiejesz?

— Młody człowiek zastrzelił się!

— Jakiż w tem powód do śmiechu?

— Chciałbym, aby wszyscy młodsi odemnie wystrzelali się!—odpowiedział Jowisz z piorunującem wejrzeniem na ufryzowaną głowę artysty cyrkowego.

Danae wzięła mu z ręki dziennik i zaczęła czytać.

— A! zastrzelił się!

— Czyś go znała?

— Wiesz... ten blondyn z bladą twarzą... coś go widział owego wieczoru za kulisami... co mi rzucił bukiet z róż białych i czerwonych... a nazajutrz napisał ten list na różowym papierze!...

— I czegóż chciał?

— Pisał, że ja jestem całem szczęściem jego, że bezemnie żyć nie może. Głupiec!

— Prawda, że głupiec! Szczęście, cóż jest szczęście? Na szczęście trzeba sobie zapracować! On myślał, że można posiąść szczęście za parę kwiatków... O, ja pracowałem długo na moje szczęście!

— Ja nie nazwałam go głupcem dlatego, że nie miał jeszcze czem za szczęście swoje zapłacić, ale... że się zastrzelił!

— A cóżby mu z tego przyszło, gdyby się nie zastrzelił?

— Byłby dzisiaj z nami tam siedział!

I wskazała z figlarnym uśmiechem ręką na ufryzowaną głowę swego przyjaciela cyrkowego.

Jowisz zachmurzył się i z chmurnem czołem—zasnął.

We śnie zdawało mu się, że widzi małego, figlarnego djablika. Stał przy kaszcie drukarskiej i składał dziennik z takim samym tytułem, jaki spoczywał właśnie na jego kolanach...

Djablik wybierał z kaszty jedną literę po drugiej, uśmiechał się i składał... Jowisz czyta litery... tworzą one—jego nazwisko!

Cóż dalej?...

Dalej czyta... zastrzelił się!

Coś go zakłuło pod żebrami...

Zerwał się z aksamitnych poduszek...

I widzi... czy to sen?... widzi—Danae w objęciach przyjaciela!

A pod żebrami ciągle go coś kłuje...

Sięgnął tam ręką... to rewolwer!...

Jan Zacharjasiewicz.

STARE, ALE JARE.

Sto tysięcy gotowizny,
Drugie tyle w kapitale,
Włók czterdzieści ziemi żyznej
Bez literki w czwartym dziale.

Z dodatkami, co się zbiorą
Na klejnoty i na szpilki,
Można liczyć dla Marylki
Wiana sześćkroć i to z górą.

Z tym posagiem, obok krasy,
Którą rzadką zwą panowie,
Możnać w ciężkie nasze czasy
Dostać męża co się zowie.
Tak myśleli z mamą tata,
Lecz miast radość żywić w duszy,
Wciąż córeczce kładli w uszy,
Że jest piękna i bogata.

„Gdy godzina twa uderzy,
Piękna będziesz mieć Marylko,
Do wyboru huk młodzieży...
Chustkę przyjdzie rzucić tylko...
Toż margrabia, syn książęcy
Taką partją nie pogardzą."
Rosła panna, ufna bardzo
W piękność; w posag jeszcze więcej.

Z woli losów nieodmiennej
Na Marylkę przyszła pora...
Domu ojców gość codzienny
W słodkie sieci wpadł Amora.
Guwernerem u sąsiada
Był stateczny już pan Michał,
Przez rok cały srodze wzdychał,
Na kolana wreszcie pada.

„A to partja!—mruknął tata,
Człek, jak turków świętość, goły,
Bez manierów, z końca świata..."
Więc Marylka w śmiech wesoły.
Lecz gdy Michał klęczy dalej,
Wybuchnęła, gniewem zdjęta:
„Niechże pan się opamięta,
Czy się panu w głowie pali?..."

Na rekuzę i na dąsy
Wymarzonej w snach kobiety
Michał westchnął, zwiesił wąsy
I odjechał w świat, jak zmyty.
Po nim gaszków ciżbę srogą
Znęcał liczka wdzięk i grosza,
Lecz trzech z rzędu wzięło kosza,
Potem *finis*, już nikogo.

Rzadka piękność ta niewieścia,
Swój ogonek tocząc pawia,
Lat przeżyła już dwadzieścia,
A margrabia się nie zjawia...
Lat dwadzieścia pięć i więcej
Czas domierza niedyskretny...
Coś nie słychać partji świetnej,
Syn nie kwapi się książęcy.

Aż dwa przeszły całe lata,
Ani oko konkurenta!...
Kiep świat, klęli z mamą tata...
I zamilkli niebożęta,
Bo, co prawda, w głębi ducha
Czuli się do winy sami.
Krótko mówiąc, rekuzami
Osławiła się panniucha.

Miej ty skarby, jak królowa,
Z ideałem piękna granicz,
Taki, panno, bywaj zdrowa,
Chudak nie śmie, nie chce panicz,
Gdy więc wciąż o mężu głucho,
Panna się zapędza w latka...
Po Michała posłał tatka
I coś szepnął mu na ucho.

A on pannie: „Widzę, żeście
Przemądrzyli mądrą głową,
Może aśćka zechcesz wreszcie
Zostać panią Michałową?"
I ksiądz stadło stułą zwiąże
W tegorocznym karnawale.
Człek poczciwy Michał, ale
Nie margrabia i nie książę.

K. J. Jasiński

Fragment.

— Winszuję, ale nie zazdroszczę—mówiła hrabina—co do mnie zwiędłabym i uschła rychło na wsi. Sam widok tych jednostajnych równin kujawskich, pozbawionych zupełnie żywszych barw, męczy mnie niesłychanie. Oko nie ma gdzie spocząć, wyobraźnia pobujać. Jak można tęsknić za okolicą, która jest zaledwo nieudolnym szkicem do krajobrazu.

Czy nawet w takich chwilach?—wyrzekł inżenier, wskazując po za siebie.

Towarzystwo obejrzało się.

Na tle czystego w połowie nieba, na jego skraju zachodnim, spiętrzyły się fioletowe chmurki z rąbkami złoconemi, a nad niemi, ponad ciemną wstęgą lasów służewieckich, unosiło się duże, okrągłe krwawe słońce, odcinające się wyraźnie od błę[illegible]tów.

Obłoczki stały nieruchome, jak gdyby świat [illegible] oddech powstrzymał, aby nie przeszkadzać ko[illegible] gwiazdy dziennej. Taka cisza panowała w [illegible] że było słychać ćwierkanie świerszczów polnych [illegible] wołających się w ścierniskach.

Powoli, wspaniale zapadała kula ognista za czarny mur borów. Gdy zaszła, strzeliła jeszcze w górę słupem promiennym, zostawiając po sobie nad lasem łunę szeroką.

Zorza wieczorna gasła, blednąc szybko, razem z nią znikały złote rąbki chmurek, płowa fala zalała sklepienie niebieskie—dzień skonał, a na poszarpanych ruinach jego ostatnich blasków stanął sierp księżyca.

— Czy i w takich chwilach?—powtórzył inżenier.

— Widziałam bogatsze gry barw—wyrzekła hrabina.

— O, i my, hrabino. Wszyscy, jak tu jesteśmy, zachwycaliśmy się ciepłym kolorytem południa, ale były to cuda nie nasze.

Teodor Jeske-Choiński.

„POD ŚPIEWAJĄCĄ RYBĄ."

Na jednej z drugorzędnych ulic istnieje dosyć podrzędna knajpka „Pod śpiewającą rybą". Od pewnego czasu codzień wieczorem zachodzę tam na godzinkę dla odpoczynku i—właściwa człowiekowi dążność do przyzwyczajania się powoli robi ze mnie szacowną dla gospodarza istotę: *stałego gościa.*

Garson na kwadrans przed przyjściem zajmuje mój ulubiony kącik i chowa dla mnie ulubioną gazetę, i gdy wchodzę, wita mnie w inny sposób, niż wita się obcego człowieka, a gospodarz kiwa mi z za bufetu uprzejmie głową.

Siadam w moim kąciku i spoglądam po sali. Potrafię odróżnić tych, którzy są tu przypadkowo, którzy ot, wstąpili na kolację lub kufel piwa, od tych, którzy bywają tu stale o tej porze, którzy, jak ja, są stałymi gośćmi.

Na tych ostatnich, już dlatego tylko, że widuję ich tak często, patrzę z większem zajęciem i ani się spostrzegam, że nawet w chwili odpoczynku pracuję—robię obserwacje.

* * *

Sądzę, że taki typ, jak ten oto jegomość, gruby, szeroki, z kwadratową tłustą twarzą, posiadać musi każda knajpa.

Beztroska i błogość jakaś, z zadowolenia z siebie i z życia płynąca, rozlane są na tem dużem obliczu. Choć może to tylko zadowolenie z nowego kufla piwa.

Przesiaduje tu godzinami pogrążony w bezmyślności, małemi oczkami zrzadka tylko wodząc od czasu do czasu po sali.

Ilekroć parobek nastawi za kontuarem nowy antałek piwa, garson pierwszy kufel podaje natychmiast owemu jegomościowi.

Po chwili gospodarz zwraca się do niego półgłosem:

— Cóż? dobre?

Jegomość kiwa głową i bez zbytniego entuzjazmu, jak na prawdziwego znawcę przystało, odpowiada mruknięciem:

— Tak hm! niczego.

Siedzi sam w kącie i nie okazuje bynajmniej chęci do towarzystwa i rozmowy.

Raz jeden go widziałem więcej ożywionym, niż zazwyczaj. Kilku znajomych gospodarza wciągnęło go w pogawędkę. Treść jej obracała się około piwa i wtedy stary piwosz wyłożył słuchaczom, w jaki sposób powinno się traktować ten trunek.

— Naprzód kilka łyków ze świeżego kufla... ile można, na ile pragnienie starczy, a potem powolutku się ciągnie...

Twarz jego zdradzała niezwykłe zajęcie się przedmiotem.

Była to zresztą twarz człowieka jowialnego i poczciwego, który prawdopodobnie ciężką pracą przez długie lata zdobywał jaki taki kapitalik—i teraz oto po swojemu używa życia.

* * *

Oto inny jegomość, krewki, ruchliwy, rubaszny, głośny. Zachowuje się tak swobodnie, jak u siebie w domu, nie zwracając uwagi na innych.

Widuję go tu zawsze, ilekroć przyjdę i przypuszczam, iż siedzi tu od otwarcia do zamknięcia knajpy.

Z gospodarzem jest w stosunkach poufałych. Ma mu często coś do powiedzenia, przyczem śmieje się grubo i głośno, najczęściej bez powodu. Czasami przychodzi do kontuaru, aby podzielić się swojemi uwagami, a czasami wypowiada je przez całą długość sali.

Z garsonów żartuje często w sposób dotkliwy i obraźliwy.

Jest on właścicielem domu, o czem łatwo się dowiedzieć, często bowiem skarży się na niewypłacalność lokatorów, nazywając ich „łajdakami". Widziałem parę razy rzemieślników, którzy tu przynoszą mu zapłatę za komorne, a on siada przy stoliku blizko bufetu, bierze pióro i papier i wystawia kwit.

Przy tym stoliku także przy udziale doradczym gospodarza zakładu piszą się skargi do sądu na niewypłacających komornego.

Codzień wypytuje garsona:

— Cóż tam macie dobrego dziś do jedzenia?

Garson wymienia mu jadłospis.

Gość dopytuje się szczegółowo:

— A świeże? a dobre? a nie wczorajsze?

I ukończywszy indagacje, każe sobie podawać—kufel piwa.

Jest to człowiek familijny i jada w domu. Wypytuje się zaś tylko dlatego, że obchodzi go wszystko, co się knajpy tej tyczy.

Zwykle około ósmej wieczorem zjawia się mała, dwunastoletnia może dziewczynka, która, przywykła widocznie tu przychodzić, śmiało idzie pomiędzy stolikami.

— Proszę tatki—woła, zatrzymując się przed rubasznym jegomościem.

— A co?

— Mama kazała powiedzieć, że kolacja gotowa.

— Dobrze, dobrze, zaraz przyjdę.

Dziewczyna wychodzi. On jeszcze rozmawia trochę z gospodarzem i idzie na kolację, aby za kwadrans wrócić do knajpy. Zostawia tu nawet palto.

* * *

Tamci dwaj—to próżniacy. Ale oto człowiek pracowity.

Szczupły, ruchliwy niezmiernie, dosyć zaniedbany w ubraniu—jest pośrednikiem przy wszelkich kupnach i sprzedażach.

Knajpa—to dla niego dogodne miejsce do pracy, piwo—to smarowidło, które pomaga do obracania się łatwiejszego maszyny-interesu.

Widuję go zawsze w towarzystwie. Przyprowadza zwykle do knajpy dwóch jegomościów i w towarzystwie tem jest duszą, która łączy je i ożywia. Mówi prawie nieustannie i przepełniony jest widocznie szlachetną żądzą, aby tych dwóch ludzi, których ze sobą przyprowadził, a którzy dosyć wrogo zdają się być względem siebie usposobieni, zamienić na najszczerszych przyjaciół.

Od czasu do czasu przerywa potoki swojej wymowy, aby zawołać:

— Trzy piwa.

Trąca się i pije—z pewnością nie wiedząc, czy to piwo, czy woda. Interes zbyt go pochłania. Zwraca się to do jednego, to do drugiego towarzysza, do obu z jednakowo słodką miną, dla obu jednakowo życzliwy.

Czasem udaje mu się zaprzyjaźnić ich z sobą.

Wtedy rozradowany każe im podawać sobie ręce, mówiąc:

— No, interes skończony.

I zwraca się żywo do garsona:

— Trzy piwa!

Często jednak nie zdoła, pomimo wysiłków, zniweczyć tego „nie", które widnieje na twarzach towarzyszów. Nie traci jednak nadziei, tylko, kiedy w gardle rodzi mu się chrypka, a na czoło występuje pot i organizm spracowany domaga się odpoczynku, zwraca się do garsona znowu:

— Trzy piwa!

Widuję go czasami i samego. Wychodzi ze swoimi towarzyszami z knajpy i po jakimś czasie wraca sam, siada w kąciku, sapie ciężko, ociera pot z czoła czerwoną chustką i każe podać sobie:

— Jedno piwo!

Pije powoli, smakując. To pierwszy kufel, który dziś pije nie z rzemiosła, lecz z przyjemności.

* * *

Codziennym gościem „Pod śpiewającą rybą" jest niejaki pan Jan.

Poznałem go osobiście. Pan Jan jest kasjerem bardzo poważnej instytucji finansowej. Człowiek to w średnim wieku, nizki, szpakowaty, obejścia skromnego, cichy i małomówny.

Grywamy z sobą czasem w szachy.

Pan Jan przychodzi tu wprost z biura o trzeciej, je obiad—a gospodarz dba specjalnie, aby mu dogodzić—potem drzemie trochę w fotelu, potem sumiennie bardzo czyta dzienniki, które przynoszą roznosiciele, potem w milczeniu wypala cygaro, je kolację, przysiada się do znajomych, przysłuchując się rozmowie, i tak mu schodzi czas do północy. Wtedy gaszą światła i pan Jan, ociągając się jeszcze, opuszcza knajpę.

Jest to dla mnie sympatyczny człowiek. Zajmuje się polityką i nieraz snuje przedemną różne kombinacje, które dogodziłyby jego myślom.

Stary to kawaler, który parę razy na moje żartobliwe uwagi o tem, że „mieszka" w knajpie, odpowiedział wesoło:

— A cóż? Albo mi to żona, albo dzieci.

Poznajemy się potrochu bliżej. Pan Jan nie ma wcale krewnych, znajomości zaś zwykłych nie lubi—nie bywa więc nigdzie.

Czasami rozgadujemy się obaj przy butelczynie węgrzyna. Wtedy panu Janowi rozwiązuje się nieco język. Robię mu wymówki, że tak przesiaduje w knajpie tyle czasu. Odpowiada mi naprzód tem swojem:

— Albo mi to żona, albo dzieci...

Powoli staje się szczerszym:

— Cóż mam w domu robić! zimno, pusto, smutno...

Gdy wspominam o pracy, mówi:

— **Dla kogo?**

I wyznaje, że idzie mu tylko o to, aby dni jeden za drugim przepędzać jakoś. W knajpie ma ruch, życie, ludzi—czas tu schodzi niespostrzeżenie, nie ciśnie, nie gniecie...

Pewnego razu niedyskretnie zapytałem się, dlaczego się nie ożenił.

Kiwnął smutno głową:

— Dużoby o tem mówić.

I stuknął się ze mną kieliszkiem, jakby mi do zrozumienia dawał, że o czem innem mówić należy.

Siedzieliśmy wieczoru tego do północy. Gdy należało wyjść, pan Jan, jak zwykle, ociągał się, póki ostatnie światło nie zagasło.

— Trudno się panu rozstać z knajpą—rzekłem.

— Thy! po co się śpieszyć— odpowiedział.— Albo mi to żona, albo dzieci.

Tym razem tyle smutku było w jego słowach, tyle smutku...

Wincenty Kosiakiewicz.

Humorysta.

MONOLOG.

Mówisz pani, żem smutny... O, niech mnie Bóg broni!...
Nigdy smutek swem piętnem nie dotknął mej skroni,
Moich źrenic zasłoną nigdy nie skrył mglistą...
No... bo przecież od tego jestem humorystą,
Bym, z humorem wędrując po przez życia drogę,
Śmiał się wciąż ze wszystkiego, mogę, czy nie mogę.
Czy nie wołałbym płakać?... o to nikt nie spyta;
Gdy jesteś humorystą, masz się śmiać—i kwita.
Obowiązek twój ludzi w ich strapieniach cieszyć,
A śmiać się tak serdecznie, żeby ich rozśmieszyć.
Co prawda... proszę pani... wyznać się ośmielę,
Że śmieszności na świecie wiele, bardzo wiele,
Słabostek, stron komicznych tyle naokoło,
Że zatrudno się nie śmiać szczerze i wesoło.
Ja też zawsze się śmieję wśród życiowych zdarzeń
Z własnych uczuć i z siebie, z cudzych trosk i marzeń.

Naprzykład... mój wydawca (perła to najszczersza)
Zamówił u mnie pracę (dziesięć kop. od wiersza)
I pragnął, bym humora wytrysnąwszy strugą,
Napisał (niezbyt krótko, lecz i niezbyt długo)
Rzecz z wybornym tytułem, zda się „Głód i miłość",
Bym opisał tych uczuć szczególną zawiłość,
A głównie, bym swe pióro, dowcipem natchnione,
Zwrócił na tę ze wszystkich najśmieszniejszą stronę,
Że uczucia te, w świecie tkwiące nieśmiertelnie,
Najczęściej chodzą w parze, choć winny—oddzielnie;
Że miłość kroczy taką, jak i kredyt drogą:
Chcący mieć ją—nie mogą, ci, co nie chcą—mogą...
Tak. Kochać... proszę pani.. (takie moje zdanie)
Gdy głodny nie ma prawa, syty—nie jest w stanie...
Przyznasz pani, że temat ten dla humorysty
Jest kopalnią dowcipu i werwy ognistej.
Jam to przeczuł odrazu, więc pełen ochoty
I skrzącego zapału, szedłem do roboty:
Dowcip, humor, wesołość naraz mi spłynęły
I sam się tak uśmiałem, aż mi łzy stanęły...

Albo czyż to nie śmieszne?... Wystaw sobie, pani,
Olbrzymią stromą górę, kędy potem zlani
Ludzie, raniąc swe stopy o cierń albo kamień,
Pną się pełni nadziei i jasnych omamień
Do wierzchołka, którego nie widać zdaleka,
Ufni, że ich pod chmurą trwałe szczęście czeka...
Choć im ciągle przeszkody ściele droga śliska,
Bo tu ścieżka zawązka, tam krucho urwiska,
Choć, gdy dwa kroki przejdą, krok cofnąć się muszą,
Oni idą wytrwale, z pełną wiary duszą,
I znaczą ślad swej drogi łzami, krwią i potem
I nieraz wpada w przepaść ktoś z głuchym łoskotem.
A po co?... po co naprzód rwą się, jakby ślepi?
Czyliż siedzieć spokojnie nie byłoby lepiej,
Niż iść w górę, kalecząc swe ręce i nogi,
Na to, by runąć w przepaść lub umrzeć w pół drogi...

Co to jest?... Widzę, pani, w twej źrenicy łezkę...
To śmieszne!... Pyszną z tego kropnę humoreskę!...

No... teraz to już pani roześmiejesz się przecie
Z tego, co ci opowiem. Jest morze na świecie,
Zwie się morzem głupoty; trwa pono odwiecznie
Na mapach i globusach szukać go zbytecznie,
Bo świat cały objęło w swe silne uściski
I płynie, wyrzucając zuchwale pociski
Swej fali, co się ciągle rwie i miota wściekła
I huczy, grzmi i szumi, niby duchy piekła.
A co chwila mknął w górę olbrzymie bałwany
Z jego paszczy bezdennej, nigdy nieprzebranej...
Czasem... już... już się zdaje, że ono spokojne,
Że zniknął jego źródła obfite i hojne,
Że w przyszłości to morze wyschnie i zaginie...
Eh, gdzietam!... ono płynie ciszej... ale... płynie...
A czasem znów ze swoich występuje brzegów;
Mimo przeszkód tysięcznych i wrogich zabiegów,
Zalewa swoją falą, jak olbrzymią rzeką,
Żyzne łany i pola szeroko, daleko...
A gdziekolwiek się zwróci, co falą omyje,
Umiera to, co żyje, a co weszło... gnije...
I mimo tego ludzie, a jest takich wiele,
Z rozkoszą biorą często w tem morzu kąpiele...

Ah, pani znowu smutna!... a miałem nadzieję...
Oburzasz się i gniewasz?!... ja się tylko śmieję...

Tak, śmieję się i szczerze śmiać się będę zawsze,
Śmiechu warte marzenia i smutki najkrwawsze;
Niech mnie gnębią zawody i życiowe cierpienie,
Ja tej mojej zasadzie służyć będę wiernie
I, poddając się śmiechu niezłomnej potrzebie,
Gdy umrę, śmiać się będę na własnym pogrzebie.
Jedną tylko ofiarę złożę światu w dani:
Śmiać się będę ze wszystkich, oprócz... ciebie, pani!...

Antoni Orłowski.

Znalazł swój swego.

(Z TEKI FRASZEK.)

Opowiem wam dziś zdarzenie, ani smutne, ani zbyt wesołe; a opowiem jedynie dlatego, że charakteryzuje ono dosadnie nasze stosunki ekonomiczne.

Nie wiem, czyście państwo słyszeli, że między niemcami czeskimi jest zdawien dawna w zwyczaju, iż każdego nowonarodzonego chłopaka ojciec bierze za nogę, wyrzuca na dach swego domostwa, przyczem patetycznie wygłasza czterowiersz niemiecki, który przetłumaczony brzmi:

Idź na górę,
Patrz za chmurę,
Szukaj gdzie jest polski kraj,
Tam dla ciebie chleb i raj!

Dzięki temu zwyczajowi niemcy czescy przez sto lat zalewali Galicję. W taki sam sposób postąpiono sobie z panem Maurycym Krebsem, gdy ten w Jungbunzlau ujrzał światło dzienne. Ale pan Moritz Krebs, wyrósłszy na męża dojrzałego, zapomniał o nauce w kolebce otrzymanej, więc też, miasto do Galicji, poszedł do Wiednia szukać tak chleba, jak raju.

I znalazł czego pragnął w stolicy naddunajskiej. W ciągu kilku lat tyle zorobił, że kupił dom okazały, istny pałac. Prawdopodobnie byłby dziś jeszcze bogatszy, gdyby nie krachy, z których Wiedeń słynie. Te mu tak dalece podcięły skrzydła, do szerokiego lotu skore, że dnia pewnego musiał w duchu wyznać, iż cud będzie prawdziwy, jeżeli cokolwiek ze swego domu ocali, — a że równocześnie przypomniał sobie ów kraj, do którego go niegdyś ojciec wysyłał, przeto czemprędzej spakował manatki, do walizki—włożył fotografję swojego pałacu i kupiwszy bilet pierwszej klasy, wyruszył do Galicji.

W przedziale, do którego wsiadł, znajdował się jakiś jegomość smukły, słuszny, o manierach eleganckich. Dłuższy czas jechali, nic do siebie nie mówiąc; nareszcie niemiec pierwszy się odezwał:

— Śliczny czas!

— Bardzo piękny.

— Pan tutejszy?

— Nie. Jam z Galicji, nazywam się hrabia Stefan i jestem właścicielem dóbr ziemskich.

— Ja zaś pochodzę z Wiednia, moje nazwisko Krebs Moritz, jestem kapitalistą i posiadaczem wspaniałego pałacu.

— Bardzo mi miło.

— Niewymownie jestem szczęśliwy.

I znów cicho. Teraz każdy z nich spoglądał przez inne okno wagonu, aby podziwiać przesuwające się krajobrazy.

— Galicja to kraj bogaty—niemiec znów przemówił.

— Rzeczywiście bogaty. Ziemi mamy dosyć i niemało pięknych lasów.

— Już oddawna o tem marzę, żeby zostać właścicielem dóbr w Galicji, ale nie mogłem się dotąd zdecydować.

— A cóż pańskiemu zamiarowi stoi na przeszkodzie?

— Brak stosunków w Galicji. Zresztą nie chciałbym wydawać gotówki. Na zamianę możebym prędzej przystał.

Hrabia ściągnął brwi, jak człowiek, który coś rozważa.

— A na cobyś się pan chciał mieniać? — zapytał.

— Na mój pałac.—To powiedziawszy, wyjął fotografję swego domu.—Patrz pan, gmach czteropiętrowy, narożny, o dwóch frontach. To nie pałac, ale krowa dojna. W roku ubiegłym miałem piętnaście tysięcy czystego dochodu, za rok będzie nierównie więcej.

Hrabia przypatrywał się uważnie fotografji. Po chwili rzekł:

— Jeżeli pan chcesz zrobić interes na zamianę, to kto wie, czy go nie doprowadzimy do skutku.

Z temi słowy powstał, a otworzywszy swój kuferek podróżny, wyjął zeń mapę kolorową i rozłożył ją przed towarzyszem.

— Widzisz pan, oto są moje dobra Jodłowice, położone w okolicy romantycznej, z zamkiem, młynami i tartakami. Wiosek mam razem siedem, a najwspanialsza między niemi jest oto ta Łatawica, położona nad samą granicą węgierską, zkąd najłatwiej można drzewo do Pesztu wysyłać. Ma ona cztery tysiące mórg obszaru i jest perłą w moim kluczu. Ponieważ oddawna noszę się z zamiarem kupienia w Wiedniu pięknego pałacu, więc bardzo być może, że zrobimy interes. Jak wysoko cenisz pan swój dom?

— Trzysta tysięcy.

— A ile jest na nim długów?

— Dwieście tysięcy. A pan hrabia ileby chciał za tę wieś?

— Sprzedam ją za bezcen, za dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

— A hipoteka obciążona?

— Na Łatawicy osobno nie mam żadnych długów, ale ponieważ na całym kluczu ciąży sto pięćdziesiąt tysięcy, przeto jeśli pan chcesz zrobić interes, musisz całą tę kwotę przyjąć na siebie, co gdy się stanie, ja będę miał czystych sto tysięcy na pałacu, pan tyleż na Łatawicy.

Hrabia, mówiąc to, myślał: „Ciekawym czy wezwę na fundusz głupiego szwaba!", zaś *Herr* Krebs śledząc mapę okiem pożądliwem, mówił sobie w duchu: „Dam gardło, że wykieruję głupiego szlachcica!"

Zaczął się targ, który jednak nie trwał długo, a że obu było pilno, więc wysiedli w najbliższem mieście, spisali akty notarjalne, potem hrabia zawrócił do Wiednia, niemiec zaś odjechał do Krakowa, zkąd wysłał następujący list do swojego szwagra:

„Kochany Wilhelmie! Dziwiłeś się, żem wyjeżdżał pierwszą klasą, tymczasem przeczucie mówiło mi, że w pierwszej klasie zrobię szczęście. I tak się stało. Serce moje jest radością przepełnione, bo prawdziwie cudownym sposobem zostałem bogatym właścicielem dóbr w Galicji. Od dziś posiadm tam 4,000 mórg ziemi. Ponieważ znam twój talent agronomiczny, mianuję cię zatem rządcą jeneralnym z płacą 4,000 guldenów. Ale to na początek, później będzie więcej. Jeśli twój dyrektor nie da ci zaraz urlopu, pluń na tę nędzą posadę, na której bez widoków tak długo siedzisz i spiesz niezwłocznie do Krakowa, gdzie niecierpliwie cię wygląda twój, kochający cię szwagier *Moritz Krebs*."

Po upływie trzech dni szwagrowie połączyli się w Krakowie, zkąd niezwłocznie wyruszyli do Łatawicy.

Jak długo koleją jechali, mieli różowe nadzieje, lecz gdy raz wsiedli na wózek żydowski, zaczęli spuszczać nos na kwintę. Zamiast żyznej ziemi, ujrzeli lasy szpilkowe mocno przerzedzone; zamiast pszenicy, widać było nędzne owsy; miasto zamków i pałaców spotykali dwory drewniane i dymiące się chaty włościańskie.—Źle—pomyślał jeden.—Głupia historja! — w duchu sobie drugi powiedział, ale uczuć swoich jeszcze głośno nie zdradzali.

Nareszcie stanęli w Łatawicy. Ledwie zatrzymali się przed jakąś chatą nędznej powierzchowności, gdy nawinął się żydek usłużny i ten narzucił im się na tłumacza.

— Gdzie tu jest zamek?—pytał *Herr* Krebs.

— Tu niema zamku.

— A gdzie my tu mieszkać będziemy?

— Nu, albo ja wiem.

Szwagrowie spojrzeli na siebie grozą zdjęci.

— A gdzie tu są lasy?

— Lasy? No lasy są po dziurach, z których jednak nikt drzewa nie wyciągnie. Bliższe już dawno wyrąbali.

— A gdzie są pola?

— Tam na szczytach, gdzie się nawet jałowiec nie rodzi.

— A jakie tu są dochody?

— Dochody? nu, na co tu dochodów?... Tu niema żadnych dochodów.

— O *Herr* Jezu!—krzyknął *Herr* Moritz Krebs — to mnie orżnął!

Zdawało mu się jednak, że może wybrnie. Zamieszkał tedy w chacie owego żydka, aliści trzeciego dnia zjawia się woźny starostwa i wręcza mu nakaz zapłaty, opiewający na 7,000 guldenów. Tyle miał w ciągu dni trzydziestu uiścić rządowi jedynie za to, że kupił Łatawice!

Herr Moritz Krebs przeczytał, wziął szwagra pod ramię, wyszedł niby na przechadzkę, żeby romantyczną okolicę podziwiać—lecz odtąd ludzkie oko już ich nie widziało w tych stronach.

W tym samym czasie hrabia Stefan, ukończywszy krótką wycieczkę do Węgier z jakąś damą przygodną, która mu się w drodze nawinęła, zdążył do Wiednia. Na dworcu kolejowym czekał nań przyjaciel, pan Filip, do którego już pisał. I rzekł mu on na wstępie:

— Odebrawszy twój list, udałem się niezwłocznie do kamienicy, którą mi wskazałeś, by na miejscu zbadać istotny stan rzeczy. Otóż mogę cię teraz upewnić, że ten pałac, z którego właściciel umknął, zbankrutowawszy, jest bańką mydlaną. Wart najwyżej 100,000 guldenów, w lecie bowiem stoi prawie cały pusty, ale ponieważ nieopatrzne banki dały na niego 200,000 guldenów, więc nie pokrywa on nawet podatków i rat bankowych. Nie wiem, na coś żądał tych szczegółów, lecz gdyby się znalazł jaki szaleniec, któryby chciał ten dom kupić, ostrzeż go, bo niewątpliwie zbankrutuje.

Hrabia Stefan ręce załamał.

— A to mnie łotr orżnął!

Mimo to poszedł jeszcze do owej kamienicy, nawet w niej zamieszkał. Aliści trzeciego dnia zjawia się woźny wiedeńskiego magistratu i wręcza mu nakaz zapłaty na 9,800 guldenów. Tyle miał w ciągu dni trzydziestu uiścić rządowi jedynie za to, że kupił ów pałac.

Hrabia Stefan przeczytał i wyszedł na przechadzkę...

I tyle go w tym domu widziano...

Józef Rogosz.

FILIUS CHAMI.

Wyjątek z libretta, świeżo odznaczonego na konkursie warsz. Tow. Muz.

AKT I-szy.

(Rynek. Zdala widać kościół. W głębi kramy, w jednym z nich bliżej sceny, na prawo, siedzi Gierta, przekupka. Po scenie chodzą żacy, panny i starsze matrony.)

STACH BIELAWSKI *(wchodzi z prawej).*

Śniło mi się, śniło,
Sen mi utkwił w sercu,
Żem w kościele stał z mą miłą
Na ślubnym kobiercu.

Próżne serca męki,
Nie było przykładu,
By dla chamskiej urósł ręki
Kwiat z pańskiego sadu.

Dobre wino górą,
Męty zaś u spodu,
Cierp, cierp, ty, chłopski ciuro,
Żeś nizkiego rodu.

Noś złej brzemię doli
Z kolebki do grobu,
Och! jak srodze serce boli,
A niema sposobu.

GIERTA.

Hej, chłopcze, rzuć lamenty,
Na wszystko jest sposób na świecie.

STACH.

Czyliż jest sposób na los zawzięty?

GIERTA.

Tylko się zwierz mądrej kobiecie.
Ja radzę ludziom wszem.
Co ci to jest? Niechże wiem.
Snadź cię serduszko boli?
Biedaku, niechże wiem.
Mam ci ja środki, co w złej doli
Przynoszą ulgę ludziom wszem.
(przykłada dłoń do piersi Stacha)
Ach tak, ach tak,
Jak bije serce w łonie,
To najpewniejszy znak,
Że w niem straszliwy ogień płonie.

STACH.

Ulecz mnie, ulecz, przez Boga,
Ach, litość miej!
Ty nie wiesz, jak ta męczarnia sroga.

GIERTA.

Ja mam nie wiedzieć, dziecino miła?
Czym to ja nigdy młodą nie była?

STACH.

Męczarnia sroga!
Ulecz, przez Boga.

GIERTA *(podając kubek).*

Weź, wypij to, wnet będzie lżej.
Jeszcze nie błyśnie zorza w zaraniu,
Kiedy zapomnisz o twem kochaniu,
Lecz o tem ludziom cyt.
Jeszcze nie błyśnie świt,
Zapomnisz o twem kochaniu.

STACH *(biorąc kubek).*

Napoju błogi,
Gdy mnie od srogiej
Męczarni wybawić masz,
Bądź pochwalony,
Balsamie duszy strapionej,
Lecz czy mi tylko szczęście dasz?
Ach nie, ach nie!
Co bez miłości warte dnie?
Młodości warte dnie?
Ach, weź twój lek,
Miłości żąda mój młody wiek.
Lepiej pić z życia puharu
Najgorsze męty,
Niż czerpać pokój ze złego czaru,
Z obojętności przeklętej.
Lepiej niech duszę niepokój miota,
Niźli mieć śmierć miasto żywota,
Śmierć w sercu, co winno żyć.
Ach, nie chcę napoju pić.
Jaki chcesz, weźmiesz dar,
Tylko daj taki czar,
Coby mi serce zyskał dziewy.
Oto masz złoto.
(Daje Giercie pieniądze.)

GIERTA.

Hm, złoto nie plewy,
Służę z ochotą.
Oto masz taki czar,
Co w sercu jej rozbudzi żar,
Miłości żar.
(Podaje flaszeczkę.)

STACH.
Ach nie, ach nie,
Nikomu złej nie życzę doli,
Niechaj jednego tylko mnie
Głąb serca boli.

*(Siada na końcu straganu. Z lewej wchodzi kilku Elearów. *)*

PIERWSZY ELEAR.
Widzicie stragan? Stanąć nie wadzi.
Wiem, że pijecie miodek radzi.

DRUGI ELEAR.
Pić na tym świecie niezła rzecz,
Od miodu troski idą precz.

PIERWSZY ELEAR.
No, babo, dawaj pić.

GIERTA.
Mościwy panie,
Co za gadanie?
My z siebie nie damy drwić.
Widać waść człek tutaj świeży,
A mnie zna calutkie miasto.

PIERWSZY ELEAR.
Więc jakże mówić wam należy?

GIERTA.
Tak, jako mówi całe miasto,
Według światowej polityki,
Bo nawet uliczne smyki
Mówią mi: dobra niewiasto.

PIERWSZY ELEAR.
Tytuł nielada!
Gdy politycznie mówić wypada,
Więc... babo, dawaj pić.

GIERTA.
Mości wojaki,
Zły zwyczaj taki,
Tak sobie z ludzi drwić.
Baba to ona, co w wiejskiej chacie
Kądziołkę przędzie i klepie ciasto,
A do nas przecie tak mówić macie:
Sławetna jejmość, dobra niewiasto!
Nawet uliczne wiedzą smyki,
Że się nam według polityki
Mówi tak: jejmość, dobra niewiasto!

PIERWSZY ELEAR.
Dobra niewiasto, nalej, proszę,
A tu za napój masz trzy grosze.

GIERTA *(nalewa kubki).*
Gdy politycznie mówią panowie,
Niechaj im trunek idzie na zdrowie.

PIERWSZY ELEAR.
A więc za nasze zdrowie. *(Piją.)*

ELEAROWIE.
Miała baba żaka,
Czystego junaka,
Z kompakturą i dykturą na partesach śpiewał,
Więc go babsko miłowało, rozkosz u niej miewał.
Kiedy się napiła,
Firleje stroiła
Z onym swoim żakiem,
Rozkosznym śpiewakiem.

GIERTA.
Gdzie? Jaki żak? Co waść plecie?

PIERWSZY ELEAR.
Czy jejmość ślepa? Toć tam przecie
Jakby na prątku ptak,
Na desce siedzi żak.

DRUGI ELEAR.
Ten czysty ptaszek
To pewnie wasz pieszczony gaszek.
No, mości żaku, szyję dam,
Żem zgadł... powiedz sam.

STACH *(powstając).*
Mości panowie,
Co to wam w głowie?
Do kogo ten wasz żart?

PIERWSZY ELEAR.
Do ciebie, panie,
Czysty młodzianie.

STACH.
Czy was tu przyniósł czart?

DRUGI ELEAR.
Czart, czy nie czart, lecz prosim waści
Nie wszczynać z nami żadnej napaści.

PIERWSZY ELEAR.
Mój panie młody,
Napij się wody,
Niech twój ochłonie gniew.

DRUGI ELEAR.
Tak, dla ochłody
Napij się wody.

STACH.
Wolałbym pić waszą krew.

PIERWSZY ELEAR.
Masz waszeć smak nielada,
Lecz ciężka z nami zwada.

STACH.
Gdybym miał tylko szablę.

DRUGI ELEAR.
Nie junacz się, młody djable,
Bo, jeśli żądasz, szablę masz.
(Podaje mu swoją szablę.)

PIERWSZY ELEAR.
Oberwać chcesz kresę w twarz.

DRUGI ELEAR.
No masz, no masz,
Bierz moją szablę,
Gdyś taki zuch, młody djable,
Dostaniesz kresę w twarz.

TRZECI ELEAR.
Brak żołnierskiego ci kołpaka,
Więć go odemnie bierz.
(Kładzie mu swój kołpak na głowę.)

ELEAROWIE.
Hej, dzielna mina u żaka!
Oberwiesz, gdy tego chcesz.

PIERWSZY ELEAR.
Kołpak na głowie, szabla w dłoni,
Jak umiesz, tak się złóż.

STACH.
Prawda jest za n[illegible] więc obroni
Mnie anioł stróż.
(Biją się. Pierwszy Elear wytrąca Stachowi szablę.)

PIERWSZY ELEAR.
Machałeś żwawo,
Młodzianie mój,
Lecz jam już szkołę przeszedł krwawą,
Niełatwy ze mną bój.

DRUGI ELEAR.
Bądź dobrej myśli, chłopcze młody,
To żart, z którego szydź,
Myśmy rycerze, nie Herody,
Młodzianków nie chciwi bić.

TRZECI ELEAR.
Dobrze, iż w waści animusz taki,
Waści być z nami nie między żaki,
Co? Chcesz iść z nami w bój?
Do twarzy ci nasz strój.

ELEAROWIE.
Pod Elearów zacnym znakiem
Lepiej żołnierzem być niż żakiem,
Lepszy, niż pióro, ostry miecz,
Nie piórem pisz, lecz szablą siecz.

PIERWSZY ELEAR.
Pobladłeś, że smutek masz,
Wskazuje twoja twarz.

ELEAROWIE.
Jeżeli serce gryzie ból,
Pociecha wśród szerokich pól.
Na głowę kołpak, szablę w dłoń,
Na koń, na koń!
A wnet twój zmilknie ból.

PIERWSZY ELEAR.
Gdy przyjdzie czas,
Że zbyt dokuczy ból,
To przyjdź pomiędzy nas,
A będziesz wesół, niby król.
Że się spotkamy znów
Nadzieję mam... Bywaj zdrów!

ELEAROWIE.
Gdy zbyt zaboli serce,
Pociecha w cnej żołnierce;
Że się spotkamy znów,
Przeczucie mówi. Bywaj zdrów!
(Odchodzą.)

Bronisław Grabowski.

---

*) Tak zwano nieraz lisowczyków.

PANNA LUIZA.

Wyjeżdżałam z Warszawy w bardzo niemiłem usposobieniu.

Było to w owej porze wczesnej wiosny, gdy wylew wód poczynił tyle szkód na kolei; pozrywał mosty, popodmywał planty, utrudniając komunikację, którą trzeba było odbywać z przeszkodami: przesiadaniem do pociągu, czekającego z drugiej strony zerwanego mostu, z ostrożnem posuwaniem się pociągu po nadpsutym torze.

W dodatku powietrze było zimne, wilgotne, co razem sprawiło, że termometr mego usposobienia spadł niżej zera.

Z okien wagonu widok przedstawiał się niepiękny. Rozległe, szare pola, gdzieniegdzie na pagórkach resztki śniegu brudnego, jak ciemniejszy odcień szarej ziemi, doliny zalane wodą, drzewa i krzewy stojące w wodzie, szare, zmoczone. Miejscami, w blizkości większych rzek, widać było ślady powodzi. Drzewa wyrwane z korzeniami, łąki i pola zaniesione głęboko piaskiem, resztki rozerwanych budowli, belki, bierwiona, gałęzie, słoma pozostawione na brzegu. Śnieg zaczął padać i zmieszany z kłębami pary, zakrył zupełnie niewesoły krajobraz.

Przeczytałam *Kurjera* i zaczęłam rozmyślać o zepsutym moście. Jaka tam będzie przeprawa? Tymczasowy most zapewne niewygodny, deski wilgotne, poślizgnąć się łatwo... przedstawiałam sobie wszystko w najgorszych kolorach.

— I jak oni tam mogą śmiać się tak wesoło?—myślałam, spoglądając na towarzystwo, siedzące w drugim końcu przedziału wagonowego.

Było ich troje. Młode małżeństwo i jakiś niemłody jegomość, odgrywający wobec ładnej i młodej kobiety rolę don Juana. Śmieli się, żartowali, układali plany wspólnej wycieczki, on spoglądał na nią bardzo sentymentalnie, ona uśmiechała się do niego zalotnie.

Mąż, przystojny dość i sympatyczny, usunięty był na drugi plan, i zdawał się los swój przyjmować, jako rzecz naturalną zupełnie. Widocznie niemłody don Juan był protektorem pięknej pani, któremu zawdzięczano dobrą posadę i lepsze jeszcze nadzieje na przyszłość.

Słyszałam jak mówił:

— Bądźcie spokojni, już ja się tem zajmę... pomówię z dyrektorem. On to zrobi dla mnie!

Mąż dziękował mu, a on spoglądał na żonę oczami, które mówiły wyraźnie:

— Wszystko dla ciebie!...

Odwróciłam oczy z niechęcią.

— Wszędzie to samo—pomyślałam.

Gdyby mnie kto zapytał, co znaczyło „to samo“, powiedziałabym: nikczemność!

Tak źle usposobiło mnie brzydkie powietrze i podróż z przeszkodami!...

Z kolei spojrzałam na najbliższą moją sąsiadkę.

Była to młoda, przystojna francuzka, o wyrazie twarzy żywym i energicznym. Rozmawiałam z nią trochę przy wsiadaniu, potem zajęłam się czytaniem, ona zaś poszła za moim przykładem.

Teraz złożyła gazetę i zaczęła wyglądać przez okno z zajęciem tak szczególnem, że to zwróciło moją uwagę. Twarz jej promieniała jakiemś ożywieniem wewnętrznem, w oczach migotały błyski radosnego wzruszenia, usta uśmiechały się tym uśmiechem, jakim witamy osoby życzliwe lub miejsca dobrze znane a przyjemne...

Wyjrzałam przez okno.

Śnieg przestał padać, nie zostawiwszy ani śladu po sobie na wilgotnej ziemi. Pociąg zwolnił biegu, zbliżając się do stacji, mogłam się więc przyjrzeć okolicy.

Była leśną. Na wzgórku, otoczony lipami, stał wiejski kościołek, obok plebanja, ukryta między drzewami. Dalej jakiś dwór wielki, otoczony parkiem, wśród drzew widać tylko było czerwony dach pałacu.

Widocznie mieszkanka tej okolicy, może tego pięknego dworu, pomyślałam.

Tymczasem pociąg zatrzymał się na stacji, potem poruszył się znów do dalszego biegu; nieznajoma siedziała wciąż nieporuszona, zapatrzona przed siebie.

— Czy pani zna tę okolicę?—zapytałam, zdziwiona tą szczególną kontemplacją.

— Tak—odrzekła, zwracając się ku mnie uprzejmie—przeszłego roku spędziłam tu całe lato bardzo przyjemnie.

— Czy tam?—zapytałam, wskazując na dwór.

— Nie; na plebanji. Ot, niech pani spojrzy, prędko! bo drzewa zakryją nam widok; zajmowałam ten pokój z oknem od szczytu, tam, gdzie stoi gruszka, doskonała bargamotka letnia. Gałęzie zwieszały się nad samem oknem, zrywałyśmy na wyścigi z przyjaciółką moją, siostrą proboszcza, dojrzałe owoce. Ksiądz proboszcz gniewał się niby, groził, że będzie źle, jak złapie na gorącym uczynku złodzieja, ale zwijałyśmy się tak zręcznie, że ani razu nie złapał!...

Mówiła żywo, z gestykulacją właściwą francuzkom, z błyskiem w oczach śmiałych i rozumnych. Zdawało się, że samo to mówienie sprawia jej przyjemność.

Opowiedziała, że była nauczycielką na jednej z pensyj warszawskich, tam poznała się i zaprzyjaźniła z Anną, siostrą proboszcza, także nauczycielką. Potem zaziębiła się, zachorowała ciężko i chorowałaby pewno długo, bo w mieście tak ciężko dla rekonwalescentek, ale poczciwa Anna napisała do brata i ten zaprosił ją na wakacje do siebie.

— A jaki był dobry i gościnny! Nietylko, że miała życie wygodne, ale jeszcze zajął się jej leczeniem; sprowadził mocne wina, codzień musiała mieć zwierzynę na obiad i szałas kazał wybudować w lasku sosnowym, żeby oddychała świeżem, ożywczem powietrzem.

— *Ah! qu'il était bon, monsieur le curé!* — powtarzała z uniesieniem.

— W jakim wieku jest ksiądz proboszcz?—zapytałam, ulegając podszeptom brzydkiej podejrzliwości, która i w uczuciu miłosierdzia stara się dopatrzeć stronę ujemną.

— O, niemłody już—odpowiedziała, podnosząc na mnie czarne, ładne oczy—znacznie starszy od Anny, której jest bratem przyrodnim. Mieszka przy nim macocha, zajmuje się gospodarstwem i dla niej jest dobry, jak syn rodzony. Przyjemnie patrzeć na ten miły stosunek rodzinny. Jakże ich życie jest szczęśliwe w tej plebanji!... Dla mnie, urodzonej na wsi, ale z obowiązku mieszkającej w mieście, to była prawdziwa rozkosz!... Wstawałyśmy z Anną rano, i jak tylko pogoda, zaraz do ogrodu. Tam, pod lipą, stoi stół i ławki zielono pomalowane; mateczka przynosi nam kawę z sucharkami, chleb razowy, masło świeże, ser, jak śmietana, i ciągle powtarza:

— Jedzcie tylko, jedzcie, tam w mieście nie macie tak dobrych rzeczy.

No, i jadłyśmy!... Po kawie odzywał się dzwonek; szłyśmy do kościoła. Ksiądz proboszcz odprawiał mszę, my z Anną na chór. Ja grałam na organach, Anna śpiewała. Ma śliczny głos, brała w Warszawie lekcje śpiewu. Duet nasz podobał się wszystkim, nawet wieśniacy utrzymywali, że ładniej śpiewamy, niż organista. Wierzę temu! Organista stary wygrywał jakieś staroświeckie,

skoczne melodje, niestosowne; my wybierałyśmy melodje rzewne i poważne. Było to... jak w idylli.

Kościołek ładny, ołtarze ustrojone w bukiety świeżych kwiatów. Ja umiem układać ładne bukiety z trawy leśnej. Na około szum lip, których gałęzie zaglądały w gotyckie okienka, szept modlitw poczciwych wieśniaków, jakaś cisza błoga i uroczysta. Wychodziłam zawsze przejęta nieokreślonem wzruszeniem, uczuciem wdzięczności dla Tego, który mi dał życie, zdrowie i szczęście!...

Zamilkła na chwilę, potem mówiła dalej, uśmiechając się do swych wspomnień.

— Co to jest mieć cały dzień swobodny do swego rozporządzenia! Módz iść, gdzie się podoba, robić, co się podoba. Nie trzeba siedzieć w klasie i słuchać nudnych lekcyj, albo latać po mieście z pensjonarkami. Czasami leżałyśmy po kilka godzin w cieniu drzew na murawie; naokoło nas brzęczały pszczoły, zbierając miód z lipowego kwiatu, czasami usypiałyśmy przy tym brzęku. Lubię bardzo spać na świeżem powietrzu, szczególnie na łące skoszonej. Zapach świeżego siana działa na mnie jak opjum i wtedy to pojmuję słodycz bezczynności, jaką się lubują mieszkańcy Wschodu. Gdy upał minął, szłyśmy zwykle do lasu i wracałyśmy obciążone koszami grzybów lub poziomek, ale jakich poziomek! Nie takich, jakie kupujemy w mieście. Czerwone, lśniące, z cudownym aromatem. Mateczka dawała nam śmietankę z cukrem i urządzałyśmy świetny podwieczorek. Ale za śmietankę zasadzała nas do roboty. Musiałyśmy reparować bieliznę kościelną, białe, cieniuchne obrusy. Mówiła, że nikt nie umie tak pięknie cerować, jak ja. Czasami ksiądz proboszcz dawał nam konie i urządzałyśmy wycieczki o kilka mil. Mateczka zabierała kosze z zapasami kurcząt, ciast i konfitur na cały tydzień. Oglądaliśmy ładniejsze miejsca lub godne widzenia ruiny, jak naprzykład klasztor kartuzów z ermitażami w ogrodach i dobrze zachowaną wieżę, z której szczytu widać okolicę na dziesięć mil naokoło. W tych wycieczkach towarzyszył nam zawsze kuzyn proboszcza, który przy tej okazji wykładał nam historję, a umiał mówić pięknie i zajmująco.

— *Nous voilà!* — pomyślałam.—Otóż jest główny przedmiot miłych wspomnień.

— Któż to jest ten kuzyn? — zapytałam z urzędową miną sędziego śledczego.

— Bratanek księdza proboszcza. Wykształcony bardzo ksiądz, który, mimo młodego wieku, jest już profesorem akademji. Nadzwyczaj zdolny. Dawałam mu lekcje języka francuzkiego i zdziwiona byłam łatwością, z jaką się uczył. Czy uwierzy pani, że w niespełna trzy miesiące mówił wcale dobrze po francuzku!

— Nic dziwnego — rzekłam ze znaczącem spojrzeniem—mając tak miłą nauczycielkę, w której się zapewne kochał...

Uśmiechnęła się, ale bez cienia zakłopotania; przeciwnie, po żywej, ruchliwej jej fizjognomji przemknął wyraźny cień smutku.

— *Mon Dieu, non!*... Biedny człowiek, gdzie mu tam myśleć o miłości!... Ma suchoty, i wie o tem, że umrzeć musi. Zresztą, oddany cały nauce i, jak mól, zagrzebany w książkach. Ksiądz proboszcz prosił nieraz, żebyśmy go od tych książek oderwały, i czasami udało się to nam. Jeśli więc towarzystwo moje mogło mu być przyjemnem, jeśli potrafiłam mu osłodzić kilka chwil, tych chwil, których tak mało już zostaje mu w tem życiu, byłoby mi bardzo przyjemnie.

— Bardzo przyjemnie! — powtórzyła, podnosząc na mnie jasne, spokojne wejrzenie swych czarnych źrenic.

Nie wątpiłam na chwilę, że mówiła prawdę. Nie mogły kłamać te szczere, uczciwe oczy.

— I nie nudziłaś się pani tylko w towarzystwie księży i panny Anny?—zapytałam.

— O, nie! Zresztą miałam i inne towarzystwo. Niedaleko jest dwór... widziała pani? przejeżdżaliśmy mimo parku. Sama pani bardzo miła, uprzejma osoba, zapraszała nas ciągle, urządzała majówki w parku i w lesie, raz był połów na raki w jeziorze, wieczorem, przy blasku kagańców. Jest też dorastająca panienka, dwie nauczycielki i synowie byli na wakacjach. Starszy, uczeń szóstej klasy, urwis chłopiec.

— A sam pan?—zapytałam, ciągle dręczona tą niedobrą podejrzliwością.

— Nie znam go, był u wód. Podobno bardzo miły, porządny człowiek, zawołany gospodarz i bogaty. Ksiądz proboszcz chwalił go bardzo. Ale ten Zygmunt, o, to będzie kiedyś ziółko. Proszę sobie wyobrazić, jakiego wypłatał mi figla. Namówił, żebym siadła na wierzchowca jego siostry, która doskonale jeździ konno; przyrzekł, że będzie prowadził konia. Dobrze, myślę sobie, spróbuję! Istotnie prowadził konia za cugle dość długo, daleko, może z pół wiorsty za ogrodem. Upał był ogromny, aż zczerwieniał chłopak. Nagle puścił cugle i machnął szpicrutą. Koń puścił się cwałem ku domowi. Byłam w śmiertelnym strachu, ledwie utrzymać się mogłam na siodle. Dobrze jeszcze, że stangret wybiegł naprzeciwko i zatrzymał konia. Ale i Zygmunt przeląkł się. Chciałam się gniewać, ale spojrzawszy na jego przestraszoną minę, nie mogłam wytrzymać ze śmiechu. *C'était si drôle!*—Panno Luizo—mówił, składając ręce—niech się pani nie gniewa!... Jak panią kocham, nigdy tego nie zrobię!...

— Wierzę bardzo!—odrzekłam, śmiejąc się—bo też ja nigdy więcej nie siądę na konia. Ale przynajmniej z całego tego wydarzenia ta korzyść, iż dowiedziałam się, że pan Zygmunt mnie kocha!

— A któżby pani nie kochał!—zawołał z entuzjazmem, do którego młodzi ludzie są tak skorzy, dopóki ich świat i życie nie zepsują.

Tak, kochali mnie tam wszyscy i ja ich kochałam. Było mi tak dobrze!...

— I nic pani nie brakowało do szczęścia?—zapytałam.

Odpowiedziała mi zapytaniem:

— A cóżby mi brakować mogło?

— Nie wiem—rzekłam—młode panny marzą zwykle o miłości...

Wzruszyła ramionami.

— Nie spotkałam jej jeszcze na swej drodze, a choćbym miała nigdy nie spotkać, nie sądzę, żeby to było wielkiem nieszczęściem.

Zamyśliła się chwilę.

— Chociaż zapewne piękna to rzecz miłość, może i prawda, że to największe szczęście na świecie, ale coś mi się zdaje, że najpiękniej wygląda tylko w książce. W rzeczywistości, o ile mi się zdarzyło obserwować, trudno rozróżnić, gdzie jest miłość, gdzie interes. Dlatego też nie marzę o niej. Wystarcza mi przywiązanie do rodziny, i miłość tego kawałka ziemi, na której się urodziłam.

— Pani ze wsi?

— Tak. Rodzice moi mieli folwark w blizkości Nancy. Dobrze się im powodziło, ale potem spotkało nas nieszczęście. Ojciec umarł, matka została sama z nami, a było nas sześcioro! Spora gromadka do wyżywienia! Przyszła powódź, tak, jak tu, w tym roku, zalała najlepsze zboże; potem filoksera zniszczyła winnice, nie było z czego zapłacić podatku. Rozbiegliśmy się wszyscy po świecie dla zarobku. Już mamy połowę pieniędzy do spłacenia długu... Zbierzemy niezadługo resztę... Ach! gdybyś pani wiedziała, jak radośnie bije mi serce na myśl, że wkrótce może wrócę do mojej kochanej Francji.

— Pani ma nadzieję?—zapytałam z uśmiechem powątpiewania.

— Nietylko nadzieję, ale pewność... taką pewność, jak to, że słońce świeci na niebie!...

— Spojrzała na mnie z błyskiem w czarnych oczach prawie gniewnym.

Ale ja nie wątpiłam, nie dziwiłam się już, że miała taką pewność.

. . . .

Śnieg padał znowu wielkiemi płatami, oblepiając szyby okien. Powietrze stawało się coraz przykrzejsze, wiatr jęczał, jak w jesieni, a mnie było jakoś wesoło. Zdawało mi się, że do wagonu wpadł nagle promień słońca, rozpraszając mroki niepogody; że od lasku sosnowego, w którym panna Luiza zbierała poziomki, powiał na mnie orzeźwiający zapach młodości i zdrowia.

— A więc są jeszcze na świecie ludzie szczęśliwi—myślałam z uczuciem szczerego zadowolenia — których umysł, niezepsuty chorobliwą fantazją, zadawalnia się zwykłą prozą życia powszedniego, których serce, nie pożądając romansowych wrażeń, umie czuć przyjaźń, zadowolenie, wdzięczność za gościnność serdeczną; którym wystarcza do szczęścia młodość, swoboda, spacer i poziomki w lesie...

Henryka Giedrojć.

MELODJE WSCHODNIE.

(GAZELE.)

I.

Nie grzeszę, gdy twoje usteczka różane
Całuję i pieszczę bez miary—
Nie grzeszę, gdy z ocząt twych spijam słodycze,
A czasem łzy gorzkie, bez miary—
Nie grzeszę, gdy Boga przyzywam na świadka
Mojego kochania bez miary—
Lecz kiedy przysięgom twym wierzę, jedyna,
Ach, wtedy ja grzeszę bez miary!

II.

Można umrzeć w obcej stronie, dziewczyno,
A wśród swoich przecie ożyć nanowo;
Można we krwi skąpać dłonie, dziewczyno,
A zachować czystą szatę godową—
Można żyć w wulkanów łonie, dziewczyno,
I z burzliwych głębi morskich wyjść zdrowo—
Ale spojrzeć w ócz twych tonie, dziewczyno,
Ach, nie można, nie chcąc cierpieć nanowo!

III.

Nie żałuję, żem ludzi chcąc znaleźć, szalony,
Pół żywota w pogoni próżnej strawił marnie,
Ani, żem serca trochę żądając, szalony,
Wierzył, iż przecie mnie ktoś do siebie przygarnie,
Ani, żem piosnkom moim zaufał, szalony,
Myśląc, że one ludzkie ukoją męczarnie—
Lecz żałuję, żem usta twe rzucił, szalony,
Mogąc je dłużej jeszcze całować bezkarnie!

Juljan Łętowski.

SATYRA LONDYŃSKA.

(NOTATKA BIBLJOGRAFICZNA.)

W r. 1740-ym, w którym autor „Geografji", wydanej pod tytułem: „Świat we wszystkich swoich częściach", opisując Warszawę, chwalił ją, szczególnie z powodu licznych, a ozdobnych gmachów i wspaniałych pałaców, które ciągle podówczas powstawały, i twierdził, że „miasto murem opasane, niewielkie, nad Wisłą, ale zawsze czyste", wyróżnia się od swoich przedmieść, mających „bruki zalane błotem, osobliwie podczas jesieni i na łokieć nad brukiem"; w roku, w którym ustanowiona przez Augusta III-go komisja brukowa, przystępowała do zaprowadzenia porządku nietylko w zewnętrznym wyglądzie miasta, ale nawet podjęła starania w kierunku ulepszenia hygienicznych warunków jego bytu, o czem świadczy broszura ówczesna p. t.: „Planta komisji do wychędożenia i reperacji Starej i Nowej Warszawy"; w tymże samym roku, w Londynie, ukazała się satyra wierszowana w języku francuzkim p. t. „*Varsovie ridicule*", w której, nieznany i niepodpisany autor, cudzoziemiec, dając folgę niechęci swej do społeczeństwa, wśród którego długie spędził lata, w zjadliwych rymach przedstawił Warszawę, jako gród nędzny, brudny, pozbawiony wszelkich powabów i zakończył swoją djatrybę wykrzykiem:

Je Vous dis adieu pour jamais!

Nie dotrzymał wszakże nieubłagany satyryk danego słowa, gdyż, jak widać z odpowiedzi na djatrybę cudzoziemca, w r. 1742-im również przez nieznanego autora w języku francuzkim wydanej p. t. „*Varsovie vengée*", tenże malkontent wystrzeliwszy z wielkiej odległości zjadliwy pamflet przeciw Warszawie, uznał za właściwe powrócić do niej, a nawet starać się o pozyskanie dochodnego dygnitarstwa, które go jednak, z uwagi na przekonania wyrażone w pamflecie, ominęło. *)

Utonęłaby prawdopodobnie owa wierszowana polemika o Warszawę z pierwszej połowy XVIII-go wieku, w falach niepamięci; zawieruszyłby się prawdopodobnie drukowany ślad jej między papierzyskami, przeznaczonemi na łup bibljotecznym molom, gdyby nie zamiłowanie zmarłego już przed półwiekiem posiadacza jednego z najbogatszych księgozbiorów krajowych, do wyszukiwania rzadkości bibljograficznych w Edynburgu i Londynie, gdzie w pierwszych dziesiątkach bieżącego stulecia przebywał i zkąd wyławiał cenne zabytki piśmiennictwa, mające związek z krajowemi dziejami i literaturą.

Tej to właśnie okoliczności zawdzięczamy ocalenie dwóch niewielkich książeczek francuzkich o podanych wyżej tytułach, ciekawych choćby ze względu na sprzeczne ze sobą opinje o Warszawie, jaką się oczom jej antagonistów i wielbicieli w połowie XVIII-go wieku przedstawiała.

Nie zależy zapewne nikomu na tem, aby wiersze autora *Varsovie ridicule*, zkądinąd nawet pełne werwy i ciętości, przedstawić w rymowanej szacie dowolnego przekładu. Jako zabytek piśmienniczy nie mają one wartości, ciekawemi są jedynie ze względu na treść, a ta ostatnia może być sprawozdawczo w zwykłym języku śmiertelników przedstawioną.

Satyrę rozpoczyna inwokacja do duchów nieznanych jakichś pamflecistów, z których, jeden, St. Amant, był autorem pamfletu „*Rome ridicule*" i zmarł ze zmartwienia i w nędzy; drugi zaś, niejaki Petit, za wydanie broszurki „*Paris ridicule*" spalonym został na placu de Greve, z powodu uwłaczających obrzędom religijnym wyrażeń, jakich się w swojem pisemku dopuścił.

„Chciałbym—pisze nasz pamflecista—rozśmieszyć swojemi swawolnemi wierszykami mądrych i głupich, lecz nie radbym zamrzeć z głodu, gdyż nie lubię biedy, a nigdy do ognia nie odczuwałem skłonności...

„Jeżeli waszemi zabawnemi hyperbolami rozsławiliście Rzym i Paryż, radbym i ja w wierszykach swoich wynurzyć słuszny gniew przeciw stolicy sarmatów i odmalować ją wiernym pędzlem."

„Oto jesteś, grodzie rozległy, bez murów, bez obrony i bez praw, brudna rezydencjo, zakątku nieznośny, godny

---

*) „L'auteur dont il est ici question—pisze apologista Warszawy o autorze pamfletu *Varsovie ridicule* — s'est mis follement dans la tête, que sa *Varsovie ridicule* devoit absolument immortaliser son nom.

„Cette idée le flatte à un point qu'il a eté assez etourdi pour oser aborder un des plus grands officiers de la Couronne, sous le simple titre de l'auteur de *Varsovie ridicule*.

„Persuadé qu'une pareille satire est une preuve authentique de la sublimité de son genie, il expose naïvement ses disgraces du côté de la fortune; implore l'honneur de sa protection et se presente enfin pour remplir avec dignité tel emploi qu'on voudra lui confier, pour peu qu'il ait de rapport à la belle litterature...

„Vous Vous imaginez peut être que ce Seigneur ne manqua pas de lui faire donner les étrivières. Point du tout. Voyant la foiblesse, pour ne pas dire l'etourderie du personnage, il en eut une espèce de compassion, et crainte de l'exposer au juste ressentiment d'une nation si indignement offensée, il lui conseilla de s'eloigner au contraire d'un pays, auquel il avoit fait ses adieux pour toujours..."

kraju, w jakim się znajdujesz, pełen smutku i grozy, schronisko lokajów, budzące we wszystkich odrazę!

„Któż cię umieścił, o zamku, nad brzegiem owej rzeki? Czy słusznie mienisz się zamkiem, ty, coś bardziej podobny do zabudowania klasztornego? Zaprawdę! Szpital św. Łazarza wydaje mi się być stokroć od ciebie piękniejszym. Podziękuj owemu śmietnisku, które ci służy za podporę, że jesteś widzialnym. **).

W tem miejscu pamflecista znęca się nad ulicami miasta, nad jego domami i mieszkańcami, nie znajdującymi w jego oczach pobłażania. Główna jednak niechęć autora zwraca się ku Wiśle, którą nie wie jak nazwać: czy potokiem, czy strumieniem, czy rzeką? Przekręca tedy znaczenie miana Wisły i nazywa ją „*la fistule*". Tak zwane pałace, zdaniem autora, są lepiankami, zasługującemi na pogardę, a ich umeblowanie łączy zbytek z brakiem dobrego gustu. Właściciele owych pałaców okutemi żelazem butami sprawiają hałas na posadzkach, a towarzyszą im setki próżniaków o zawiesistych wąsach, gotowe za kielich wina zrywać sejmy, trzema kiepską łaciną wyrzeczonemi wyrazami...

* * *

Pamflet ten, wywoławszy swego czasu niepomierne oburzenie, nie pozostał bez odpowiedzi. Ukazała się ona, jak to podaliśmy na wstępie, we dwa lata później, w formie książeczki, pięknym drukiem, bez podania miejsca wydania, w języku francuzkim odbitej p. t. *Varsovie vengée et son apologie.*

Nieznany autor odpowiedzi, władający widocznie językiem bogów i zwykłych śmiertelników, z niezaprzeczoną biegłością, zastanawia się najpierw nad granicą, do której satyra, zkądinąd pożyteczna i konieczna, posuwać się może i przychodzi do przekonania, że: *de la satire sur les moeurs, a la medisance il n'y a qu'un pas*" myśl, którą w kilkadziesiąt lat później, Napoleon, w odniesieniu do szczytności i śmieszności powtórzył i przysłowiowe jej nadał znaczenie.

Wyróżnia tedy obrońca Warszawy satyrę od rozmyślnej złośliwości i upatruje właśnie w pamflecie *Varsovie ridicule* cechę bezsilnego szamotania się przeciw miastu, które nie zaniedbywało podówczas żadnych starań, aby podnieść się do godności porządnie utrzymywanej i odpowiedniej swemu przeznaczeniu rezydencji.

„W mieście tem, które nam tak śmiesznem przedstawiają—pisze autor—wznoszą się setki wspaniałych pałaców, zdolnych do ugoszczenia książęcych orszaków, a pałace te, przedzielone od siebie mieszczańskiemi domostwami, tworząc przedmieścia o ulicach szerokich, długich i dobrze zabrukowanych, mogłyby, co prawda, być utrzymywanemi nieco schludniej, lecz, w tym nawet stanie, w jakim są obecnie, mogłyby rywalizować słusznie z wieloma miastami, podziwianemi we Francji i w Niemczech.

„Owe wspaniałe przedmieścia sąsiadują z dwoma miastami, różniąc się od nich jedynie tem, że nie są obwarowane.

Stare miasto, choć małe w stosunku do przedmieść, złożone jest z wielu ulic, obramowanych domami, dobrze zbudowanemi, prowadzących do rozległego placu, w pośrodku którego wznosi się ratusz. Kupcy w wielkiej liczbie i wszelakiego rodzaju roztaczają tu mnóstwo towarów, zdolnych zaspokoić wszelkie kupujących potrzeby.

„Zamek, mieszczący się wśród murów Starego miasta, obejmuje wiele oficyn, tworzących trzy dziedzińce, na których może się pomieścić wiele powozów, zaprzężonych w trzy pary koni. Łatwo to sprawdzić podczas zjazdów: senatorowie, wielcy i mniejsi dygnitarze przybywają tu powozami, a dla każdego bez zamieszania znajduje się dosyć miejsca.

„Położenie miasta i przedmieść liczy się do najpiękniejszych w Europie, z wyjątkiem jedynie Konstantynopolu.

„Przedstawcie sobie miasto, które z przedmieściami ciągnie się na długość prawie pół mili niemieckiej nad brzegiem Wisły, a chociaż rozłożone jest ono na żyznej i rozległej płaszczyznie, jest tak widzialnem, jak Neapol, górujący nad Śródziemnem morzem.

„Rzeka Wisła, trzykroć szersza od Sekwany, oddziela miasto od płaszczyzny niższej, od tej, na której leży Warszawa, lecz płaszczyzna ta jest rozległą i piękny roztacza widok; krańce jej sięgają Pragi, wydającej się być przedmieściem, jakiem też istotnie była w epoce, gdy ją łączył z miastem most drewniany.

„Wszystko to przytaczam bez żadnej przesady, aby czytelnik mógł osądzić prawdomówność satyryka, który Wisłę do rzeczki i bagniska przyrównał!"

Następnie opisuje autor i wylicza celniejsze gmachy i klasztory; poświęca wiele miejsca opisowi katedry i zakonów, szpitali, domów przytułku i gmachów Nowego miasta, oddzielonego od Starego krakowską bramą, wśród którego rozległością swoją odznacza się pałac Marywilu.

Koniec zaś obrony poświęcony jest apologji cnót Marji Józefy, córki cesarza austrjackiego Józefa I-go, która, istotnie, według opinji owej epoki, odznaczała się wielkiemi zaletami umysłu i serca.

Aleksander Kraushar.

**) Mowa tu prawdopodobnie o t. zw. „gnojowej górze".

Z motywów zimowych.

Serce ludzkie—to drzewo, co w wiośnie
W strój majowy się zdobi radośnie;
Latem wieńczy koronę swą w kwiaty,
By na jesień plon wydać bogaty;
Wreszcie, z szaty odarte swej w zimie,
Traci siły, przysycha i drzémie...

* * *

Biada drzewu, gdy mu liście zielone
Już śród wiosny poszarpią owady!
Biada sercu, gdy w niem złudzeń zasłonę
Zedrze z młodu zwątpienia duch blady!...

Biada drzewu, gdy mu latem brak rosy,
Bo wśród skwaru zbyt prędko usycha!
Biada sercu, co, nie patrząc w niebiosy,
Czerpie życia treść z zmysłów kielicha!...

Biada drzewu, gdy w jesieni przedwcześnie
Wiatr mu owoc i liście rozwieje!
Biada sercu, gdy w niem życie boleśnie
Starga męztwo i zgasi nadzieję!...

Biada drzewu, gdy w zimowej zamieci,
Miast snu, znajdzie godzinę skonania!
Biada sercu, gdy mu jasny nie świeci
W chwili śmierci brzask zmartwychpowstania!...

* * *

Serce ludzkie—to drzewo: jak ono
Często wieńczy się szczęścia koroną,
I, przeszedłszy przez lato uniesień,
Owoc czynów przynosi na jesień;
Czasem więdnie w rozkwitu godzinie,
A niekiedy na wiosnę już ginie.

F. Nowodworski.

POETKA PESYMIZMU.

Zapewne stara panna?

Właśnie, że nie, bo stara wdowa, jejmość, która swego czasu zaznała rozkoszy pożycia małżeńskiego, a choć trwały one niedługo, to jednak należały do najprzedniejszego gatunku i żal po rychłej ich utracie okrył nietylko jej ciało, ale i ducha wieczną żałobą. Przeżyła lat kilkadziesiąt, całe pół wieku, w ciężkim smutku, za jedyne towarzystwo mając własne swe ponure, trawiące, burzliwe, jak morze w jesieni — myśli.

Umarła wreszcie, kilka tygodni temu, samotnie w celi byłego klasztoru dominikanów, który sobie... kupiła, nie dla tem większej swobody w praktykach religijnych i ascetycznych, lecz na pracownię. Nieboszczka bowiem była z bożej łaski poetką i myślicielką, i nazywała się Ludwika Ackermann.

Dochodziły i do nas echa jej muzy, lecz obojgiem uszów słuchać jej nie chciano, była zbyt silna i nadto zgrzytliwa na rozpieszczone nerwy, które lubią niekiedy o szarej godzinie pokwilić trochę i pobiadać, ale odwracają się ze zgrozą przed meduzową twarzą prawdziwego, beznadziejnego pesymizmu..

Nie samo życie zaostrzyło badawczy wzrok Ackermanowej. Gdyby tylko śmierć przedwczesna męża była wiecznie sączącem się źródłem goryczy, nazwałbym ją wrażliwą, nieszczęśliwą, ale nie filozofką. Filozofja, zbudowana na mogile drogiej osoby, bardzo łatwo mogłaby sama zejść do grobu przy powtórnem zapaleniu pochodni hymenu.

Moja bohaterka przyszła na świat puszczykiem i takim pozostała do ostatniego tchnienia. Ponieważ wszystkie teorje zwątpienia mają ze sobą bardzo wiele punktów stycznych i z tego powodu niektórzy krytycy dopatrywali się w jej poezjach wpływu Schopenhauera, więc wygrzebała ze starych szpargałów owoce pierwszych natchnień i między niemi taką oto strofę, napisaną w siedemnastym roku życia:

Wśród bólów jęku zrodziła cię matka,
Na świat przyszedłeś, jako syn katuszy,
Tak rozpoczęta istnienia zagadka,
Krzyki żałosne wydarła ci z duszy.

Był to urywek z utworu większego, którego sam tytuł brzmi znacząco: „Człowiek".

Gdyby ktoś spytał, co wyróżnia Ackermanową w tłumie zrozpaczonych, rzekłbym odrazu, że znaczna przewaga zdrowego rozsądku. Mistrze pesymizmu niemieckiego, a więc i naśladowcy i uczniowie ich w różnych krajach, zanim dojdą do ostatecznego wniosku, że życie ludzkie nie warte funta kłaków, a natura mogłaby iść na kurację do Pasteura, wprzód na rozłogach półtuzina tomów tkają zawiłe, karkołomne, zawrotne, jak sama metafizyka, dowody i przesłanki. Robi to takie mniej więcej wrażenie, jak gdyby ktoś namyślał się pół godziny, czy ma stęknąć, czy nie. Ona zaś nie lubi gmatwaniny i przestaje na prostym, według niej, niezbitym fakcie, że na świecie źle, że jest on najgorszy ze światów i—koniec.

A jednak, gdyby pragnęła błysnąć erudycją i oczytaniem, pewnieby jej talentu nie zbrakło. Pani ta była wykształcona, jak mało kto, a w niektórych gałęziach wiedzy sięgała wyżyn. Tak np. schlebiając swej słabości do językoznawstwa, zawładnęła dokładnie greckim, łaciną, sanskryckim, hebrajskim, a nawet... chińskim. Zawdzięczała w tym względzie dużo swej brzydkiej połowie, Pawłowi Ackermanowi, niemieckiemu lingwiście dużej miary. Już to wogóle warunki jej sprzyjały; ojciec, starego stempla wolterjanin, trzymał przed nią otworem swój księgozbiór, z którego brała, nie dla oględzin ani parady, Platona, Buffona i wielkich encyklopedystów.

Rodzina, a zwłaszcza matka, krzywem patrzyła okiem na „emancypantkę" i zachęcała ją do bliższego obcowania z weselszemi, niż klasycy w papier i druk zaklęci, towarzystwami. Nic nie pomagało. Lubiła uparta córka pogawędkę, ale tylko z takimi, jak Stanisław Julien, Eichoff lub Letronne, grube ryby rzetelnej nauki, a po manowcach rozumowych spekulacyj obracała się tak swobodnie, jak gdyby to był ów pieprzno-słodki żywioł, któremu na imię *flirt.* Jeden z nauczycieli odgadł w niej dar rymotwórczy i znosił jej w kieszeniach innego znów rodzaju amantów: Szekspira, Byrona, Goethego, Schillera. Potem rzuciła się namiętnie do Alfreda de Vigny, Alfreda de Musse, Sevancoura i Wiktora Hugo.

Nawiasem mówiąc, autorowi „Legendy wieków" została przedstawiona i otrzymała od niego parę życzliwych i cennych rad.

W Berlinie—ale *à propos*! Jedna z nowelistek naszych, wspominając raz o Ackermanowej, podała ją za *niemkę*, widocznie sama ją za taką wzięła. Pośpieszam sprostować tę niewinną... omyłkę drukarską. Poetka nasza była czystej krwi francuzką, nawet paryżanką (z domu Choquet). Otóż w Berlinie stanęła oko w oko z ciężką nauką germańską i słynnymi jej przedstawicielami i nie ulękła się ich. Stałymi gośćmi domu byli tacy, jak: Varnhagen, Boekt, Jan Moeller i Aleksander Humboldt.

Wiedza przyrodnicza nowszych czasów i wszystkie zdobycze, któremi zbogacili ją zwłaszcza anglicy, miały w niej żarliwą czcicielkę, tak żarliwą, że aż zwraca się z pewnym wyrzutem do poetów i pyta, dlaczego nie szukają motywów dla lutni swej—w idei rozwoju organicznego.

W szerokich pomysłach widziała zawsze piękno i tym sposobem filozofię łączyła zawsze z poezją. W ogóle te dwie boginie stają obok siebie często, jak nieprzyjaciółki, ale na gruncie pesymizmu zawsze, jak szczere i wzajem rozumiejące się siostry. Ztąd jej utwory są i głęboko odczute, krwią serca bolejącego pisane i pełne zarazem szerokiego, śmiałego polotu. Dziwna jednak rzecz, jak skąpo zasilała ona ojczystą literaturę. Trzy niewielkie książczyny, jedna z egzotycznemi jakiemiś baśniami, druga, w której znajdziesz najważniejsze i najpiękniejsze jej skargi i protesty i trzecia zawierająca krótką autobiografję wraz z wiązanką myśli (*Pensées d'une solitaire*); oto wszystko niemal. Nie widuje się takiej nadzwyczajnej zwięzłości słowa u... kobiet. I zapewniam je jednocześnie, że tej lakoniczności pióra odpowiada u Ackermanowej ogrom myśli, istny labirynt cierpienia, refleksyj, spostrzeżeń, miłości dla człowieka.

Czy kto słyszał np. żeby tak zaczynać swój życiorys: *Je suis née à Paris, le 30 novembre 1813, de parents parisiens, mais d'origine picarde.* I w tym sensie, krótkiemi, urywanemi niemal zdaniami, na dwudziestu stroniczkach szesnastki opowiada swe koleje. Żadnych wstępów, żadnej frazeologji. Na całej tej przestrzeni jeden jedyny wykrzyknik i ani jednego domyślnika!

Z prostotą i naturalnością chodzi u niej w parze skromność. Przed mężem, który ją przecie kochał czule i cenił wysoko, ani na chwilę nie zdradziła swego sekretu, że jest aspirantką do Parnasu. „Istotną przyczyną mego milczenia była obawa utraty jego szacunku— powiada — niema się co łudzić, kobieta rymująca jest zawsze mniej lub więcej śmieszną."

Pewnego razu, już po owdowieniu, porwana czarem wielkiego poematu indyjskiego, który opiewał miłość małżeńską, przetłumaczyła niektóre urywki na język starofrancuzki. Dziś twierdzi, że „nie popełniłaby nigdy tego nietaktu literackiego, gdyby mogła choć mglisto przypuszczać, że dojdzie on kiedykolwiek do wiadomości ludzi ze smakiem".

Odwaga pisarska dopiero z czasem wstępować w nią zaczęła. Pod d. 3-ym listopada 1852-go r. pisze w swym dzienniku: „Od miesiąca zaświtało dla mnie nowe życie. Fantazja uśmiecha mi się ze wszystkich punktów widnokręgu. Tylko jeden niepokój mię dręczy: żeby się źródło nie wyczerpało, tak obficie z niego czerpię. Na talent swój patrzę, jak na późno przybyłe na świat dziecię, które psuje wszelkie plany i mąci pokój starości".

Szczerość Ackermanowej pod jednym osobliwie względem staje się wysoką zaletą. Oto nie pozuje ona na wiecznie zrozpaczoną Niobe, nie wystawia na pokaz swoich ran i nie podaje się za męczennicę. „Nie jestem cała z jednej sztuki, choć z natury poważna, nie unikam przecie śmiechu. Znajduję upodobanie w subtelnych żartach i łatwo chwytam komiczną stronę przedmiotu.”

I sama potrafi zdobyć się na pewną swawolę. O swym płomieniu poetyckim mówi, że „jeśli przypadkiem wybucha, to nigdy nie trwa długo” i kończy wnioskiem: „Byłaby ze mnie bardzo licha... westalka.”

„Zapytają mię pewnie—mówi w swej spowiedzi—dlaczego tak późno? Dlaczego tak mało? Całe życie moje dałoby się streścić w paru słowach: lata dzieciństwa smutne i zdławione, młodość, która nie była młodością, dwa krótkie lata szczęśliwego związku, dwadzieścia cztery lata (słowa te pisane są w r. 1874-ym) dobrowolnej samotności. Nie jest to zupełnie wesołe, ale i nikt nie odkryje tam nic, coby usprawiedliwiało moje skargi i złorzeczenia. Wielkich walk, gorzkich zawodów los mi oszczędził. W rezultacie życie moje było łagodne, łatwe, niezawisłe. Los dał mi to, czego pragnęłam nadewszystko: wolny czas i swobodę.”

Po takiem wyznaniu poznaje się umysł silny, gardzący efekciarstwem i pozowaniem. Już nie chorobliwy, pretensjonalny *Weltschmerz*, lecz pogląd wyrozumowany i dojrzały przemawia do nas ze zdania: „Jeślim godziła się z łatwością na moją dolę indywidualną, to jednak zmieniały się moje uczucia z chwilą, gdy szło o cały nasz rodzaj. Jego nieszczęścia, bóle, jego płonne pożądania napełniały mię głębokiem współczuciem. Widziany zdaleka, po przez samotne moje dumania, ród ludzki wydawał mi się bohaterem opłakanego dramatu, który się rozgrywa kędyś, w zapadłym kącie świata, w obliczu nieubłaganych praw i obojętnej na wszystko przyrody.”

Zgodnie z tą dwoistością nastroju, gdy chodzi o nią i gdy chodzi o innych, potrafi oceniać należycie przebłyski szczęścia własnego i należycie przeklinać zło powszechne. Opiewa głośno i wdzięcznie urok poezji, muzyki, nauki w prześlicznych elegjach, utrzymanych w stylu greckim, wielbi obrazowo tajemniczą moc wspomnień „Czara króla z Thule”, a w innych („*Paroles d'un amant*”) boską prawie cześć składa miłości, która jest jej droższą nad wszystkie skarby świata:

> Na co mię w waszych wyżyn wabicie pomrokę,
> Mię, który jestem samą tkliwością, zapałem?
> Moje niebo jest tutaj, otwarte, szerokie,
> Więc tonę w niem duszą i ciałem.

O ile liryzm rzewny cechuje ten rodzaj utworów Ackermanowej, o tyle poematy jej wszechświatowe znamionuje siła. W „Pascalu” urąga tym, co tracą dawną trzeźwość i wpadają w mistycyzm, jak to było z tym właśnie myślicielem, naraz egzaltowanym i urągliwym, potężnym i krańcowym. „Prometeusz” grzmi dzikim protestem przeciw bogom, lecz w odróżnieniu od Eschylosowego, czerpie wytrwałość w męce nietylko z buty i dumy, lecz z miłości dla całego gatunku, dla którego poświęca się:

> Wy wiecie o tem głazy, ty, twarda opoko,
> Że źródło moich łez z głębiny duszy tryska,
> Że nad ludzkością boleść mózgi me odurza,
> Że nad bliźnimi litość serce moje ściska,
> Ale nigdy nad własną mego ciała męką;
> Ach, te wnętrzności, Boga rozszarpane ręką,
> Przepełnione współczuciem są dla bliźnich doli,
> Usidlanych przez losy w wieczną walkę krwawą!
> Straszliwe widmo drażni źrenicę mą łzawą:
> Rój wielki klęsk, co biedne głowy ich okoli itd.

Nieudolny ten przekład nie daje pojęcia o kryształowej mocy i przejrzystości języka Ackermanowej, a cytata jest za krótką, by mogła dać próbkę pięknych efektów. Obfituje w nie „Potop”, w którym, jak i w poprzednich, nie brak rozumie się retoryki, ale gdzie wciąż gra prawdziwie organowym orłem poezja.

„Gdyby cała wściekłość oceanu miała zburzyć tylko parę odwiecznych wieżyc, schronienia błędu i krzywdy przesłaniające nam widnokrąg, a których same szczątki tyle rzucałyby cienia, by na długo opóźnić rozkwit człowieka, natenczas wołalibyśmy morzu: śmiało, śmiało! szlachetne jest dzieło twoje. Ale gdzie tam! Dla takiego drobiazgu miałożby z łożyska swego występować? Wszystko skazane na zagładę: przybytek światła i świątynie ciemności... głębokie lochy i wyniosłe szczyty, z których witaliśmy świt. O! stara ziemio, tyś nie zasłużyła naprawdę na ten straszliwy kataklizm, ty, tak jeszcze płodna, zapału i heroizmu pełna... Co pomyślą niebiosa i gwiazdy, gdy ich promienie szukać będą naprożno wierzchołków, one, co się łudziły, że wiecznie do nieba uśmiechać się będą? Jakiem okiem spojrzą na nagie lądy bez kwiecia i zieleni, wyłonione z wód tam, gdzie się roztaczały twoje przepychy?...”

Najlepszym portretem poetki są jej własne aforyzmy. Jeden z nich ukazuje nam ją w perspektywie na tle samotności, jak myśli i pisze i powtarza sobie: *vanitas vanitatum et omnia sunt vana*!: „Co wieczór, gdy pracuję przy mem oknie, jakaś gwiazda ustawicznie patrzy na mnie. Nie wątpię, że lituje się nademną, która tyle pracy sobie zadaję dla jednego wyrazu, dla jednego rymu. Na co to?—zdaje się pytać. Niestety — ta sama myśl i mnie często nawiedza. Choć nie jestem gwiazdą i nie spoglądam z tak wysoka, nieraz uczuwam litość nad znikomemi wysiłkami ludzkich owoców.”

Obrazek ten, przypominający półświatło płócien Terburga, Hookera lub Dewa z zakonnikami lub szperaczami, dopełnić można innym podobnego nastroju. „Życie moje, to życie owadu, który schroniwszy się na końcu gałązki, snuje w listku delikatne przędziwo, ażeby się w niem zagrzebać. Samotność jest moim listkiem, w niej tkam sobie mój mały kokon poetycki.”

Cezary Jellenta.

DWAJ SĄSIEDZI.

„Saepe utilissimum, quod contemnitur.”

> Jan, potrosze poeta, willę wybudował
> U brzegu stromej góry, nad wielkiem jeziorem,
> I patrząc w lśniącą wodę, wciąż się rozkoszował
> Odbiciem słońca we dnie, księżyca wieczorem.
> Piotr postąpił inaczej: nie dbał o widoki,
> Obrany na budowę grunt zbadał dokładnie,
> Zamiast willi, postawił dom długi, szeroki,
> Trwały, choć nie wyglądał tak jak ona ładnie.
> — Ej, sąsiedzie—Jan mówił—nie pojmuję wcale,
> Jak można się lokować w tak obrzydłej dziurze.
> Patrz: jak się moja willa przegląda wspaniale
> W wód zwierciedle, wzniesiona na wysokiej górze!
> Piotr nie odrzekł ni słowa. Cóż się dalej działo?
> Od chwili owej ledwie lat parę minęło,
> Domostwo Piotra „w dziurze” tak stoi, jak stało,
> Woda górę podmyła, willę licho wzięło.
> Wówczas Piotr takie palnął kazanie poecie:
> — Dziś, kochany sąsiedzie, przyznacie to sami,
> Lepiej dbać, kto spokojnie chce żyć na tym świecie,
> Nie o widoki, ale o—grunt pod nogami.
>
> Stracić dom—bagatela, gorzej stokroć boli
> Stracić wiarę w tych, których kochało się szczerze.
> Bracie! chceszli uniknąć takiej smutnej doli?
> Sądź ludzi nie z pozoru, lecz po charakterze.

Faustyn Bicz.

Ruch teatralny w 1890-ym r.

„Publiczność od pewnego czasu zaniedbuje teatr”. Oskarża ją o to prasa i artyści równie w Londynie jak w Paryżu, w Berlinie jak w Wiedniu. Londyn szuka urozmaicenia widowisk w wielkich pantomimach, wystawionych z niesłychanym przepychem dekoracji i kostjumów, z coraz nowemi pomysłami maszyneryj, oświetlenia i udziałem mas baletowych. We Francji dyrektorowie teatralni bankrutują jeden po drugim, a sztuki padają, jak ulęgałki z drzewa. W Berlinie intendent nadwornego teatru Devrient dostał dymisję, a sam cesarz reformę dramatu i komedji zapowiada; wreszcie w Burgu wiedeńskim, mimo kilkakrotnej zmiany dyrekcji w ostatnich latach, ponoć również nie lepiej się dzieje.

I my także zaznaczamy w Warszawie pewne zniechęcenie publiczności dla dramatycznego teatru, zapominając oznaczyć w przybliżonych przynajmniej rozmiarach, jakie na nie wpływają warunki, które przyczyny tego absenteizmu są tylko ogólnym prądem powszechnego dziś usposobienia, a jakie lokalnemi wywołane okolicznościami.

U nas krytyka zwala winę na repertuar i aktorów, aktorzy i kierownicy repertuaru żalą się na prasę, a publiczność, obojętniejąc dla teatru, obwinia o pustki w sali widowisk równie artystów, jak sztuki przez nich grane, jak i gazety, zbyt w wymaganiach dla teatru surowe. Wszyscy tu winni potrosze, niezawodnie, ale głównym winowajcą czy nie będzie przypadkiem ów prąd ogólny, biegnący do nas z Zachodu, któremu my, jak zwykle, ulegamy bezwiednie?

Tam domagają się gwałtownie reformy równie literatury dramatycznej, jak gry aktorskiej i wystawy sztuk; chcą burzyć wszystko co było dotąd i znaleźć formy nowe dla nowej treści.

Dotąd nie zbudowano jeszcze nic, albo przynajmniej bardzo niewiele, ale zato, rzucając coraz silniejszemi pociskami w stary przybytek od pięciu wieków odrodzonej sztuki dramatycznej, zachwiano fundamenta, na których ona stoi, ściągnięto dawne bożyszcze z piedestału, odarto je z zasłon, w uroku dziewiczej nietykalności tak długo utrzymanych.

Zamiast uśmiechniętej Talji z lekkim biczem satyry w ręku, ukazał się ludowi Momus z wykrzywioną od sprośnej lubieżności twarzą, a boska Melpomena przerodziła się w histeryczną furję, której jedna część twarzy tragiczne łzy leje, druga sceptyczno-kokieteryjnym uśmiechem przechodniów na rozpustę wyzywa, gdy usta dmą w trąbę reklamy hymn na cześć boga wieku, Plutusa.

Przekonał się lud, że ołtarz świętokradzką ręką zbezczeszczony i opuszcza tłumnie świątynię, w której pozostali nie wyznawcy dawnego kultu, ale wierni zwolennicy ponętnych kształtów kapłanek bezbóstwa i wiary. No, ale cóż będzie dalej?

Wyjątkowo zgodny chór francuzko-niemieckich dysydentów odrzuca równie Dumasa sofistę, jak Sardou satyryka, przerodzonego w afiszera histerycznej handlarki, wyśmiewa wydęte bańki niemieckiego współczesnego dramatu, rozłzawionych zwolenników melodramatu Ennery'ego lub Vossa, trzeźwi solą zdrowego sensu, a Vallebreguom, Bissonom, równie jak Schönthanom i Moserom uprzejmie drzwi kawiarni śpiewających wskazuje.

A z Szekspirem, Szylerem, Göthem, Moljerem co się stanie?

Będziemy ich czytali tylko, odpowiadają, bo i tak dzisiejsze teatry przy obecnym stanie swoich dekoracyj, maszyneryj, kostjumów, a przedewszystkiem przy nizkim poziomie gry aktorskiej pojęcia o nich dać nie mogą. Skracają, przerabiają reżyserzy te arcydzieła genjalnego natchnienia, a aktorzy grają dla popisu role, nie umiejąc się zżyć z epoką i tłem historycznem akcji.

Nowa religja nowej sztuki, jak dotąd, nie ma jeszcze proroka. We Francji zpoczątku miał nim być pozostały przy życiu jeden z braci Goncourtów, Edmund; berło, przechodząc z rąk do rąk, dostało się naostatku w ręce Becqu'a, którego znowu niepowodzenie „Paryżanki” w komedji francuzkiej i racjonalna krytyka Sarcey'a silnie zachwiały w koteryjnem uwielbieniu sekciarzy.

Niemcy, do fanatyzmu zaślepieni w Sundermanie, po niebywałem powodzeniu jego „Honoru”, ostygli nagle i aż przeciągnęli strunę rozczarowania na „Koniec Sodomy”, w którym ja przynajmniej widzę o wiele więcej pierwszorzędnych zalet silnego realistycznego dramatu, niż w „Honorze”, zatrącającym zblizka o stary melodramat Pyat'a, znany i u nas p. t. „Gałganiarz paryzki”.

Jeżeli jednak ani „Młode Niemcy”, ani „Młoda Francja”, nie znalazły dotąd chorążego godnego piastować sztandar nowej sztuki, to zato Ibseniści wiedzą, gdzie szukać swojego arcykapłana. Adres jego znany: kawiarnia Maksymiljańska w Monachjum, gdzie od czwartej do szóstej po południu, zapija białą kawę bardzo mleczną.

„Norę” Henryka Ibsena oceniła dosyć dawno Warszawa i pamiętają dobrze w grze Modrzejewskiej. Co do okrzyczanych za arcydzieła „Upiorów” i „Dzikiej kaczki”, nie zdaje mi się, aby ich przedstawienie na naszej scenie było możliwem, z powodu ich niecenzuralnego realizmu. W tych dniach jednakże pojawił się nowy dramat Ibsena p. t. „Hebda Gabler”, który pomimo, że go krytyka francuzka po przeczytaniu przyjęła nieprzychylnie, zdaje mi się znowu być dziełem wytycznem, bądźcobądź najżywotniejszego w obecnej chwili europejskiego dramaturga.

Trzy te szkoły literackie: młodych Niemiec, młodej Francji i Ibsenistów zaakcentowały się najsilniej w ubiegłym roku. Można je przyjąć lub potępić po dyskusji, ale ignorować ich nie wolno, tak jak i odgradzać się chińskim murem od ruchu umysłowego Europy. Złe czy dobre te rzeczy przyjść muszą do nas i wywrą wpływ świadomy siebie na naszą literaturę i publiczność, tak, jak już bezwiedny na nią wywarły.

Teatr wolny paryzki, jak i wolna scena berlińska, także już pewne owoce swojej działalności wydały. Niwelują one stopnie gry aktorskiej do jednego poziomu prawdy i naturalności; zacierają wykonawcę na korzyść dzieła.

Dzisiejsze wrażenie teatralne polega na dwustronnej umowie widza z aktorem, w której pierwszy zobowiązuje się przyjąć za prawdę często wbrew elementarnym zasadom logiki to, co mu drugi za nią podaje. Nowa szkoła aktorska stara się ograniczyć ten wyzysk dobrowolnego złudzenia do możliwego minimum.

Wielkich tyrad nie wypowiada ona podniesionym głosem, jak na popis stając przed budką suflera. Nawet tę budkę w wolnym teatrze usunięto.

Ubranie aktorek skromne, do stanu przedstawianych figur zastosowane, nie może już razić zbytkiem, albo tak fatalne współzawodnictwo dla nich samych wśród innych artystek wywoływać, demoralizując przytem żądne naśladownictwa mody elegantki.

Aktorzy na scenie nie robią ciągłych przejść bez powodu; siedzą na miejscu w pozie naturalnej i swobodnej, o ile ich akcja do ruchu nie zmusza.

Akcesorja, dobrane z najstaranniejszą troskliwością dokładnie, bez długiej ekspozycji, charakteryzują miejsce, gdzie się akcja odbywa.

Światło pada z góry i z boków sceny; publiczność nie widzi całych szeregów kinkietów przed sobą.

Kiedy ma być na scenie ciemno, jest ono prawie zupełnem i literalnie ograniczonem do jednej lampy lub świecy, gdy tylko jedna ma pokój oświecać. Artyści przechodzą wtedy czasem w cień zupełny, mówią niewidziani prawie przez publiczność, w mroku, ale czyż tak się nie dzieje w prawdziwym pokoju, gdzie przy małem oświetleniu kilka osób ze sobą rozmawia?

Wogóle i tu znowu przemaga wybitny kierunek realistyczny, który jednak natknie się zawsze prędzej czy później na niezwalczoną zaporę kurtyny i kulis.

I ta reforma, kiełkująca dopiero jako pierwszy powiew innych ważniejszych, co do gry aktorskiej i wystawy sztuki, również kiedyś i u nas skutek swój wywrze. Będzie ona dobrodziejstwem dla teatru, jeżeli toalety artystek ograniczy i uwolni od haraczu brylantów czcicieli kapłanek, nie bóstwa. Gdyby tylko ten jeden skutek miała, jużby się rok 1890-ty dobrze zapisał w historji dramatycznej sztuki.

Czy pod względem literackim zapisał się dodatnio, na to odpowiada owo zobojętnienie publiczności dla teatru, które wszędzie zgodnie prasa zaznacza. I za granicą, tak jak u nas, autorowie i krytycy skarżą się na aktorów i wzajemnie na siebie, tem więcej, że gwiazdy sceniczne wymierają bez następców, a inne szronem starości dawnego blasku pozbawione, przestały siłę przyciągającą dla teatru stanowić.

Niema dzisiaj utworu dramatycznego, któryby się utrzymał dłużej na repertuarze wobec systematu eksterminacji, jakiego trzymają się względem siebie wrogie obozy szkół literackich; niema talentu aktorskiego, któryby ostał się wobec zasadniczych różnic w poglądach na zadanie aktorskiej sztuki.

— Prawda po naszej stronie! — wołają młodzi — bo my prawdy życia na deskach scenicznych żądamy.

— Życie nie jest prawdą—odpowiadają starzy — to tylko szereg zdarzeń, z których talent poety prawdę-piękno, czy prawdę-obserwację wyciska.

— Wy dajecie prawdę fałszowaną, strojąc w obłudnej pruderji obnażone kształty posągu w faryzeuszowskie zasłony salonowego konwenansu.

— Wy bezmyślnie grzebiecie się w błocie, przedstawiając człowieka w mroku jego najbardziej zwierzęcych instynktów.

— Nasz mistrz, Ibsen, szuka cnoty bezwzględnej —twierdzą Ibseniści.

— Zniechęcając do niej i do życia, przez najczarniejszy pesymizm—odpowiadają ich przeciwnicy.

I oto zamęt, chaos, piór szermierka, dochodzące w roku zeszłym do największego natężenia, silniejsze i rozgłośniejsze niźli walka w początkach tego wieku klasyków z romantykami.

Każda walka wywołuje ruch, życie, przyciąga, nęci! Czemuż ta roznamiętnia tylko walczących, a widzów od pola bitwy, od teatru i przedstawień płoszy?

Może się świat zestarzał pod koniec wieku, wyziąbł dla sztuki i zmaterjalizował w filisterskiej walce o chleb powszedni?

Może ci młodzi, to tylko manekiny bez krwi i życia, którym zręczny mechanik dał silne głosy, ale miasto serca—popsute sprężyny w piersi osadził?

Może owi starzy naprawdę konwenensu bronią, a nie ideałów, pozorów a nie treści, bo zatracili wiarę w siłę bóstwa, które piorunem nie druzgocze rąk świętokradzców?

Klasycy nawet u schyłku swego bytu, romantycy we wstępnym boju, dali światu wielkie talenta. Co ci nowi pozostawią z walki, już tak daleko posuniętej? Doprawdy, bez zbytecznego pesymizmu sądząc, już dziś można powiedzieć, że: niewiele.

Co jednak w tem najciekawsze, to, że wszystkie stronnictwa, bojujące w tej teatralno-literackiej wojnie, imię Szekspira wywiesiły na swoim sztandarze. Możnaby je tu przyjąć w znaczeniu symbolicznem uznania śmiertelnych dla nieśmiertelnego, karłów—dla genjusza.

Ave Caesar, morituri te salutant!

Kazimierz Zalewski.

Z POEMATU „HERKULES i OMFALA".

(PIERWSZE STROFY.)

Chmurnie spoglądał Jowisz i namarszczał brew,
Skargi na Herkulesa słysząc, swego syna,
Lecz w duszy uśmiechnięty myślał: „Moja krew!"
I zwykle wraz ze skargą szła w niepamięć wina.

W końcu jednak przycichła pobłażliwość syta,
I gniew zwarzył łagodność w ojcowskiej naturze,
Gdy ten syn strącił chytrze ze skały Ifita,
Postąpiwszy z śmiertelnym, on, półbóg, jak tchórze.
Wzdrygnął się władca świata na wieść o tej zbrodni,
Milczał jednak. Wtem... słyszy... Olimp wstrząsł się od niej.

Zgrozą napełnił niebo nieśmiertelnych krzyk.
Zwłaszcza Juno pomstuje, a wzrok ma hijeny...
„Panie! — syknie do męża — ty, coś głaskać zwykł
Tego synka któregoś z bogów i Alkmeny,
Mów: czy jeszcze nie przeszły jego zbrodnie miary?
Czy z twoich sług ostatnią wiecznie będzie żona?"
„Czego żądasz?" — posępnie spytał bóg. — „Chcę kary!
A ze mną chce jej niebo i ziemia wzburzona."
„Więc ukarz go, najmilsza, gdy winien; masz wolę!
Lecz ja czuwam i gromów mych tknąć nie pozwolę."

Rzekłszy, oblókł majestat swój kłębami chmur,
I, klnąc miłostki, spoczął utrudzony władzą...
Tymczasem Juno zbiera olimpijski dwór:
Trysnął nektar, i bogi sprawiedliwe radzą...
Dziwnie jednak uboga w słowa ta narada!
A może je dźwięk złotych czar i dzbanów głuszy?
Każdy, mściwej bogini ruch i zamiar bada,
Niejeden sprzyja może skazańcowi w duszy...
Ją zaś drażni wędzidło Jowiszowej woli,
Która czuwa i gromów dotknąć nie pozwoli.

Jakże ukarać śmiałka, który z tylu prób,
Z tylu sideł bogini umiał wyjść zwycięzko?
Nędzny! iluż jej wiernych zepchnął w zimny grób,
I piekła się nie ulękł i śmierć raził klęską.
Jak zdeptać nienawistny owoc ziemskiej córy,
Która boskiej małżonce tyle pieszczot skradła?
Tak to rozmyśla Juno w swej duszy ponurej,
Przez zemsty i niemocy szarpana widziadła.
Naprzemian złość wytęża jej woli cięciwę,
To ją znów przygnębienie zluźnia rozpaczliwe.

Nagle, jak promień zorzy w śnieżnej góry szczyt,
Tak dłoń Białoramiennej uderzyła w czoło.
W oczach jej błogich natchnień zamigotał świt...
„Radźmy, a przyjdzie rada!" — krzyknęła wesoło.
Wówczas skrzydlaty pieszczoch paw' najniespodzianiej
Po trzykroć w sali nieba ozwał się wysokiej,
I przyfrunąwszy, usiadł po prawicy pani
Pyszny wielce, i rozwarł swój wachlarz stuoki.
Musnęła Juno zlekka tęczowy grzbiet pawia,
Jak mewy toń muskają, poczem tak przemawia:

„O nieśmiertelni, boscy stróże nieba praw!
Słuchajcie mnie i słowa me do serca weźcie.
Cóż to jest bodźcem wszystkich gwałtownika spraw?
Pycha jest nim! — A komu wygraża? — Niewieście.
Więc mnie — bo tylu moich zagnał w Hadu mroki;
Temidzie — bo jej świętem gardzi przykazaniem;
Śmierci — bo ją spętaną przykuł do opoki;
Djanie — bo wszystkich celnem przewyższa strzelaniem,
Jak świeżo w grach o siostrę Ifita rumianą,
Którego zabił, wściekły, iż mu jej nie dano.

„Łotr bezwstydny! Megarę rzuca w kwiecie lat,
Jak czerep, i za inną po świecie się błąka...
Choć mam w ohydzie taką, co świadoma zdrad
Nie mści się i ulega — zawszeć to... małżonka.
Ale on z ojca widać wziął niewierność w dziale,
A z Alkmeny jej butę, z szały lubieżnemi...
O bogi! ten, kto pychą godzi w nas zuchwale,
Powinien być pokorą przybity do ziemi!
Słuchajcież mnie, i słowa me do serca weźcie:
Niechby zgnuśniał, w niewolę oddany... niewieście."

Tu przecięła milczeniem pasmo wartkich słów
I spojrzała po bogach okiem rozgorzałem...
„Słowo z ust mi wyjęłaś!" — wołał ten i ów,
Zaś inny: „Ja to samo na języku miałem."
Lecz róże jej oblicza zwiędły trwogą bladą,
Gdy zoczyła Minerwę w rzeszy nimf młodzieńczej,
Uśmiechniętą z przekąsem. „Ej! — rzecze — Pallado!
Jakiż uśmiech zjadliwy czarę ust twych wieńczy?"
Więc Pallas: „Że też wszystko twe oczy spostrzegą!
Uśmiech — przyjmij dla siebie; zjadliwość — dla niego."

Skinęła Juno głową na podzięki znak,
Rozbrojona. A w niebie gwar tymczasem wzbiera...
„Zaprzedać Herkulesa?... Ejże!?... Komu?... Jak?..."
Zgiełk wywołują przyszłe losy bohatera.
A podobnie jak w ciemnej nad morzem jaskini
Szum wichru i plusk fali pędzonej do brzega
Donośniej brzmi dla ucha — tak w duszy bogini
Lada szept krzykliwemi dźwięki się rozlega...
Lecz głosy morza niesie w dal bezmyślne echo,
Te zaś bóstwo rozważa z gniewem lub uciechą.

Gniewa ją zachowanie, które ma jej wróg,
Trucizna jej żywota pomiędzy niebiany;
Cieszy pewność, iż zemsty nie zgadują dróg,
I myśl, jaki to podziw obudzą jej plany.
Knując je, do posłanki swojej zwraca mowę,
Schylonej nad złocistem tronu jej wezgłowiem:
„Biegaj mi, wiatronoga, przez szlaki tęczowe
Do Delfów. Co zaś myślę, na ucho ci powiem."
Wysłuchawszy, pomknęła Irys w Delfów stronę,
Ale wnet powróciła, aby rzec: „Spełnione."

. . . .

Wacław Pomian.

Ad astra!...

Podczas nocy letniej podnoszę oczy do góry i myślą błądzę po obszarach, zaludnionych rojem świateł niebieskich.

Odkrywam wtedy głowę...

Myśl się korzy przed ogromem niepochwytnym. Powraca zalękniona na ziemię po śmiałych lotach w przestrzeni bez granic...

A jednak myśl jest szybszą, niż światło

W jednej chwili przenosi się na gwiazdy, których promienie płyną w przestrzeni tysiące lat, zanim musną ziemską skorupę.

Myśl buja wśród mgławic i rojowisk drogi mlecznej; sięga do najdalszych kręgów bezmiaru, zapełnionego ogniskami światła i ciepła, które płoną miljony lat... Ale gdzie się zatrzyma, gdzie znajdzie krańce?...

Czy podobna sobie wystawić gdziekolwiek, w najdalszych sferach, po za odległością miljardów miljardów średnic ziemskiej drogi koło słońca, po za sferami gdzie krążą systemy gwiazdowe, jakąś straszną zaporę, po za którą nie byłoby istnienia?

Więc co może być po za nią?

Jakaś wielka ciemność, jakiś brak przestrzeni, kształtów, ruchu, światła, sił, materji, ciał, eteru?

Myśl ludzka błąka się w tych przestworach i nie może bystrem skrzydłem dotrzeć do progu nicości...

I małą się wtedy wydaje i nędzną niby muszka, brzęcząca u stóp niebotycznej góry, niby kropla, błyskająca w fali spienionego burzą oceanu.

A jednak jest wielką, przez to samo, że może pragnąć rozwiązania zadań nierozwiązalnych, przeniknięcia tajemnic nieprzenikalnych, zmierzenia przestrzeni niezmierzonych!

A po co te pragnienia, po co te czerpania dłonią dziecięcą kropelek z morza nieskończoności, po co te loty w dziedzinach niedostępnych?...

Trzeźwe i praktyczne umysły często z politowaniem patrzą na te niby chimery i bawidełka rozigranej wyobraźni, na te zachcenia gwiazdek z nieba?

Gdy dziecku przychodzi ochota sprowadzenia takiej gwiazdki na ziemię, stawia się przed niem szaflik z wodą i pokazuje, że światło niebieskie jest na dnie...

I starym dzieciom kuglarze myśli pokazują często gwiazdy w szaflikach.

Każą wierzyć w różne zlewki fałszów i urojeń, zawierają odblask nadziemskiej jasności w brechtaninie mistycznych frazesów; w fusach i mętach pedantycznej, szkolarskiej mądrości każą szukać odbicia tajemnic niepoznawalnych, promieni prawdy prawd...

Po tylu zawodach i rozczarowaniach śmiała myśl ludzka omija okrzyki frazeologów i systematyków, wraca z wędrówek w sfery nadziemskie niezaspokojona, trwająca w wiekuistej tęsknocie...

I pieśń i marzenie człowiecze wyrywa się do tych wyżyn świata, które unoszą się po nad nicością ziemskich gwarów i zabiegów, po nad tumanami doczesnego pyłu.

W nieokreślonem upojeniu, które przepełnia pierś człowieczą na widok gwiaździstego obszaru, w podziwie dla ogromu i wielkości świata widać wiekuiste pragnienie ducha ludzkiego, płodny niepokój, głód idealny, płynący z nierozwiązanych zagadnień.

I nigdy myśl ludzka głodu tego nie nasyci, bo nie ma granic pragnienie i żądza wiedzy; nie ma granic uczucie obejmujące wszechświat, jak nie ma granicy istnienie.

I nigdy myśl, skojarzona z tęsknotą i marzeniem, nie przestanie płynąć niebiańskim szlakiem do nadziemskich tajemnic, do zagadek wiekuistego życia, do górnych świateł ducha, do gwiazd!

Józef Kotarbiński.

Evoë.

O, nie mów mi, że czas tak szybko płynie,
Że rozkosz zgasi piorun naszej krwi,
Że nasyconych rychło głód ominie,
I szał, co porwał nas... o, nie mów mi!...
I nie mów, ach, że jest świat po za zami,
Że na dnie czary miodnej gorycz tkwi,
I że nas tylko marą szczęścia mami
Kłamliwy sen... o, nie mów, nie mów mi!...

Ja wiem, ja wiem, że szczęście to motyle,
Że szparkim lotem błyskawicy mkną
Zawistnym bogom odkradzione chwile,
Że srogo kradzież tę Gorgony mszczą;
Ja wiem, że jeno tworem naszych złudzeń
Ten, co nas nęci, wymarzony raj,
Że pryśnie złoty sen w chwili przebudzeń...
Ja o tem wiem... lecz mi zapomnieć daj!...

Ten ślepy bóg, co porwał nas swem tchnieniem,
On się nie godzi na swej pastwy dział,
I śmiertelnika darząc upojeniem,
Chce, by mu w zamian duszę całą dał...
Oto przybywa, aby nas wspaniałą
Rozkoszą bogów karmił jego cud,
Lecz by nam pełnię szczęścia mógł dać całą,
Zmienić się przez nas w zwierzę musi wprzód...

Więc, jak Menada, schwyć mnie w ramion kleszcze,
Paznogcie w ciało me drgające wpij,
Ząbkami kąsaj... mocniej!... jeszcze!... jeszcze!...
Niech ból zaostrzy rozkosz chwili tej...
Nurząc się w morzu błogiej niepamięci,
Dajmy się naszej krwi szałowi nieść,
I złóżmy, pełnią szczęścia wniebowzięci,
W tę jedną chwilę... całą życia treść!...

Może—gdy w burzy zmysłów bezprzytomni
Utoniem, niby w blask lecące ćmy—
Czas przejdzie mimo i o nas zapomni,
Jakeśmy o nim zapomnieli—my!
Może nas płomień krwi wzburzonej spali,
Może spopieli pocałunków żar,
A może świat się nad nami zawali,
I w gruz zagrzebie... skołysanych w czar!

Nie rozrywając naszego uścisku,
Śmierć wśród upojeń zajdzie drogę nam,
I od przesytów broniąc nas ucisku,
Zawiedzie społem do wieczności bram.
W rozkosznym zmysły utopiwszy trunku,
Wtedy z rąk próżny wypuścimy krusz *)
I wyzioniemy w ostatnim całunku
Ostatnie tchnienie wniebowziętych dusz!

Włodzimierz Zagórski.

Neapol, 1862.

NIESPODZIANKA,

— No, i spóźniłem się, spóźniłem się na ostatni pociąg i nie pojechałem na letnie mieszkanie! To jeszcze nic, ale wskutek tego nie przywiozłem żonie sprawunków i tej obiecanej niespodzianki. Tyle razy dawałem już sobie słowo, aby nigdy nie obiecywać, bo zawsze nie dotrzymuję i znów jakieś licho skusiło, dość, iż odjeżdżając wczoraj—nie, kiedyż to ja byłem ostatni raz?—patrzcie, to ja już nie byłem cztery dni u żony—otóż cztery dni temu, na samem odjezdnem pyta się mnie Lola — ona zawsze się mnie o to pyta:

— Kiedy wrócisz?

— Nie wiem, duszko—powiadam—może jutro; w każdym razie bądź spokojna, przywiozę ci jaką niespodziankę. Dziś, żeby mnie kto zabił, nie wiem, po co ja to powiedziałem. Ale to już taki mądry mój zwyczaj... nieproszony i niepytany wyrwę się z jakąś obietnicą, a później „zdechł pies", myśl nad prezentem. Dziś spóźniłem się tylko przez ten prezent. Poszedłem do jubilera (moja żona najlepiej lubi niespodzianki od jubilerów) i dalej w gawędę.

— Jubiler dał mi jakąś bagatelkę w bibułkę i poszedłem. Ale co z wieczorem zrobić? W teatrze balet—nie lubię, w ogródkach sztuki ludowe—jeszcze gorzej, a w Nowym operetka—najgorzej. Znajomych nie mam, w restauracji duszno, w Łazienkach byłem po obiedzie, słowem jeden z tych miłych wieczorów warszawskich, „które się nie udają", co to jest duszniej, niż zwykle, rynsztoki cuchną, kurz i—dopiero siódma godzina. O partji w winta, ani marzyć! Zresztą, komuby się chciało wędzić w pokoju! Opiłem się mazagranu w cukierni i poszedłem do domu. Także był mądry wynalazek! Fe! jak tam duszno, Józef bowiem sądząc, iż wyjechałem, nie pootwierał okien. Idjota! Zapaliłem lampę, otworzyłem w moim pokoju okno i usiadłem przed biurkiem. Ogarnęła mnie taka złość, iż nawet nie zdjąłem palta i kapelusza. Utkwiłem oczy w lampę i zacząłem myśleć. Obrzydło mi to nasze mieszkanie; muszę się wyprowadzić od Nowego roku! Pełno kurzu, przytem ten turkot nieznośny. Na biurku gruby nieład, musiałem wszystko uporządkować; skończywszy, spojrzałem na zegarek—była ledwo ósma. Okropność! Wtem nowa myśl zaświtała mi w głowie; otwieram ostatnią dolną szufladę biurka i wyciągam stosy fotografij, które uszły uwagi mojej żony. Są to rozmaite przyjemne wspomnienia. Na spodzie mam kilka listów, których nie chciałem spalić; takie lepsze listy! Zawszeć to człowiekowi żal tej przeszłości! Dziś nawet żal mi tego entuzjazmu, gdym palił przed ślubem wszystkie listy i fotografje! Wcale niebrzydkie twarze. Doprawdy człowiek miał wcale gust! Spojrzałem niechcący na fotografję żony, stojącą na biurku. Niczego kobiecina, tylko... właściwie mówiąc, to nic jej zarzucić nie mogłem, tylko... albo ja wiem, te fotografje z szuflady podobały mi się bardzo. Pyszna jest Ludka w tym dużym kapeluszu! Mój Boże, jak to czas pędzi! Ludka poszła już za mąż na Kaukaz i ani śladu po niej! Do[s]konała jest sobie ta mała „Dziuba"! Fotografja, jak [ży]wa. Pamiętam ją doskonale, zawsze zęby na wierzchu. [Za]wsze uśmiechnięta. Dobra była dziewczyna! Nawet [nie] wiem dlaczego westchnąłem i poprawiłem kapelusz na [gło]wie. Dobry dzieciak był! Grywa podobno w teatrze. [No], no, wyszła na aktorkę, nigdybym się tego nie spo[dzie]wał. Podpisała mi na fotografji: Sfinksowi przywiązana Dziuba. Sfinks i Dziuba—takie zestawienie! Ale to dobry był dzieciak! Prawdę mówiąc, nieosobliwie się znalazłem, nie odpisując jej na ostatni list. Czy ja go tu mam? Ah, przecież jest! Zacząłem czytać. Ona porządnie pisze; jakie to okrągłe litery. Mogła mnie przecież zwymyślać, a jednak jest grzeczna. „Podobno się żenisz, więcej więc już nie napiszę, ale zrób mi tę ostatnią przysługę i odeszlij mi tę fotografję, wiesz tę *decolté*, bo nie chcę, ażeby twoja żona miała sobie na mnie zęby ostrzyć. Odeślij ją najlepiej do Frani Ks., która ma mój adres. Tu grywam dużo i jest mi nieźle, chociaż gażę rzadko płacą. Pytałam się tu wszystkich, czy twoja żona ładna, ale nikt jej z naszych nie zna. Bądź szczęśliwy i pomyśl czasem o twojej dawnej Dziubie. *Ps.* Pamiętasz czwarty lipca?" Dobry dzieciak! No, za tragicznie to wzięła, że aż „ostatnią przysługą" nazywa odesłanie fotografji, ale zawsze dobre dziecko! Czwarty lipca... czwarty lipca... nic nie pamiętam. Ale bo też list dostałem na cztery dni przed ślubem, rzuciłem go więc do szuflady i zapomniałem na śmierć. Fotografja ładna. Ona to nazywa *decolté*. No, jest to, co prawda, trochę więcej, ale ładne. Frania? Frania?... Już wiem! Doprawdy trzebaby jej odesłać tę fotografję! Rychło wczas, po dwóch latach z górą. Ale doskonale zrobiona. Prawie przypomniałem ją sobie, patrząc na ten portret, miała zawsze takie wilgotne usteczka. A jaka ona dowcipna! Sfinksowi—hm! niby to nic, ale zawsze czuła pewną wyższość moją nad sobą! Trzebaby dla niej coś zrobić, możeby ją w tym teatrze jako poprotegować. Zacząłem być zły na siebie; dwa lata nie odpisać komuś na list, jest to pospolita impertynencja. Zacząłem sobie robić wymówki, takie ciche wymówki, te najgorsze. W końcu schowałem fotografję w boczną kieszeń palta, spojrzałem na zegarek, była dziewiąta. Zgasiłem lampę i zszedłszy na dół, wsiadłem do dorożki.

— Dokąd?

— Zaraz, czekaj.

Pomyślałem chwilę. Frania była aktorką i grała w którymś z teatrzyków.

— Jedź do Alhambry.

Wszedłem wprost za kulisy i spytałem o Franię. Była właśnie na scenie, grając jakąś czułą rolę, gdy mnie jednak zoczyła w kulisie, uśmiechnęła się znacząco. Za chwilę rozmawialiśmy.

— Oh, pan dobrodziej! Już się pan dowiedział?

— Niczego się nie dowiedziałem.

— Nie mnie brać; jak to, a pocóż pan tu przyszedł?

Spostrzegłem, iż się podstarzała przez te dwa lata, i że jak zawsze, była chuda i nie dowcipna. Ale po co przyszedłem—sam nie wiedziałem na razie.

— No, jest, jest, siedzi tam w loży na lewo i pokazała mi palcem pomiędzy boczne przystawki.

W loży siedziała jakaś kobieta w dużym kapeluszu.

— Dziuba!—zawołałem uradowany.

— Myślałby kto, żeś pan o tem nie wiedział. No, do widzenia, bo ja wchodzę na scenę. I znikła.

Zostałem sam i ujrzałem przed sobą mnóstwo płótna malowanego, a w oddali Dziubę, Dziubę, dobre dziecko. Człowiek jest przebrzydłym egoistą, zamiast iść przywitać do loży, wybiegłem zza kulis wprost do golarza. Za chwilę już byłem odświeżony. Niepotrzebnie tylko zapuściłem bokobrody, to mnie postarzało! Po drodze kupiłem trzy róże i wróciłem do ogródka. Wbiegłem szybko na chodnik prowadzący do lóż i skłoniłem się już zdaleka Helence. Uśmiechnęła się bardzo przyjaźnie, wyciągając rękę po róże, wiedząc, że są dla niej. Obok niej siedziała jakaś niemłoda pani i gimnazista.

— Dobry wieczór, dobry wieczór, sto lat nie widziałam—mówiła głośno, a kiedym już usiadł, wąchając róże, szepnęła po cichu:

— Sfinks!

Uśmiechnąłem się.

— Cóż to za mumja?—zacząłem, wskazując na wiekową panią.

— To ta pani, co u niej mieszkam. Niech się pan nie boi.

W antrakcie chodziliśmy po ogródku i dwa razy pomyliłem się, mówiąc jej po imieniu, ale dziwnem zdało mi się mówić inaczej, chociaż i tak było mi niezręcznie.

— Co pani robi z wieczorem?—zapytałem w końcu.

— Nic, pójdę do domu—odparła spokojnie.

— A możebyśmy poszli na kolację?

— Możemy—równie chłodno odparła, ale tak, iż mnie to nieco ubodło. Poszła oddać tej pani klucz od mieszkania i niebawem wróciła. Miałem czas zauważyć, iż niepotrzebnie kupiłem jej czerwonych róż: źle odbijały u stanika.

— Dokąd pojedziemy?

— Wszystko jedno. — Kazałem jechać do restauracji, w której znano nas z dawnych czasów. W dorożce mówiliśmy mało, raz tylko czy dwa ona odwróciła się do mnie i tonem przyjacielskim powtarzała: Sfinks, Sfinksie! Wzięła mnie za rękę. Weszliśmy na piętro.

— Byliśmy tu kiedyś—zauważyła od niechcenia.

— Oh! i nieraz.—Ukłonił nam się kelner, dawny znajomy.

— Ale państwo dawno u nas nie byli—zauważył.

— Państwo—pomyślałem sobie, a Dziuba uśmiechnęła się.

— Jakaś znajoma twarz—rzuciła i już stała przed lustrem, zdejmując kapelusz. Teraz spostrzegłem, iż róże były stanowczo zapąsowe. Helenka wyglądała blado.

— Co państwo każą?

— Wszystko mi jedno.

— Możebyś raków zjadła? Lubiłaś dawniej raki.

— Mogą być i raki.

— Przedtem wódki?

— Wódki—powtórzył kelner, jak echo.— Raki będą nieco później, przyniosę razem.

— *Bon!*...

Stałem za nią przed lustrem i uśmiechałem się, powtarzając: Dziuba, ale ona odwróciła się na pięcie, uderzyła mnie zlekka rękawiczką po twarzy i zauważyła w końcu

— Jakoś tu brudno.

— Ha, cóż chcesz, dwa lata...

— To to już dwa lata? Wiesz, ja teraz mnóstwo grywam. Dają mi duże role. Męczy mnie to.

Usiadła, a ja przy niej.

— Doskonale wyglądasz—zacząłem.

— Eh! na wiosnę doskonale wyglądałam, ale teraz, po tej podróży. Męczy mnie granie.

Już to mówiła raz. Przypomniałem sobie, że mam jej fotografję w kieszeni.

— Wiesz, Dziuba, iż ja mam twoją fotografję przy sobie.—Pokazałem.

— Ah! ta!—rzekła niedbale.

— Ta, którą chciałaś, żeby ci odesłać, ale ja ci nie oddam.

Pocałowałem ją w lewy policzek.

— Dam ci inną; mam teraz doskonałą w kostjumie pazia. Wiesz, w Radomiu rozkupili wszystkie.

— Ale tej ci nie oddam.

— Dobrze, będziesz miał dwie malowane Dziuby.

— No i jedną żywą—dorzuciłem, obejmując ją wpół.

— To jeszcze nie jest dowiedzione—rzekła i wysunęła się z objęcia.

Fotografja leżała na stole. Nic a nic nie była podobna, to jest właściwie była to ta sama kobieta, tylko ta, która przy mnie siedziała, miała więcej powagi, zadumy.

— Graliśmy w Radomiu „Lenę". Wiesz, miałam duże powodzenie.

— Wierzę.

Zacząłem żałować, żeśmy obstalowali raki, bo stanowczo zadługo je gotowali.

— Cóż ty porabiasz?—zagadnęła.

Chciałem jej odpowiedzieć, że ożeniłem się, ale dałem pokój.

— Wiesz, znalazłem dziś twoje listy.

— Miłosne?

— Rozmaite. Dobre jesteś dziecko!

— Tak się to mówi—odparła obojętnie.

— Możeby ci co w tym teatrze wyrobić, może ten wasz dyrektor...

— Eh! taki dyrektor. A cóż ty możesz zrobić? Pieniędzy mu nie dasz.

Zacząłem dziwnie tracić humor, a nabierać małomówności. Milczeliśmy przez chwilę.

— Jakoś tych raków nie dają. Zadzwoń

— A możebyś ty co zagrała—proponowałem.

— Mogę.

Grała, ale bez tej werwy, co dawniej. Grała jakiegoś sentymentalnego walca. Przypomniałem jej poleczkę z dawnego repertuaru.

— Zapomniałam, a tu nut niema.

— Słuchaj, Dziuba, możeś ty zakochana?

Naprowadzałem rozmowę na wszystkie tematy.

— Ja? Dajże pokój. Mój czas już przeszedł. Spowszedniałam na nic, daję ci słowo! Ah! raki, przecież!

Cieszyłem się i ja z raków. Piliśmy w milczeniu, siedząc naprzeciw siebie.

— Jakieś twarde—zauważyła.—A likier będzie?

— Będzie, a jakże, będzie.

— Wiesz co, Dziuba, aleś ty wypiękniała.

— Trochę!

Spokój jej odbierał mi apetyt.

— Myślałaś kiedy o mnie?

— O tobie? Owszem, przypomniałeś mi się kiedyś w lipcu.

— Czwartego... co?—pochwyciłem z radością.

— Nie pamiętam. Była jakaś kolacja; Frania, która była wtedy w naszem towarzystwie, zaczęła coś mówić o tobie.

— Więc to było czwartego lipca?

— Mówiłam ci, że nie pamiętam. Otóż Frania przypominała mi, żeś się chciał kiedyś ożenić ze mną.

Krzyknąłem.

— Tak, Frania przypominała. Dobra dziewczyna.

— Mówiłam jej, że kochałeś się we mnie, ale się to rozchwiało.

Nalałem Helence co rychlej likieru.

— Twoje zdrowie. Dobry dzieciak jesteś.

— Później była okropna pijatyka—ciągnęła dalej, zapominając o poprzedniej rozmowie. — Nie było nazajutrz widowiska. Wesoła to rzecz aktorstwo!

Potakiwałem, dolewając likieru.

— Twoje zdrowie!

Skończyliśmy kolację.

— No, pójdziemy.

— Jakto, nie odwieziesz mnie?

— Mogę.

— Albo zresztą daj mi na dorożkę, wrócę sama.

— A może ci potrzeba więcej?

— Nie, nie potrzebuję.

— Zawsze dumna—nachyliłem się, aby ją pocałować.

— Mógłbyś kiedy przyjechać do nas na jakie przed

---

*) Kruż, staropolski wyraz dla oznaczenia dzbana. Pozwoliłem sobie dla lepszego rymu zamienić końcową głoskę *ż* na *sz*, sądząc, iż zbyt wielkiego błędu nie popełnię, zwłaszcza, że wyraz *kruż* może tak samo być wyprowadzony od niemieckiego *krug*, jak i od francuskiego *cruche*. (*Przyp. aut.*)

stawienie. I wiesz co, mógłbyś przywieźć tych perfum, coś dawniej miewał. Jak one się tam nazywają?

— Oppoponaks! Przyślę ci jutro.

— Jeszcze lepiej. Zapłaciłeś? Chodźmy.

Kelner kłaniał się nam u wyjścia.

— Może państwo kiedy pozwolą do nas.

A ja szukałem w kieszeni sprawunku od jubilera.

— Wiesz, dziecko, dam ci bransoletę.

— Ah! dobrze, przyda mi się na scenę.

— Nudna jesteś z tą twoją sceną i tym Radomiem!

— Myślisz, żeś ty może zabawny po ożenieniu?...

A. J. Sęk.

ZALOTNEJ.

PRZESTROGA.

Jagódko, różyczko! przecudne masz liczko,
Pierś, jakby z marmuru toczoną,
Twe oczy gwiazdkami, twe ząbki perłami,
Koralem usteczka twe płoną!

Wiesz o tem i z lubą pociechą i chlubą
Przed ludźmi się pawisz w swej krasie,
I szczęsnaś, i rada, gdy mężczyzn gromada
Wdziękami twojemi wzrok pasie;

Gdy czarem się lica twojego zachwyca,
I z myślą bezecną, zuchwałą,
Chcąc zyskać twe względy, gdzie spotka cię, wszędy
Ten zachwyt objawia ci śmiało.

Nie pytasz, kto taki ci jego oznaki
Narzuca z bezczelną swobodą?
Czy podły, czy głupi, w twą próżność się wkupi,
Gdy postać ma dziarską, twarz młodą.

Dziś wprawdzie ich za to najmniejszą zapłatą
Nie darzysz; lecz kto wie, azali
Z którego ócz zdradnie skra taka nie padnie,
Co zimną krew w tobie zapali,

I wstyd twój pokona, i pchnie cię w ramiona
Niepomna bez czci i bez wiary,
Co tylko swej chuci dogodzi i rzuci
Dla nowej cię jakiejś ofiary.

A gdy cię zachowa od tego surowa
Twa cnota, czy serce z kamienia,
To cóż ci pozwoli ujść innej niedoli?
Co prawa natury pozmienia?

Twój wiek się przesila i bliska już chwila,
Straszliwa dla próżnej kobiety,
Cenięcej i w sobie, i w mężkiej osobie,
Wdzięk ciała nad wszystkie zalety.

Za czas już niedługi, jesienne szarugi
Z lic zwieją różyczki ci letnie
I mgła ci zamroczy te gwiazdki twe,—oczy,
Co iskrzą się dzisiaj tak świetnie;

I—zwykłe to dzieje—ust koral spłowieje,
Pożółkną twe ząbki-perełki,
I w twej się postaci bez śladu zatraci
Szykowność i wiotkość kukiełki.

A wtedy ta zgraja, co dziś się upaja
Tem w tobie, co zmysły jej łechce,
Od zwiędłej niesmacznie odwracać się zacznie,
Aż w końcu i szydzić z niej zechce.

Więc póki czas jeszcze, zażegnaj złowieszcze
To widmo, tę przyszłość szkaradną:
Miej nie to na celu, by nęcić wzrok wielu
Tem jeno, co lata ci kradną;

Nie wzbijaj się w pychę przez marne i liche,
Z żądz tylko płynące podziwy;
Lecz zważaj, w kim dusza twa serce porusza,
W kim ona hołd budzi prawdziwy?

Bo kogo nią sobie zdobędziesz, ten w grobie
Przestanie cię kochać jedynie,
A zajście twe w lata, ni wdzięków twych strata
Na zmianę w nim uczuć nie wpłynie.

Bo jej wdzięk zasłoni mu zmarszczki twej skroni,
W źrenicach ci gwiazdki zapali,
A czar jej wymowy blask ząbkom perłowy
I ustom da barwę korali.

Więc nie gardź przestrogą, i jeśli tą drogą
Swą piękność uczynić chcesz trwałą,
Zmień oręż w szermierce: miej serce, patrz w serce
I wyżej ceń duszę, niż ciało.

Adam Pług.

Przy choince.

(Z muzyki świątecznej.)

...Po wigilijnej wieczerzy, przy której prastary symboliczny opłatek połączył we wspólnym uścisku starych i młodych, maluczkich i poważnych, zajaśniała w całym blasku choinka, owe cudowne drzewko, u stóp którego zazwyczaj się kryje źródło kolędowych darów.

Gdy pierwszy niemy zachwyt wśród dzieciarni zaczął się przeistaczać w szereg okrzyków i wesołych podskoków, odezwał się poważny głos babuni:

— A cóż to, dzieci, czyż żadne z was nie zdobędzie się na uczczenie „Gwiazdki" pieśnią kolędową? Czyż to co nieznany mi, a tak serdeczny pieśniarz wypowiada w swej pieśni, nie ma się stosować i do nas?

Tu babunia przeczytała z wigilijnego numeru naszego pisma strofę „Kolędy":

„Ściele ziemia obrus biały,
Wigilijne śniegi ściele;
Kolędowe brzmią chorały,
Dzwon im wtórzy przy kościele.

I pod dobrych ludzi strzechą
Brzmią kolędy u ogniska,
Wigilijnych pieśni echo
Płynie w okół — a pociechą
Wzbiera serce, oko błyska."

Wezwanie siwowłosej matrony sprawiło wśród zebranych wrażenie, jakby iskry elektrycznej. Zaczęto nucić powszechnie znane pieśni: „Bóg się rodzi, moc truchleje", „Anioł pasterzom mówił", „W żłobie leży" i t. d.; motywy jednak muzyczne mieszały się w tkankę wielogłosową, tak niestety poplątaną i nieharmonijną, że zamiast uczucia zgody i radości, jaką rozbrzmiewać winien „Betleemski śpiew pastuszy", zdawaćby się mogło, że gromadka zapalonych śpiewaków starała się w tem potpourri o naśladowanie jakiego hymnu wojennego papuasów lub siuksów.

Wybuch szczerego! srebrzystego śmiechu wśród dzieci, był odpowiedzią na tę mieszaninę gorliwości i różnorodności.

Niezadowolona jednak z tego babunia zadecydowała, żeby która z pań, uprawiających muzykę, zasiadła do fortepianu i zaintonowaniem jednej z pieśni zmusiła zebranych do zgody i jedności.

Okazało się jednak, że pośród tych admiratorek Beethovena i Moszkowskiego, Schumanna i Offenbacha, Szopena i Lewandowskiego, nie znalazło się ani jednej, którąby była w stanie zaakompanjować z pamięci do którejkolwiek z wymienionych kolęd.

Na szczęście pomiędzy bogactwami choinkowemi znalazł się i obszerny śpiewnik kościelny ks. Mazurowskiego, przeznaczony na podarunek dla organisty z pobliskiego kościoła. Wynaleziono w nim odpowiednie numera i otóż:

„Betleemski śpiew pastuszy,
Nieśmiertelny, brzmi na nowo,
Pan na każde baczy słowo,
Wzrok na ludzkiej trzyma duszy."

Ale niezadługo poważny nastrój ustąpić musiał wesołości i humorowi nie tak namaszczonemu. Więc się posypały projekta i prośby o kolędy wesołe, okolicznościowe, prawdziwe pastorałki. Co chwila odzywały się głosy nucące: „Hej! hej! hej! Weselmy się, radujmy się, Pożądany narodził się" lub „Gruchnęła, gruchnęła nowina w mieście" itd. Pieśni tych, będących wytworem muzy domowej, poważny śpiewnik kościelny nie mógł zawierać. Więc nowy kłopot, gdyż fortepian, nie obeznany z pieśnią ludową, musiał wyznać swą niemoc i zamilknąć.

A tu jakby na urągowisko stara Antoniowa, piastunka paru pokoleń, podsuwa odwieczny, częstochowski zbiór „Pastorałek i kolęd", stanowiący ozdobę jej nielicznego, na wskróś pobożnego księgozbioru.

Okazało się, że skarbnica ta zawiera kolęd ni mniej ni więcej tylko kilka setek. Dzieci nawet odnalazły kolędę o ptaszętach, składających hołd „Maleńkiemu"—więc strofka:

„Kaczka pstra, dziatki ma
Siedzi sobie na kamieniu,
Trzyma dudki na ramieniu,
Kwa, kwa, kwa — pięknie gra."

wzbudza uwielbienie dla muzykalności ptaszego rodu.

Pan Stefan przypomina ulubioną pieśń kolędową swego dziadka, śpiewaną nietylko przy spokojnem, domowem ognisku:

„Apokaliptyczny Baranku,
Leżący w pieluszkach na sianku,
O śliczny Jezuleńku, wdzięczny luby paziońku,
Boski ablegacie, czem nie w majestacie,
Czemu nie w mistycznej, apokaliptycznej
Stawiasz się nam szacie?"

A tam znowu pani Miłoszowa odnalazła kołysankę:

„Lulajże Jezuniu, moja perełko.."

Słowem każdy, dziecię, czy starzec — odnalazł w tych „Pastorałkach" coś tak cudotwórczego, że wedle słów poety: „pociechą wzbiera serce, oko błyska".

I już nie starano się tam o kunsztowny akompaniament, zadawalniając się melodjami, o ile one przypominały się ubiegłonym siwizną uczestnikom wigilijnej wieczerzy.

Obrazek powyższy, z obecnego stanu muzykalności naszej, powinienby pobudzić muzyków naszych do zajęcia się temi perłami muzy ludowej, które ukrywają się w „Pastorałkach i kolędach". Niechaj umiejętność ich i umiłowanie sztuki rodzinnej ułatwią szerszemu ogółowi przystęp do tego niewyczerpanego źródła pobożności, szczerej wesołości i zdrowego humoru, tryskającego z kolęd ludowych. Niechaj wśród rozlicznych nowości podarunkowych roku przyszłego, poczesne zajmie miejsce wybór pieśni, opiewających rocznicę ukazania się „Dziecięcia", wybór opracowany starannie, przystępnie a artystycznie. Wszakże w kolędzie przechwala się i muzyk wierny. a gorliwy, śpiewając:

„Jam jest dudka Jezusa mojego,
Będę mu grał z serca uprzejmego.

Zagramci Mu najpierwej w dudeczki,
Wy z Nim hyżo skaczcie panieneczki.

W szałamaje i klawicymbały,
Aż Dzieciątku nóżki będą drgały.

Na puzonie, cytrze i wioli,
Niech się Dziecię nacieszy do woli.

Ja będę grał póki mi sił staje
I sam Ci się za intrument daję."

Stanisław Ciechomski.

W zimie.

(URYWEK.)

Ogród był cały srebrny. Głębie tajemnicze
Cienistych alej białe odsłoniły łono,
I blade, martwe było ogrodu oblicze.

A może to westchnienia w tych łzach skrzepłych toną?
Bo w marmurowe arki przekształcone drzewa
Wzdychają, potrząsając srebrzystą koroną...

Może miłosnem echem wiatr na ścieżkach śpiewa?
Bo gdzie tylko przeleci, budzą się djamenty
I wnet z akantów kolumn spada ich ulewa...

Może ta srebrna pustka—jaki raj zaklęty?
Kto wie... lecz dziś tu smutno pod kolumn sklepieniem
I w mgle lodowej giną alei zakręty.

A przecie—patrz!—pod jednym gasnącym promieniem,
Co się z zachodu przedarł przez szmat szarej chmury,
Ogród ożył, jak starzec żyje już—wspomnieniem...

Patrz, patrz!—jakim rumieńcem spłonęły marmury!
Różana mgła na ścieżkach, w głębi kolumn rzesza
Płonie, krzaków czerwone majaczą kontury...

To zachodzące słońce pozór życia wskrzesza.

Bożydar.

ROMANS FRANCUZKI.

Ze wszystkich literatur, francuzka dostarcza największą ilość powieści. Że zaś wydawcy postdatują zwykle nakłady swoje z ostatniego kwartału, mógłbym szeroko rozpisać się już o powieściach z r. 1891-go.

Cała Europa, piorunując na powieści francuzkie, wyróżnia je tem samem, cudzoziemcy nieznający, języka francuzkiego, czytają je tłumaczone lub przyswojone, a hasło przewrotów literackich, wyszedłszy z Paryża, obiega świat cały. Czyż to jest istotnie tak wielkiem złem, jak tego dowodzi cały zastęp moralistów z powołania? Dzieje się tu mniej więcej to, co na wystawach malarstwa na polach Elizejskich, gdzie rzadko napotykamy arcydzieła, zawsze kilka szkaradzieństw, ale gdzie całość imponuje nam i tryska życiem.

Francuzi, brani często za szalonych narwańców, są przedewszystkiem badaczami, którzy nie mogą usiedzieć na jednem miejscu i serce mają na dłoni. Nigdzie niema ludzi, lubiących tak opowiadać sprawy swoje bliźniemu. Robotnik spowiada się sąsiadowi w tramwaju, literat—czytelnikowi, rzucając bez skrupułów na papier wszystko, co mu głowa lub serce na razie podyktują.

Dlatego to literatura francuzka przedstawia się nam w niemożliwym negliżu, ukazując częstokroć to, czegobyśmy wiedzieć nie potrzebowali.

Takie bezwzględne lekceważenie ustroju socjalnego prowadzi łatwo do rozpusty. O francuzach można dziś powiedzieć, co Boileau wyrzekł o rzymianach: w mowie urągają przyzwoitości. Czytelnik francuzki nie dba w końcu o należny mu szacu

A. WŁODKOWSKI.

CENNIK KARNAWAŁOWY:

Fay français kolorowe	1.35, 1.80
Satin Duchesse kolorowe	1.85
Adamaszki assortis kolorowe	3.—, 3.50, 4.—
Florentine pod Gazy	55 kop.
Kanausy czarne i kolorowe	85 kop.
Surah kolorowe	90 kop.
Satin Rhadames	90 kop.
Mousseline a pois 110 cm.	75 kop.
Gaze rayée	75, 90, 1.25 k.
Resille a pois chenille, 2 łokcie szerokości	1.25 kop.
Crépe chiffon, 2 łokcie szerokości . . .	1.50 kop.
Mousseline soie unie, 2 łokcie szerokości .	1.50, 2.50 kop.
Gaze plumtis a bande, 2 łokcie szerokości	1.80 kop.
Crêpe lisse a bande, 2 łokcie szerokości .	2 rs.
Tulle a bande plumage, 2 łokcie szerok. .	2 rs. 2 rs. 50 k.
Crêpe lisse a pois, 2 łokcie szerokości . .	2 rs.
Volant crêpe lisse brodés, 7 łokci . . .	20, 25, 27, 30, 35 i 50 rs.
Gaze noir brodè couleur, 2 łokcie szerok.	3 rs.
Koronki, wolanty i tiule czarne podwójnej szerokości od	1.80 k. do rs. 10
Wełny gładkie i w paski jedwabne, 2 łok. szerokości od	75 kop.
Crêpe de chine pół jedwabne, 2 łok. szer.	1.20 kop.
Eolienne „ „ 2 łok. szer.	1.65 kop.

Wybór kolorów ogromny.

CENY STAŁE.

2181r

METODYCZNY KURS NAUK

obejmujący:

Naukę Religji, Naukę o Rzeczach, Język polski i francuzki, Arytmetykę, Nauki przyrodnicze, Geografję, Historję, Kaligrafję i Rysunki, wychodzić zaczął w

„Przeglądzie pedagogicznym”

W „Kursie” tym podany jest **plan** całej nauki, najlepsze **podręczniki** do każdego z przedmiotów i **wskazówki** czego i jak uczyć należy.—**„Przegląd Pedagogiczny”** zamieszcza artykuły: o hygienie, wychowaniu, metodach nauczania, postępach pedagogiki zagranicą, grach i zajęciach dzieci etc.—Udziela **porady** we wszelkich kwestjach wychowawczych.—**Pośredniczy** między rodzicami i nauczycielami przez **bezpłatne** zamieszczanie żądań.

Prenumerata „Przeglądu” kwartalnie rs. 1 kop. 50, z przesyłką rs. 1 kop. 75.

Adres Redakcji: Warszawa, Widok 14.

Numer okazowy na żądanie bezpłatnie franco. 1754

Fabryka Bibułki do Papierosów

w arkuszach i rolkach **(bobines)** w różnych odcieniach

L. Lacroix Fils & C-ie,

w Angoulême i Mazeres s/Salat.

NAJZNACZNIEJSZA FABRYKA we FRANCJI.



6 Maszyn do wyrobu Papieru

Medal złoty na Powszechnej Wystawie Paryzkiej 1889 r.



„LE MOSCOVITE“

Bibułka nadzwyczaj cienka, metr □, ważąca tylko 10 gramów, wyrobiony specjalnie dla Cesarstwa i Królestwa.

A. Maréchal Ruchon & Cie, 38 rue de la Verrerie w Paryżu, ulica Orla № 6, **w Warszawie** i ulica Litejna № 6 **w St.-Petersburgu.**

Wyłączni reprezentanci na Rosję i Królestwo Polskie, tudzież na Rumunję, Serbję itd., którzy są jednocześnie właścicielami marki (ABD) Bibułka w książeczkach, arkusiki oddzierają się jak marki pocztowe, jak również tejże samej marki bibułka w arkuszach i rolkach (bobines)

UWAGA. Wszelka bibułka naszego wyrobu jest bieloną za pomocą elektryczności; nie zaś za pomocą wapna. 2077R

Zamówienia przyjmuje dom handlowy **Henryka Feigenblatt w Warszawie, Orla 6.**

PP. Fabrykantom medaljoników świętych i medali z polerowanych metalów,

dostarczam **LAKIERU**, przy użyciu którego wyroby nie tylko zachowują glans, lecz nadto go powiększsją przy **oszczędności galwanizowania.** Próby wysyła się na żądanie.

Listy pod lit. **A. L.** adresować do

Ekspedycji anonsów M. Dukes. Wiedeń, I. Wollzeile 43R

MAGAZYN MEBLI,

Makow, Solna 9,

poleca nadzwyczaj tanio **Meble** wykwintne i zwyczajne. Całe urządzenia i pojedyńcze sztuki.

Meble używane—duży wybór. Starożytności—meble, bronzy etc.

Zakład tapicerski przyjmuję wszelkie obstalunki. 1781

Ważna Wiadomość dla DAM!!!

Mam honor donieść Szanownym Paniom, iż podejmuje się wszelkich robót damskich, specjalnie wierzchów do futer, jak dawniej tak i teraz z własnych i powierzonych materjałów, wykończam szybko podług najświeższych żurnali. Nowy-Świat № 16, mieszkania № 8, 3-ie piętro od frontu. 1713

Opuściły prasę:

ULUBIONE WALCE

Stefana Krasuskiego

p. t. „SNY MŁODOŚCI.“

Grywane na koncertach w Parku Krakowskim, balach, teatrach; Szczawnicy, Gleichenbergu etc.—Do nabycia u F. Hösick'a i w znaczniejszych składach nut. 42

Do sprzedania tanio

SREBRO STOŁOWE!!!

i desserowe, na 6, 12 i 24 osób z wszelkiemi dodatkami, Manażka (do octu i oliwy), Taca duża i mniejsza 84 próby, mało używane i może być oddane kompletnie jak nowe.

61, Nowy-Świat, I-e piętro.

44R **Henryk Juwiler.**

Lekcyj Tańców

udzielam u siebie, w domach prywatnych i na pensjach. **Elektoralna № 53.**

1778 **W. PUCHALSKI.**

Do sprzedania

Zakład Restauracyjny

w lasku na Czystem, za Wolskiemi rogatkami. — Wiadomość na miejscu. 1770

Dla Gospodyń!

uznana za najpraktyczniejszą

książka do rachunków

dla kobiet,

w której dostatecznie jest wpisywać liczby w gotowe rubryki, ażeby mieć obraz wydatków domowych na każdy dzień, miesiąc i rok.

Cena w oprawie kop. 60.

Nabyć można we wszystkich księgarniach. Skład główny w księgarni **T. Popławskiego**, dawniej J. Błaszkowskiego, obok Uniwersytetu. 1767

W Zakładzie naukowym prywatnym męzkim z oddziałem przygotowawczym, przy ulicy Świętojerskiej № domu 18, mieszkania 12 położonym, zapis dawnych uczniów, jak również egzamin nowych i przyjęcie tychże kandydatów, rozpocznie się od dnia 21 Grudnia (2 Stycznia) 1890—91 roku i trwać będzie, oprócz świąt uroczystych i niedziel, codziennie od godziny 10 ej zrana do 3-ej po południu, a regularny wykład nauk nastąpi z dniem 28 Grudnia (9 Stycznia) 1890—91 roku. 1777

Przełożony zakładu radca kolegjalny

Józef Górski.

ŁYŻWY!!!

„HALIFAX” od 1.40 kop., **ANGIELKI** od **85** kop., **Noże stołowe** od **2.50** za tuzin, **Noże kuchenne, Scyzoryki. Nożyczki, Brzytwy** angielskie itp. **„Najtaniej” u G. Wisnowskiego, 108**, Marszałkowska **108**, róg Chmielnej. 1769

Nowy Zakład Naukowy

IV-ro klasowy żeński z nauką rękodzieł

MARJI RAUM,

b. nauczycielki gimnazjum, b. kierowniczki 2 kl. szkoły w Zakładzie hr. Plater,

w Warszawie,

przy ulicy Brackiej Nr 3.

Przyjmuje panienki od lat 7-iu.

Ceny przystępne. 1775

Syrop kartoflany

hurtowo do sprzedania.—Adresować: Biuro Ogłoszeń, Senatorska 26, dla **„Syrop.”** 2195R

Specjalna Fabryka



GORSETÓW

Hygienicznych

Józefiny Knoff,

wybór Gorsetów we wszelkich najświeższych fasonach paryzkich i gatunkach materjałów. Obstalunki wykonywam w przeciągu 24 godzin, po cenach umiarkowanych. Marszałkowska 141, wprost Rysiej, 1774

FASONY PARYZKIE

Wielki wybór Gorsetów

W FABRYCE

H. PRÓCHNICKIEJ,

przy ulicy **Marszałkowskiej № 135** (róg Świętokrzyzkiej), w Warszawie, poleca WW. Paniom Gorsety z materjałów krajowych i zagranicznych.

Ponieważ zakład mój mieści się w lokalu prywatnym, przeto jestem w możności odstępować o wiele taniej.

1779 H. Próchnicka.

FASONY PARYZKIE

FASONY PARYZKIE

FASONY PARYZKIE

Wincenty Słowacki,

artysta baletu Teatrów Rządowych Warszawskich, zatwierdzony przez Okręg naukowy **nauczycielem tańców**, udziela lekcje w domach prywatnych i na pensjach. Ulic. **Długa № 10, mieszkania 10.** 1772

Czyste kakao Blookera

Filiżanka kosztuje tylko 4 kop.
Przygotowanie Kakao kuracyjnego fabr. J. et C. Blooker w Amsterdamie, **wymaga jednej minuty czasu.**
Sprzedaje się we wszystkich główniejszych składach kolonjalnych i aptecznych.—Skład główny na Królestwo Polskie u ***Józefa Kleinadel,*** w Warszawie, Królewska Nr 39. Telefonu № 280.
Zaleca się dla rekonwalescentów i dla dzieci, jako kuracyjny i

bardzo pożywny napój.

ZAWIADOMIENIE.

Dnia 24 Grudnia (5 Stycznia), o godzinie 12-ej w południe, na Rembertowskim Poligonie, sprzedawać się będzie przez licytację 7,439 wyrąbanych i oczyszczonych z gałęzi drzew ułożonych w 129 kupek drzewa z sękami i gałęźmi. 1765

Złoto i Srebro kupuję,

zamieniam i płacę najlepiej. — Wykupuję z lombardów większych i dopłacam różnicę. Najtaniej sprzedaję biżuterję nową i używaną. Obrączki, obstalunki i reperacje. **Nowy-Świat 61**, gdzie fotografja, I piętro.
9 **Henryk Juwiler jubiler.**

Nowo wypuszczone **Papierosy niesklejane**

ALBA

i MARS,

w cenie 10 kop. za 10 sztuk,
oraz dawniejsze znakomicie ulepszone papierosy

NORMA,

Niesklejane Nr 7, Nr 10 i Nr 11,
poleca **FABRYKA TABACZNA**

BRACI POLAKIEWICZ.

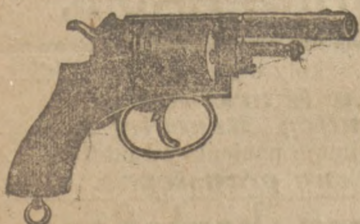
UWAGA. Tytoń turecki, z którego powyższe gatunki papierosów są wyrobione, pochodzi ze zbioru r. 1889, który, jak wiadomo, pod względem dobroci należy do najpomyślniejszych w ostatniem dziesięcioleciu. 2020R

Biura Informacyjne i Techniczne,

Zarządu Zakładów Gazowych,

SKŁAD LAMP i PRZYRZĄDÓW GAZOWYCH,

mieszczą się przy ulicy Senatorskiej Nr 8,
gdzie **bezpłatnie** bywa rozdawany **PODRĘCZNIK** nauczający oszczędnego używania gazu i zastosowania go do celów gospodarczych i technicznych.
Tamże przyjmują się obstalunki na **KOKS**, najoszczędniejszy materjał opałowy, szczególniej do pieców przerabianych przez nas w tym celu po cenie kosztu. 369R



„Strzeżonego Pan Bóg strzeże"

Wypróbowane rewolwery poleca w wielkim wyborze

Skład Warszawskiej Fabryki Broni

Roberta Ziegler,

ulica Trębacka Nr 4, dom Szeiblera.

Lefaucheux	od rs. 4	Liliput	od rs. 7.50
Lankastra	„ „ 5	Constabulary	„ „ 8.—
Buldog	„ „ 6	Smith & Wesson	„ „ 12.—

Gwarancja dwuletnia. 2192r

Nowość dla Sportsmenów!



2083r

ŁYŻWY stalowe systemu COLUMBUS z ostremi nosami.

Welocypedy, Wyżymaczki, Piece, Żelaza do opłatków, Widelce i Noże stołowe, Scyzoryki, Brzytwy wecowane i Maszynki do siekania mięsa,
polecają **JAN HILKNER i S-ka,**
Krakowskie-Przedmieście 5, wprost Uniwersytetu.
: Ceny możliwie nizkie :

Pierwsza Fabryka w kraju
pod firmą

A. TAUBE & Co.

Patentowanych wyrobów: złotem, srebrem, lśniącą rosą, brylantem i różnokolowemi wełnami (En haut relief) na wszelkiego rodzaju tkaninach.

Wyrabia specjalnie wyroby dotąd nieznane w kraju, a mianowicie:
Suknie balowe, szarfy, kostjumy teatralne, spódnice, chustki, serwety, fartuchy, pasy, szlaki, koronki, abażurki do lamp i wiele innych.
Fabryka przyjmuje także materjały do obrobienia w większych i mniejszych ilościach, w najrozmaitsze desenie po cenach nizkich, a mianowicie: tiule, gazy, tarlatany, krepy. muśliny, jedwabne materje, atłasy, aksamity, welwety, kretony, wełniane wyroby, sukna, korty i t. d.
Sprzedaż hurtowa i detaliczna w kantorze fabrycznym przy ulicy Marszałkowskiej № 83. 1744

ALBUM NAJNOWSZYCH TAŃCÓW

wybranych na **KARNAWAŁ 1891 r.**
przez

L. LEWANDOWSKIEGO,

ROCZNIK V.

E. Waldteufel.	„TOWARZYSTWO PARYZKIE" (Tout Paris) walc	30 k.
A. Manzoti.	„EXCELSIOR" kadryl	40 k.
A. Sonnenfeld.	„DZIEWECZKA" polka	20 k.
F. Fahrbach.	„SREBRNE DZWONKI" polka	20 k.
	„LOLOTA" polka mazurka	20 k.
L. Lewandowski.	„CIARACHY" mazur	20 k.
	„WODZIREJ" mazur	20 k.
C. M. Ziehrer.	„SENSACYJNY" galop	20 k.

Cena całkowitego „ALBUMU" 1 rs. 25 kop.

Do nabycia w Księgarniach oraz w **Redakcji «ECHA MUZYCZNEGO» (RAJCHMAN i FRENDLER) Senatorska № 26.** 33R

HOTEL METROPOL

Moskwa, Plac Teatralny.

Świeżo urządzone wykwintnie **220 numerów** od 1 rs. do 25-iu rs. na dobę.
Pierwszorzędny hotel największy w stolicy (front wychodzi na trzy ulice), położony w samym środku miasta.
Najmożliwsze wygody dla pp. podróżujących. 2079R
Wynajmuje się oddziały od 25 do 500 rs. miesięcznie.



Ulica CZYSTA Nr 2
W WARSZAWIE,

F. WORONIECKI

ZEGARMISTRZ
poleca w wyborowym gatunku
Zegarki szwajcarskie,
REGULATORY i KONTROLERY.
Z powodu nagromadzonego wielkiego wyboru Ceny bardzo nizkie stałe.
Wybór znaczny z fabryki Patek, Philippe i Sp. 1780

Nauka i wychowanie.

Adres pierwszorzędnego biura nauczycielskiego Załęski, Mazowiecka 16, rekomenduje nauczycieli, nauczycielki, bony. 13r

Biuro prof. de Préchamps. Długa 25. Polki, francuzki, niemki do umieszczenia. 36788

Anglik, znający literaturę, potrzebny jest do udzielania lekcyj, Krakowskie-Przedmieście 22, m. 7. 36397

Artystyczno-rzemieślnicza szkoła żeńska Jadwigi Przewóskiej Niecała 10, nagrodzona medalem za najlepsze wykłady rzemiosł i najzgrabniejszy krój. Uczennice szybkie odnoszą korzyści. Ceny przystępne. 36881

Angielka dyplomowana, z Londynu, szuka lekcyj, do 10-tej rano. Włodzimierska 2—5. 25r

Buchhalterji wyucza, oraz prowadzi tanio książki rachunkowe, według wymagań kodeksu handlowego, specjalista S. Rogulski. Marszałkowska 138. 36711

Czytelnia „Nowości Pierwsza" 12 tysięcy tomów, zaopatrzoną została w świeżo wyszłe dzieła naukowe belletrystyczne, oraz dziecinne. Abonament miesięczny, tomowy, dzienny. Warunki nader przystępne. Nowy-Świat 21. 36830

Języka niemieckiego udziela Plato Reussner, autor najnowszych metod. Marszałkowska № 142. 36911

Lekcje francuzkiego lub muzyki na swoim fortepianie 3 rs. miesięcznie. Chmielna 23, w czytelni. 36543

Młoda niemka, dyplomowana, udziela lekcyj i u siebie, także korespondencji handlowej i buchhalterji. Plac św. Aleksandra 6, mieszkania 49, od 12—2. 36382

Młoda konwersatorka języka francuskiego, udziela lekcyj i u siebie. Czysta 6—24, od 11—12½ rano i 7—8 wieczorem. 36507

Nauczycielka poszukuje demi-place, muzyka, języki. Tamka 45—15. 36948

Na dogodnych warunkach nauka kroju sukien damskich metodą francuzką. Patenty wydają się. Suknie okrycia przyjmują się do roboty tanio. Freta 4, m. 7, drugie piętro, wprost Długiej. 36614

Na cytrze udzielam lekcyj metodą ułatwioną, Bolesław Kowalski, Bracka № 4. 36904

Nowy-Świat 4—15. Szkoła rękodzieł Pauliny Stokowskiej, rozpoczyna kursa kroju, strojów, szmuklerswa, bielizny, etc. 33r

Nauczyciel, dobry niemiec, potrzebny cztery godzin dziennie dla przygotowania chłopczyka do drugiej klasy gimnazjum krakowskiego. Posiadający poważne referencje mogą się zgłosić: ulica Królewska 39—8; 3—5. 24r

Oficer H. Kunicki przygotowuje do egzaminów na uzyskanie praw wolnowstępujących i do korpusu kadetów. Krucza 12. 35720

Poszukuje lekcyj lub korepetycyj student uniwersytetu, matematyk, posiadający teoretycznie francuzki i niemiecki. Może udzielać lekcyj w godzinach rannych. Żórawia 15, mieszkania 7. 3729r

Potrzebna francuzka, muzykalna, godzinę dziennie, pięć rubli miesięcznie. Wiadomość: Królewska 39—8; 10—12. 23r

Potrzebna korepetytorka od godziny 5-ej, gruntownie posiadająca język francuzki, Cena kop. 25 za godzinę. Krucza 16, mieszkania 7. 36884

Potrzebna rodowita francuzka na demi-place. Nowo-Wielka 15—2. 36868

Poszukuję umiejącego dobrze gimnazjalny kurs matematyki niedrogo. Nowy-Świat 4, mieszkania 29. 36892

Potrzebują guwernantki niemki znającej i władającej w zupełności językiem polskim, lub polki z językiem niemieckim, w zupełności z muzyką, do gub. Kijowskiej, do dwóch dziewczynek 8 i 9-letniej. Wykształcenie powinna mieć wyższe i świadectwa doskonałe. Tamże potrzebują bony niemki z językiem polskim lub polki z niemieckim, fröblówki lub pedagogicznie wykształconej, świadectwa doskonałe. Ulica Chłodna № 8, m. 26, do 10 rano, lub o 2-ej po południu. 36673

Potrzebny jest nauczyciel, znający gruntownie języki: polski i niemiecki. Wiadomość: Pawia 8, m. 1, między 2—4. 36749

Paryżanka udziela lekcyj konwersacji francuzkiej zbiorowej 3 razy tygodniowo, 2 godziny, 3 rs. miesięcznie. Rymarska 16. 36499

Student uniwersytetu szuka korepetycyj. Ul. Hoża 26, m. 15. 36443

Student doświadczony korepetytor, posiadający języki poszukuje lekcyj, może być za obiady. Oferty: kantor Kurjera „Studentowi." 36675

Student filolog, 3-go kursu, russki, poszukuje lekcyj. Zielna 11—8. 36654

Student posiadający język niemiecki poszukuje lekcyj lub korepetycyj, przysposabia do szkół. Krucza 48, m. 21. 3714r

Student, gruntownie posiadający matematykę i języki, poszukuje lekcyj. Jerozolimska 74, m. 11. 36681

Szukam lekcyj dla początkujących dzieci—przysposabiam do gimnazjum. Marszałkowską 110, mieszk. 19, (do 10 rano i od 4-ej po południu). 35577

Szkoła rzemiosł dla kobiet zatwierdzona przez wyższą władzę w Warszawie, Eufemji Pilniakowskiej, uczennicy mistrza Vorth'a w Paryżu, Chmielna 37, Marszałkowska 108. Kurs kroju najłatwiejszego oryginalnego Vorth'a rs. 10. Nauczycielki pierwszorzędne. Patenty po ukończeniu wydają się. 36816

Uczeń warszawskiego konserwatorjum udziela lekcyj gry fortepjanowej. Oferty pod lit. U. W. K. interesowani raczą składać w kantorze Kurjera. 17r

Zakład froeblowski Marji Keller. Senatorska № 11, dawniej dom Roezlera. 36592

Zakład naukowy prywatny męzki, 2-klasowy, przygotowuje uczniów do szkół rządowych. Elektoralna 17. Przełożony Pigłowski. 36669

Doniesienia osobiste.

Dla Izabelli list na poczcie. 36926

Ewangielik 28 lat, zajmujący posadę prokurenta w poważnym interesie w russkiem większem mieście handlowem, z pensją roczną dwóch tysięcy rubli, chce się ożenić z młodą, przystojną, dobrze wychowaną, wykształconą i posażną panną—ewangieliczką. Zawiadomienia dokąd nadsyłać oferty, prosi adresować do Kurska N. P. Ginsberg dla J. L. 36946

Swobodny ma list na poczcie od M. W. 36906

Posady i prace.

a) Poszukiwane.

Administracji lub zarządu domu poszukuje urzędnik drogi wiedeńskiej, posiada szesnastoletnią praktykę i poważne rekomendacje, włada czterema językami. Złota 2, mieszkania 11. 36688

Bona francuzka, znająca szycie, z dwuletniem świadectwem oraz druga świeżo przybyła, poszukują miejsc. Zgoda 6, mieszkania 8. 36942

Buchalter-korespondent przyjmie zajęcie po godz. 5-ej; tenże udziela lekcyj buchalterji. Świętojerska 18, m. 11. 36846

Dla braku znajomości w tych stronach, za wyrobienie posady rządcy gospodarskiemu, praktycznemu, daję rs. 40. Oferty proszę nadsyłać do kantoru Kurjera Warszawskiego pod literami Z. M. 36886

Długoletni pracownik poważnej firmy poszukuje posady w fabryce lub jakimkolwiek zakładzie, magazyniera, inkasenta i t. p., na żądanie może złożyć kaucję. Łaskawe oferty w Kurjerze pod lit. J. K. 36399

Kucharka szuka miejsca. Ulica Marszałkowska 145, m. 17. 36569

Młoda izraelitka z gimnazjalnem wykształceniem poszukuje miejsca do dzieci. Solna 9, m. 15. 36863

Osoba młoda, przybyła z prowincji, poszukuje pracy w domu prywatnym lub w jakim handlu. Wiadomość: ul. Marszałkowska № 143, mieszk. 14. 36571

Osoba młoda, przyjemnej powierzchowności, znająca buchalterję, poszukuje zajęcia kasjerki, kontrolerki lub tym podobnego.— Oferty w Kurjerze Warszawskim pod lit. M. 200. S. 36587

Osoba uzdolniona w krawieczyźnie poszukuje zajęcia w domach prywatnych, może szyć wyprawy. Oferty w Kurjerze Warsz. M. D. 36930

Osoba inteligentna życzy przyjąć miejsce do wyręczenia pani lub do dzieci. Marszałkowska 116, m. 16. 36890

Rubli 100 lub więcej za wyrobienie posady rządcy domu urzędnikowi, obeznanemu dokładnie z odnośnemi czynnościami i zajmującemu poważne stanowisko w instytucji publicznej. Oferty pod lit. A. Z. 3. przyjmuje Biuro ogłoszeń, Senatorska 26. 22r

Rubli 100 za wyrobienie posady kasjera lub inkasenta dla młodego człowieka, mogącego przedstawić gwarancję kilkunastu tysięcy rubli. Oferty: Kurjer Warsz. lit. N. W. 36787

Stroję i koreguję fortepiany. Zaszczycony zadowoleniem pp. artystów sławnych w Europie, posiadam rekomendacje; pracę wykonywam sumiennie i praktycznie. Pańska № 44, m. 1, W. Sztabernak. 36765

Z kaucją 200 rs. młody człowiek, ukończywszy szkołę handlową Kronenberga, posiadający języki, poszukuje jakiejkolwiek posady. Sumę powyższą ofiaruje za pośrednictwo w otrzymaniu korzystnej posady. Wiadomość Krakowskie-Przedmieście № 9, m. 5. 20r

50 rubli za wyrobienie posady. Oferty: poczta poste-restante lit. T. E. 36563

b) Zaofiarowane.

Czeladzie do szewca potrzebni na wyjazd. Długa 23, m. 7. 36616

Do kwiatów potrzebne panny uzdolnione i podręczne. Fabryka Górskiego, ulica Długa 23. 36762

Do cukierni M. Starorypińskiego, Wspólna 24, potrzebni są dwaj uczniowie od 13 do 15 lat. Pierwszeństwo mają z prowincji. 36666

Kucharka potrzebna, tylko z dobremi świadectwami. Krakowskie-Przedmieście № 42, mieszk. 3. 36651

Kasjerka potrzebna jest do cukierni. Marszałkowska 117. 36954

Lekarz potrzebny jest zaraz do m. Ejszyszek, powiatu lidzkiego, gubernji wileńskiej. Bliższa wiadomość u miejscowego aptekarza. 36583

Młoda osoba z dobrą muzyką żądaną jest do towarzystwa na wyjazd. Korzystne warunki. Nowy-Świat 39, Dobiecka, mieszk. 9, od godz. 5-ej. 29r

Potrzebna jest bona niemka z dobremi długoletniemi świadectwami. Wiadomość codziennie zrana między 10 a 12 i 5 a 7 po południu u adwokata, Leszno 28. 36648

Potrzebne są panny uzdolnione do staników i spódnic. S. Koral, Karmelicka № 12. 36697

Potrzebny uczeń do cukierni od 14—15 lat. Bielańska 22. 36786

Poszukuję ajenta młodego, z korespondencją francuską i russką. Wiadomość w hotelu Rzymskim № 26, od godz. 1 do 3-ej po południu. 36690

Potrzebne są panny uzdolnione do szycia kapeluszy słomkowych na maszynie. Wiadomość: Nowiniarska № 8, Friedberg. 36635

Potrzebna jest na wieś kobieta znająca się na kuchni i gospodarstwie wiejskiem. Wiadomość: ulica Nowy-Świat № 49, u p. Dawidowskiej. 36960

Potrzebne są panny uzdolnione do szycia kapeluszy słomkowych, jak ręcznie, tak i na maszynie. Zgłosić się do N. Erdreicha, Świętojerska 28. 36913

Panna, która gustownie skręca kwiaty, potrzebna zaraz. Ulica Niecała № 10, do fabryki kwiatów Peukera. 36935

Potrzebna panna zdolna do staników. Karmelicka № 6, m. 29. 36936

Potrzebni są na praktykę do szklarza chłopcy od lat 14 do 16, umiejący czytać i pisać. Senatorska № 19, pracownia szklarska. 36937

Podręczne do staników potrzebne. Leszno 4, mieszk. 5. 26r

Poszukuje się umiejącego robić wojłoki.— Elektoralna 5, mieszk. 7. 27r

Panny uzdatnione do staników i do nauki potrzebne zaraz. Orla 11, m. 37. 30r

Potrzeba uczniów na praktykę do ślusarza-mechanika. Bielańska № 16. 36864

Potrzebna zdolna panna do haftu zaraz.— Leszno 9, m. 12. 36856

Rękawiarki i spódniczarki potrzebuję zaraz. Magazyn D. Kurdelskiej, Nowosenatorska № 9. 36735

Szewccy zdolni czeladzie na wywrotki oraz męzką robotę, znajdą stałe zajęcie za dobrem wynagrodzeniem w magazynie obuwia, Przejazd № 9. 32r

Uczeń handlowy potrzebny do ekspedycji artykułu modnego, przy fabryce, na przychodniego, początkowo bez wynagrodzenia.— Długa 23, fabryka kwiatów. 36878

Zaraz potrzebny młody człowiek do sklepu dla detalicznej sprzedaży wina; kaucja 200 rs., wynagrodzenie 25 rs. miesięcznie, pokój przy sklepie na mieszkanie. Oferty składać w administracji Kurjera Warsz. pod napisem „Wino 200." 36811

Kupno i sprzedaż.

Adres malarni oraz najtańszego w Warszawie składu porcelany i fajansu. Bracka № 20, Ryszard Fijałkowski. 1185r

A) Wachlarze prześliczne od 40 kop. Leszno 41, J. Lukrec. 35858

B) Najtaniej wachlarze paryskie. Wielki wybór. Leszno 41, J. Lukrec. 35857

Adres. Meble z pięciu pokojów pozostawiono tanio do sprzedania. Krucza 21, stróż wskaże. 3720r

Bilard sprzedam wraz z kijami i bilami.— Wiadomość: Wspólna 19. 36916

Binokle, okulary ściśle zastosowane, najcelniejszych fabryk, w wielkim wyborze, „najtaniej" u optyka Juljana Drehera, Szpitalna 6. Niezamożnym od 50 kop. Przyjmuje reparacje. 36630

Bardzo ładny garnitur mebli krytych welwetem rs. 70. Elektoralna 47, m. 1. 36843

Czarne lisy pod palto, kolczyki djamentowe, lampy, kaftan z kortu do sprzedania.— Instytutowa № 8, stróż wskaże. 36462

Czarne wyborowe rękawiczki damskie na 2 guziki para 50 kop., 3 guz. 60 kop., 4 guz. 75 kop., 6 guz. 95 kop., poleca fabryka i magazyn Józefa Lukrec, Tłomackie № 3. 3650r

Do sprzedania tanio futro szopy. Piękna 45, stróż wskaże. 36799

Dobre dla podróżującego futro nowe na dublonach do sprzedania za rs. 30. Leopoldyna № 7, m. 18. 36895

Do sprzedania rotunda na lisach, modną wełną kryta. Ulica Krucza № 36, mieszk. 5, od 11—1-ej. 36889

Do sprzedania dwie pary koni dobrze ujeżdżonych w zaprzęgu, jedna para jasno, druga ciemno-gniada oraz nowe sanki petersburskie. Wiadomość: Ciepła 13, koszary żandarmskie, u wachmistrza Asafowa. 36893

Do sprzedania szeslong 14 rs., materace waldbarowe po 5 rs., u tapicera, Marszałkowska 132. 36955

Do sprzedania z powodu wyjazdu urządzenie stołowego pokoju, biurko męzkie, dwie otomany, różne szafy, wanna żelazna i inne drobne rzeczy, także żyrandol gazowy. Oglądać można po godz. 1-ej. Erywańska 5, mieszkania 15. 36723

Fortepian Kralla-Seidlera, szuba dla panienki rs. 5, materac włosiany z łóżkiem rs. 15. Aleja Jerozolimska 31, m. 36. 36903

Fortepian Kralla czarny, krótki, zr.cznego fasonu, sprzedam tanio. Daniłowiczowska 16, mieszk. 31. 36959

Fortepian 7 oktaw tanio do sprzedania. Ul. Świętojańska № 8. 36792

Fortepian bardzo dobry sprzedam lub wynajmę. Piwna 13, mieszk. 33. 36534

Fortepian sprzedaję ratami, wynajmuję, reparacje, strojenia przyjmuję. Ul. Nowy-Świat 56. 35390

Fortepian sprzedaję ratami, wydzierżawiam najprzystępniej, zamieniam, strojenia. Jerozolimska 84, Strzelecki. 34538

Fortepian do sprzedania fabryki Kralla, mało używany. Świętokrzyska 44, stróż wskaże. 36680

Garnitury męzkie na wysoki wzrost, czarny i zielony, tanio sprzedam. Wspólna 40, mieszk. 8. 36944

Garnitur mebli prawie nowy, brokatelą kryty. Złota 38, mieszk. 14. 36905

Jest do sprzedania bryczka (à la wolant) jednokonna, u kowala, bardzo tanio. Rybaki № 12. 36953

Kawior astrachański, otrzymywany wprost z Astrachania, poleca Ajencja Handlowa W. Tryniszewski. Sprzedaż odbywa się codziennie od godz. 9 zrana do 7 wieczór w kantorze przy ul. Senatorskiej № 8, na parterze w podwórzu, wprost bramy. 35174

Kasy ogniotrwałe 25% tańsze od innych cenników. Ul. Marszałkowska 125, Sikorski. 32376

Kupujemy koniczynę białą, czerwoną, nasiona, zboża różne. Mierosławski et Comp., Elektoralna 5. 21r

Lustra na raty sprzedaje miejscowym i na prowincję fabryka Maurycego Silberberga, Rymarska 8. Z powodu istniejących firm podobnych proszę uważać na dokładny adres: 8 Rymarska. 36706

Lustro toaletowe nowe! w ozdobnej ramie srebrnej, jest do sprzedania za bardzo przystępną cenę. Mazowiecka 1, m. 9. 36865

Meble za bezcen! Garnitur czarny orzechowy, lustra, rozmaite inne meble, szafy, kredens, stół, krzesła, łóżka, biuro, szeslongi, firanki. Chmielna № 37, m. 30, przy rogu Marszałkowskiej. 36943

Meble salonowe: garnitury czarne, orzechowe, fantazyjne, szafy, łóżka, umywalnie, do jadalni dębowe, szafka lustrzana, bibljoteki, otomany i inne Marszałkowska 119, w podwórzu, druga brama, mieszkania 15. 36362

Meble za bezcen! Garnitur czarny, orzechowy, lustra, rozmaite inne meble, szafy, kredens, stół, krzesła, łóżka, biuro, szeslong, firanki. Złota 3, róg Zgody, czwarty dom od Marszałkowskiej, mieszkania 4. 36239

Meble tanio, garnitur czarny, orzechowy, otomana, szafy, komody, łóżka, kredens, krzesła, stoły, szafki. Mokotowska 59, przy Placu Aleksandra, stróż wskaże. 3553r

Maszyna do prasowania kapeluszy słomkowych bardzo tanio. Świętojerska 18, mieszkania 11. 36845

Masło litewskie, nagrodzone medalami na wystawach. Mokotowska 42, do 1-ej. 33631

Masło dworskie ze wsi 30 kop. funt. Plac Warecki № 8, m. 33. 36622

Meble, garnitury, otomany, szeslongi, sofy, szafy, toalety, komody, łóżka, biurka i inne po niepraktykowanie niskich cenach. Krak. Przedm. 10, m. 6, wprost św. Krzyża. 36954

Meble do sprzedania bez foteli za 28 rs.- Chłodna 3, w straży ogniowej, u maszynisty. 36861

Maszyna Singera oryginalna z ręcznym aparatem, mało używana, za 27 rs. Chłodna 32, m. 15. 36860

Magiel do sprzedania oraz meble z powodu wyjazdu za granicę. Leszno 69, wiadomość u stróża. 36576

Na gwiazdkę od 2 rs. 50 sukienki trykotowe ładne. Przyjmują się obstalunki na staniki trykotowe (Jersey), żakiety i ubranka dla chłopczyków w ciągu 24 godzin. Królewska № 45, m. 15. 3523r

Otomanę i garnitur mebli cały kryty sprzedam. Ulica Miodowa 19, m. 1, prawa oficyna. 36465

Pozostawiono do sprzedania przysłane ze wsi lando w dobrym stanie, mocne. Adres: Krakowskie-Przedmieście naprzeciw hotelu Europejskiego, gdzie najem powozów firmy „Mackay.” 36855

Poszukuję sztychów angielskich kolorowanych, zapłacę dobrze, oraz innych starożytności. Wiadomość: kawiarnia, ulica Senatorska 32. 36713

Rękawiczki mocno szyte, na 4 guziki, para 75 kop., 6 guz. 95 kop., 8 guz. 1.20 kop. i długie balowe w wielkim wyborze, poleca fabryka i magazyn Józefa Lukrec, Tłomackie № 3. 3616r

Rubli 5 zapłacę za dobrze utrzymany egzemplarz dramatu Okońskiego „Piękna”. Bracka 13, w dystrybucji. 36590

Sanki petersburskie. Złota 26, wiadomość u stróża. 36488

Sprowadzono ze wsi do sprzedania czwórkę skarogniadych, rosłych, młodych klaczy, na wysokich chodach. Wiadomość: ulica Grzybowska № 37. 36580

Sanki większe i mniejsze, także karetę sprzedam. Nowy-Świat 32. 36862

Sprzedaję maszynę Singera nożną z przyrządem ręcznym. Żórawia 9, m. 11. 36859

Suknia ślubna, świeża i elegancka, potrzebna. Oferty w kantorze Kurjera Warsz. pod lit. M. M. 36851

Suka młoda, ceterka gordon, w pierwszem polu, do sprzedania. Wiadomość: Aleksandrja № 11, stróż wskaże. 36579

Urządzenie całe bawarji do sprzedania każdego czasu. Chmielna 14, w bawarji. 36574

Wyżły, gordon-ponter, ceter i ułożony oraz komoda jesionowa prawie nowa. żyrandol 3-płomienny zgrabny, tanio. Ulica Elektoralna 8. 36940

Wędliny litewskie, nagrodzone medalem na wystawie. Mokotowska 42, do 1-ej. 35804

Z powodu wyjazdu jest do sprzedania mały garnitur mebli, serweta włóczkowa, dywan, toaleta, lampa salonowa, „Chór kapucynów” olejny, mundur realny na 12 lat i dolman pluszowy na otyłą osobę. Wiadomość: Długa 11, mieszk. 16. 36572

Z powodu wyjazdu do sprzedania rozmaite rzeczy. Szpitalna 1—2. 36520

Żyrandol elegancki, cztery kinkiety do świec rs. 45. Wilcza 6, mieszk. 3. 36647

30 dzieł najstarszych wydań z bibljoteki jednego z arcybiskupów jest do zbycia za bardzo niską cenę. Jerozolimska 47, trzecie piętro, codziennie do 2-ej i od 4 do 8-ej. Tamże szal angielski. 36621

Interesa handl. i mająt.

Dystrybucja z towarem piśmiennym, w dobrem miejscu, jest zaraz do sprzedania z powodu wyjazdu. Marszałkowska 93. 36722

Do interesu handlowego dobrze procentującego potrzebny wspólnik chrześcjanin z kapitałem do 3,000 rs. Oferty: Kurjer „Efezowi.” 36945

Do mającego się otworzyć interesu, z zyskiem przypuszczalnym 10,000 rs. rocznie, potrzebny wspólnik lub wspólniczka z kapitałem 8,000 do 10,000 rs. Pewność kapitału zagwarantowana. Oferty pod B. M. kantor Kurjera. 36885

„Dystrybucja” bardzo tanio do sprzedania z powodu wyjazdu. Nowy-Świat 44, w dystrybucji. 36554

Jest do odstąpienia kawiarnia w dobrym punkcie, procentująca bardzo dobrze, na przystępnych warunkach, z powodu interesów familijnych. Wiadomość na miejscu, Piwna № 14, w kawiarni. 36605

Korzystne kupno domów, majątków ziemskich. Kto chce kupić tanio, proszę się zgłosić osobiście lub piśmiennie do pełnomocnika, Marszałkowska № 136, m. 15, od 5 do 7-ej, rano do 9-ej. 36898

Kawiarnia do odstąpienia oraz urządzenie z drugiej kawiarni za przystępną cenę. Ul. Długa 4, w kawiarni. Tamże kanapa wiedeńska do sprzedania. 36891

Korzystny interes. Jest do wydzierżawienia dom przy wielkim zakładzie wraz z gruntem i propinacją, w bliskości Warszawy.— Wiadomość: Warecka № 9, m. 38. 36603

Majątek ziemski sprzedam w całości, częściowo, lub zamienię na dom. Hoża 38, m. 27, od 4 do 6-ej. 36221

Magle sprzedam tanio. Nowy-Świat № 28, od 5 do 7-ej. Wiadomość na miejscu. 36921

Od 50 krów mleko jest do wydzierżawienia na garnce lub potrzebny także specjalista do wyrobu masła i sera z tegoż mleka. Gubernja lubelska, powiat hrubieszowski. Wiadomość: hotel Europejski № 150 lub ul. Królewska № 7, drugie piętro, m. 4. 36416

Osoba uzdolniona w krawieccyźnie poszukuje do wspólnego założenia pracowni osoby z małym kapitałem. Wiadomość: Leszno № 53, mieszk. 33, od 10-ej do 1-ej w południe. 36929

Piekarnia obecnie czynna, z gospodami, do sprzedania tanio. Wiadomość: Złota № 57, mieszk. 28, od 1 do 6-ej wiecz. 36588

Rubli 11,000 lokowane na 1-ym numerze hypoteki majątku ziemskiego gub. warsz., jest do odstąpienia zaraz na dogodnych warunkach. Bliższa wiadomość u adw. Michała Lewandowskiego, Krucza 34, od 5—7-ej p. p. 36472

Rubli 300 potrzeba do interesu dobrze procentującego, na dobrych warunkach. Bliższa wiadomość na miejscu, Twarda № 42, mieszkania № 3. 36652

Szynk wódek do sprzedania w każdym czasie na dogodnych warunkach. Wiadomość w składzie wędlin, Niecała № 3. 36793

Sklep dystrybucyjno-spożywczy zaraz do sprzedania. Nowy-Świat № 19. 3673r

Skład węgla w najwięcej zaludnionej dzielnicy miasta, na bardzo dogodnych warunkach natychmiast do odstąpienia. Wiadomość Chmielna № 106, w składzie węgla. 36568

Skład wódek z dobrem powodzeniem z powodu choroby właściciela jest do sprzedania. Wiadomość: Książęca 19. 36608

Sklep norymbersko-galanteryjny i materjałów piśmiennych, w dobrym punkcie miasta, do sprzedania z towarem i urządzeniem za rs. 1,000. Wiadomość w kiosku przy pomniku Kopernika. 36703

Sklep spożywczo-dystrybucyjny z herbaciarnią i mieszkaniem do sprzedania. Ogrodowa 30. 36664

Skład wędlin wraz z warsztatem, w dobrym punkcie, egzystujący od lat kilkunastu, jest do sprzedania. Wiadomość: ulica Wolska № 13, od 9 do 11-ej, w sklepie. 36459

Sklep dystrybucyjno-galanteryjno-piśmienny, od lat kilku egzystujący, jest do odstąpienia zaraz. Ul. Hoża № 5. 36643

Sklep spożywczy z zapasami zimowemi do sprzedania zaraz. Leszno № 72. 36633

Sklepik spożywczo-dystrybucyjny z przyczyny wyjazdu jest do sprzednania. Ulica Królewska № 9. 36705

Sklepik spożywczy w dobrym punkcie tanio do sprzedania. Wiadomość: Trębacka № 9, fabryka rękawiczek. 36883

Sklep spożywczy do sprzedania. Leopoldyna № 15. 36880

Skład węgla kompletnie urządzony, z koniem, wozem węglarskim, do sprzedania bardzo tanio z powodu otrzymania posady.— Wiadomość: Nowy-Świat № 44, w dystrybucji. 36858

Sklep galanteryjno-dystrybucyjny do sprzedania zaraz. Wiadomość: Podwale № 19, u rządcy. 31r

Sklep mydlarski do sprzedania za rs. 130.— Kiosk, Chmielna róg Zielnej. 16r

Sklep z pokoikiem z powodu nagłej zmiany odstąpię zaraz za 60 rs. Ulica Fabryczna № 24. 36947

Sklep z urządzeniem od trzech ulic, tanio, zaraz, lub wspólnik kolonjalny, młody, fachowiec. Wiadomość: Elektoralna 8, gdzie wina. 36941

Sklep spożywczo-dystrybucyjny do sprzedania zaraz. Nowy-Świat № 54. 36932

Skład węgli do sprzedania. Stare-Miasto № 26. 36919

Sklep spożywczy do sprzedania w dobrym punkcie za cenę przystępną. Ulica Nowolipie № 80. 36918

Sklep narożny przy ulicach Prostej i Wroniej № 24, dystrybucja i wiktuały, z zimowemi zapasami, do sprzedania. Wiadomość w sklepie. 36650

Traktjernia z flaczarnią do sprzedania. Ul. Piwna № 38. 36644

Wspólnik z 1,000 rs. może znaleźć zajęcie i dobry procent od kapitału. Hoża 78, mieszkania 18. 36806

Willa z ogrodem owocowym i zabudowaniami gospodarskiemi, przy samej stacji kolei warszawsko-petersburskiej, do sprzedania na bardzo dogodnych warunkach. Bliższe objaśnienia udzieli adwokat przysięgły Zieliński przy ul. Elektoralnej № 28. 18r

Ważna wiadomość dla mleczarni. Mleko od 20-tu krów ze wsi, może być dostarczane codziennie po cenie jaknajtańszej. Wiadomość: Grzybowska 32, w kasie przy kąpielach. 36867

Wyjeżdżam, sprzedaję pralnię i różne sprzęty kuchenne. Żurawia 19, róg Kruczej. 36634

Z powodu otrzymania posady jest do sprzedania sklep towarów kolonjalnych z urządzeniem za rs. 600. Wiadomość: skład herbaty, Marszałkowska № 130. 36438

Z powodu nagłego wyjazdu jest za bezcen do sprzedania skład wódek za rs. 600, egzystujący od lat 70 w bardzo dobrym punkcie narożnym, przy targu i przy sądzie pokoju, elegancko urządzony. Wiadomość w kiosku, Plac Teatralny obok ratusza. 36461

Z powodu wyjazdu sprzedam tanio handel kolonjalny, mydlarski, farby, dystrybucję, egzystuje lat 24, sklep obszerny, komorne tanie. Wiadomość: Bednarska 28. 36927

Z powodu wyjazdu na posadę jest do odstąpienia kawiarnia z całem urządzeniem. Ul. Hoża № 4, w bazarze Rybińskiego. Wiadomość tamże. 36908

Z kobietą pojedyńczą, fachową, która prowadzi jakąś pracownię, przystąpić mogę jako wspólniczka. Zawiadomienie złożyć w fabryce kwiatów pani Szymkiewicz, Niecała № 12. 36907

Z powodu interesów familijnych jest do sprzedania piekarnia „Nowożytnia” wraz z wszelkiemi przyborami, za cenę przystępną.— Bliższe informacje na miejscu, Tomaszów Rawski, dom Spiwaka, Hieronim Szymański. 36501

10 lat istniejący sklep spożywczy sprzedam tanio. Zielna 28, mieszk. 15. 36640

Lokale.

Do wynajęcia od 8 stycznia r. p. lokal na szynk, bawarję lub warsztat. Ulica Zgoda № 6. 36808

Do wynajęcia trzy pokoje umeblowane, przedpokój, kuchnia i usługa. Złota 31, mieszkania 14, 1-e piętro. 36871

Do wynajęcia pokój z meblami, usługą, opał. Niecała 12, stróż wskaże. 36726

Jest do odnajęcia od 1-go lutego lub wcześniej mieszkanie złożone z czterech pokojów, przedpokoju, kuchni i śpiżarki i t. d., z wodociągiem i zlewem, na pierwszem piętrze, z balkonem, przy ul. Hożej pod № 20. 36529

Lokal na warsztat zaraz. Ulica Ogrodowa № 46. 36463

Ładny pokój słoneczny, do wynajęcia zaraz, z usługą, samowarem i opałem, za rs. 8, miesięcznie. Królewska 49—19. 36870

Nowy-Świat 4—15. Pomieszczenie dla panienki przyzwoitej, fortepian, konwersacja francuzka. 34r

Od 1-go maja potrzebne jest mieszkanie 7 lub 8 pokoi, na 1-m piętrze, od frontu, w okolicach Marszałkowskiej od Królewskiej do Alei Jerozolimskiej. Oferty pod № 27, przyjmuje biuro ogłoszeń, Senatorska 26. 3738r

Od 8-go stycznia pokój z usługą, samowarem, opałem $12^1/_2$ rubla miesięcznie. Marszałkowska 140, m. 15. 36939

Pokój duży, frontowy, z usługą, opałem, herbatą, za 9, rs. miesięcznie. Chłodna 2, mieszkania 6. 36649

Pokój za rs. 6 miesięcznie przy familji z oddzielnem wejściem, na dole. Twarda 46, wiadomość u stróża. 36872

Pokój umeblowany zaraz do wynajęcia. Krakowskie Przedmieście 5, m. 25, pałac hr. Krasińskich. 36619

Potrzebne zaraz 2 pokoje, przedpokój, kuchnia, suche i z dobrym rozkładem. Elektoralna 47, m. 1. 36938

Pokój z meblami i pomieszczeniem dla kobiety. Chmielna 44, m. 7. 36877

Poszukuje się od Nowego Roku dwóch pokoi z przedpokojem, kuchnią lub bez, w stronach: Marszałkowskiej, Brackiej, Alei Jerozolimskiej. Oferty: W. G. w Kur. Warsz. 3730r

Salon i 3 pokoje oddzielnie lub razem, suche, widne, ciepłe, frontowe, z wygodami, Nowy-Świat. Wiadomość: Smolna 17, mieszkania 8. 36923

W każdym czasie pokój do wynajęcia dla pojedyńczej osoby, z wejściem osobnem, z całodziennem życiem, usługą, lub pomieszczenie dla kształcącej się sieroty, potrzebującej czułej troskliwości i opieki macierzyńskiej. Chłodna № 8, m. 32. 36436

Z powodu wyjazdu do odnajęcia 5 pokoi, łazienka etc. Szpitalna 1—2. 36521

Doniesienia rozmaite.

Akuszerka przyjmuje panie na czas dłuższy, potrzebujące dyskrecji bez legitymacji. Zaopatrzona utensyljami gwarantującemi zdrowie położnic, udziela porad swojej specjalności. Słabość, umieszczenie dziecka od 15 rub. Pokoje oddzielne. Chłodna 24. 34030

Akuszerka Bukowska przyjmuje na słabość, czas dłuższy lub kurację, bez legitymacji. Z umieszczeniem dziecięcia. Bednarska № 21. 36869

Akuszerka przyjmuje na słabość, kurację, czas dłuższy bez legitymacji, umieszczenie dziecka, pokoje oddzielne. Chłodna 21. 36888

Akuszerka b. starsza instytutu położniczego przyjmuje panie spodziewające się słabości bez legitymacji, słabość, umieszczenie dziecka 15 rs., radzi w zakresie swej specjalności. Złota 16, mieszkania 4. 36952

„Coquet” Couturiere, Nationale, Saison ceny journali podług kursów. Kottecki. Graniczna 12. 36379

Dnia 30 zgubiono kolczyk koralowy, okładany perełkami. Znalazca raczy oddać za nagrodą. Niecała № 4, m. 4. 36958

Eleganckie wykończenie sukni rs. 4, lekcje kroju kurs rs. 8. Świętojerska 18, mieszkania 11. 36844

Grywam wieczorki po rs. 3 i 5. Zakroczymska № 3, m. 9. 36899

Nagrody rs. 6. D. 30 grudnia przechodząc Marszałkowską od Siennej i Złotą do Sosnowej, zgubiono rs. 46 i rachunek ze sklepu Braudego w woreczku czarnym skórzanym. Łaskawy znalazca zechce odnieść na Złotą № 30, mieszkania 7. 36874

Na karnawał przyjmuje pracownia suknie. Fason z wszelkiemi dodatkami 8 rs. do 10 rs. Chmielna № 20, róg Szpitalnej, pierwsze piętro, dawniej Marszałkowska № 60. 36957

Odmrożenie goi niezawodnie maść z aptek F. Dziechcińskiego, Krakowskie-Przedmieście № 59, w Warszawie. 3496r

Obiady prywatne na świeżem maśle. Ul. Chłodna 10, m. 7. 36514

Od 2 rs. odrabiam suknie, szuby, uczę kroju, przyjmuję panienki na stancję do nauki. Chmielna 45, mieszkania 11, drugie piętro od frontu. 36924

Pracownia krawatów „Louise,” Orla 10, wyucza w trzech tygodniach wszelkich fasonów krawatów, oraz przyjmuje robotę z danego materjału. 3713r

Psom gubi weszki, pchły, nosaciznę, wrzody, parchy i inne choroby skórne, jedynie uznane przez Radę Lekarską, Australskie mydło restytucyjne. Mierosławski, Elektoralna № 5. 3721r

Przejeżdżając ulicami: Mazowiecką, Szpitalną i Jerozolimską dnia 29 grudnia, o godzinie $9^1/_2$ wieczorem, zgubioną została czapka prawdziwa fokowa, z umieszczoną w środku literą metalową J. Łaskawy znalazca raczy odnieść w Aleje Jerozolimskie № 43, m. 20, za nagrodą rs. 3. 36779

Pies, wyżeł duży, czarny, podpalany, rasy gordon, kulawy na prawą nogę, zginął dnia 27 grudnia, wabi się „Aldo.” Znalazca odprowadzi za nagrodą na ulicę Pańską № 16, do stróża. 36581

Potrzebuje psa pinczera odchowanego. Krucza № 40, m 3. 36853

Przechodząc Marszałkowską w poniedziałek zgubiłam kopertę z biletami wizytowemi „Aglae Gost” i spisem mebli po francuzku. Znalazca zechce takowe złożyć w Kurjerze pod literami A. G. 36857

Pianino. Ktoby pragnął powierzyć na kilka miesięcy pianino w pewne ręce, za mniejszą cenę aniżeli w składach, zechce ofertę adresować: M-me Bolko, 3 Mazowiecka, u stróża. 36854

Prywatne dobre obiady, przy ulicy Brackiej po kop. 50, które jako stołownik bardzo polecam. Wiadomość: Nowy-Świat 21, mieszkania 10. 36876

Sanki, karety wynajmuję w mieście i za miasto. Nowy-Świat 32. 35964

Szczenie rasy ratler, brązowo-podpalane zaginęło dnia 24 t. m. Odprowadzić pod № 2 ulica Żórawia, lokalu № 7, za nagrodą rs. 3. Nieprawy posiadacz pociągnięty będzie do odpowiedzialności—pies wabi się „Gyp.” 36852

W sobotę 27 zapomniano w sankach torebkę podróżną, zawierającą paszport wydany na wyjazd za granicę i rozmaite drobne przedmioty. Znalazca zwróci paszport do zarządu hotelu Krakowskiego, zaco otrzyma nagrodę. 36833

Znana pracownia sukien Kazimiery, egzystująca poprzednio przy Orlej 6, przeniesioną została na Niecałą 10. Zawiadamia zarazem, iż suknie balowe wykończa elegancko i szybko. 36882

Zamieszkała przy ulicy Wileńskiej na Pradze w domu pod № 25, mieszkania 32, młoda mężatka, ze świeżym i zdrowym pokarmem, Katarzyna Krawczak—pragnie przyjąć dziecko do piersi. 36865

5 rs. nagrody! Zginął młody wyżeł, ponter biały w żółte łaty, wabi się „Lord.” Znalazca raczy odprowadzić: Graniczna 10, mieszkania 4. 36931

17/29 grudnia przejeżdżając Alejami Ujazdowskiemi o 4-ej po południu, zgubiono niewielką żółtą skórzaną walizkę. Znalazca raczy zwrócić za nagrodą rs. 5. Piękna 4, mieszkania 4. 36766

W drukarni *Kurjera Warszawskiego.*—Plac Teatralny Nr 473c (nowy 9). Дозволено Цензурою Варшава 20 Декабря (1 Января) 1890/91 г.
Redaktor Franciszek Olszewski.—Wydawcy: Wacław Szymanowski i Antoni Pietkiewicz (Adam Pług).

nek. Byłbym w wielkim kłopocie, gdyby mi przyszło podawać tutaj treść niejednej z modnych powieści. W Londynie nawet, gdzie występek tak bezczelnie rozpościera się na ulicy, romanse francuzkie co chwila bywają konfiskowane w imię... moralności publicznej.

Nie idzie za tem, by niemoralność miała być cechą charakterystyczną powieści francuzkiej. Swoboda tego rodzaju jest udziałem małej grupy autorów, których mistrze tylko znajdują zwolenników i to mniej, aniżeli reszta powieściopisarzy francuzkich.

Na czele tej ckliwej grupy stoją dwa nazwiska: mianowicie Armand Silvestre i Catulla Mendès,—Mendès, który odpowiednio całkiem do imienia swojego, jest rzymianinem w krańcowym upadku. Czytając jego wysiloną prozę, widzimy, jak umysł swój bierze na tortury w celu wytworzenia sprośnych opowieści, któremi karmią się uczniowie dla zaimponowania kolegom i panie z pół-światka dla przepędzenia czasu.

Faktycznie jednak dzieła takich Silvestre'ów i Mendès'ów zajmują w literaturze francuzkiej tak nieznaczne miejsce, jak np. w kulinarnej sztuce paryżanina najrozmaitsze przyprawy z gniazdek jaskółczych. Są to przysmaki dla pewnych podniebień zepsutych, za potrawę zaś narodową, poważnie rzeczy biorąc, uważane być nie mogą.

Przerażająca konkurencja, plaga bieżącego stulecia, wywiera swój wpływ szkodliwy i w literaturze. Każdy rodzaj ma tylu zwolenników, iż nowo wchodzący szukają tematów nieporuszanych. Nie mieliśmy dotąd powieści opartej na zjawiskach elektrycznych, Villiers de l'ile Adam wypełnił ten niedostatek. Dotąd przed śmiercią człowieka nie robiono go bohaterem powieści lub sztuki teatralnej—czekano nawet zwykle dość długo i kiedy pewien autor przedstawił na scenie postać Daniela Manin, oburzono się nań dlatego, że syn dyktatora Wenecji żył jeszcze. Dzisiaj wszystko się zmieniło, a bohaterem „Przyszłej Ewy" Villiers'a jest Edison!

Autor opisuje, jak pewien lord angielski ożenił się z kobietą piękną, jak Venus Milońska, ale pod względem rozumu zupełną idjotką. Kontemplacja mu nie wystarcza, rozmowa zaś okazuje się niemożliwą, postanawia więc odebrać sobie życie. Wówczas Edison przez litość stwarza mu Andruidę, t. j. istotę, równie piękną, jak Wenus Milońską, a uadto rozmawiającą prześlicznie. Wkłada w nią całą kolekcję klisz fonograficznych z tekstem zapożyczonym od najlepszych autorów, muskuły jej robi ze stali (nie w przenośni, ale faktycznie), płuca z cienkich złotych kartek, niedostępnych dla bakteryj i sztuczne ciało.

Trzeba być bogatym, ażeby zostać lordem, powiada angielskie przysłowie. Trzeba być bogatym, by módz obstalować sobie Ewę według własnego gustu, powiedzieliby Adamowi XX-go wieku.

W tym romansie... elektrycznym Edison niby Hamlet miewa długie monologi, których próbkę czytelnikom podaję:

„Jak ja późno zjawiłem się pośród ludzi! Ileż to wielkich słów mogło było się uwiecznić na kartkach mojego cylindra, którego nadzwyczajne udoskonalenie przenosi nawet brzmienie fal w przestrzeni! Kto wie, czy nie zdołałbym był podczas wdowieństwa Adama uwiecznić wzniosły monolog: „Nie dobrze jest człowiekowi samotnemu"... Wszystkie doniosłe zdania ludzkie byłyby zachowane w sposób niezatarty. Możnaby usłyszeć ryk byka z Phalaris, śmiech Augurów, westchnienie Memnona do Aurory i t. p."

Powieść tego rodzaju jest sztuką łamaną, która czytelnika pozostawia chłodnym. Artyzm stylowy nie jest w stanie zastąpić głównej myśli i rozjaśnić jej ciemności.

O ileż jedni pisarze zajmują się tylko występkiem, drudzy znowu wyłącznie nauką, o tyle inni uprawiają w powieściach swoich cnotę jedynie.

Wydawca Charpentier wypuszcza całą kolekcję powieści moralnych, przeznaczonych dla zażegnania klęski, spowodowanej przez prozę Zoli i szkołę jego.

„Najstarsza siostra" Ferdynanda Calmettes'a jest jedną z opowieści, przedstawiających walkę dla obowiązku i nauczających nas, że tajemnica szczęścia leży w uczuciu ludzkiem.

Jaka szkoda, że ta nauka jest taka nudna! Impresjoniści bawią się w malowanie obrazów, na których wszystko jedną barwą odtwarzają—niebo, trawnik, człowieka i zwierzęta. Romans cnotliwy posiada niestety tę samą wadę!

Życie składa się z kontrastów, jeśli jednak marjonetki zastępować mają osoby żyjące, niechże przynajmniej te marjonetki będą zabawne. Tego celu właśnie dosięgają nowelle Leona de Tinseau p. t. „*Stras et diamant*". Nie zgłębia on charakterów, traktuje wszystko pobieżnie, ale z takim humorem, że czytelnik żalu do niego mieć nie może.

Zamknąwszy książkę wiemy, że jej bohaterowie istnieli li tylko w wyobraźni autora, z przyjemnością jednak przysłuchujemy się pogawędce człowieka dobrego towarzystwa i żywego umysłu.

Dziwnego uczucia doznaje się, patrząc na pewne pomniki współczesnej niewdzięczności! Niegdyś w salonach księcia Napoleona spotkałem p. Gilbert-Augustin Thierry, syna historyka Amadeusza Thierry'ego.

Ojciec przedstawiał możnym tego świata młodzieńca, który wówczas był wyznawcą najżarliwszym cesarstwa, a dziś korzystając z ówczesnych plotek i obmowy, kwitnącej na dworze Napoleona III-go, lekceważy w powieściach dawnych swoich protektorów.

W romansie „la Sarelli" pod przybranemi nazwiskami portretuje prawdziwe osobistości, dzieło jego jednak nie jest ani romansem, ani historją, lecz poprostu pamfletem pod postacią powieści, wystosowanym przeciwko upadłym wielkościom.

Do tej samej kategorji zaliczyć można wspomnienia dawnego adjutanta króla Hieronima, barona du Casse.

Dopóki Napoleonowie posiadali w ręku władzę, wydawał on na cześć ich monografje. Dzisiaj drukuje obmowy przedpokojowe. Co to obchodzi kogo dzisiaj, że król Hieronim w późnym wieku wziął ślub morganatyczny z włoszką i że przed śmiercią odesłał tę trzecią żonę swoją do pałacu we Florencji!...

Baron du Casse nie schlebia nieszczęściu, a jeśli Béranger według słów własnych służy tylko niedoli, p. du Casse znajduje, iż praktyczniej jest ją oczerniać.

Mówiono, iż Béranger nie przyjął krzyża legji honorowej dla odróżnienia się od innych. Otóż człowiek, stojący na widowni, a nie piszący powieści, jest równie rzadki, jak człowiek... bez orderu.

Ludwika Michel pisze powieści, Rochefort czas na to znajduje, a Paweł Deroulède, nie zadawalniając się swoją trąbką poetycką, która, między nami mówiąc, jest tylko prostym klarynetem, podaje prozą „Historję miłości". W przedmowie spowiada się jakiejś pani M. D., iż przed 20-tu laty „katastrofa wstrząsnęła życiem jego". „Zostałem odłączony nagle od swojego szczęścia, moich upodobań, młodości, a nawet przyszłości mojej, skutkiem przerażającego wstrząśnienia", woła patetycznym tonem...

Treść powieści Deroulède'a następująca:

Jakób kocha Florentynę bardzo bladą, mocną brunetkę, dwudziestoletnią margrabinę Tita, poślubioną starcowi, który ją był ostrzegł, że podejmuje ofiarę nad siły. „Klasztor za klasztor", pomyślał margrabia — margrabina bowiem mawiała często o wstąpieniu do klasztoru — „pałac mój wart jest chyba celi, a mój szacunek nie przeszkodzi jej modlitwom".

Ale ten mąż honorowy nie czuje swojej śmiesznej sytuacji wówczas, gdy żona wyznaje mu, że kocha innego. Porywa ją i oddala od Jakóba, który z rozpaczy... prowadzi życie wesołe.

Pewnego dnia Tita, ujrzawszy go w objęciach kurtyzanki, postanawia nie darować mu nigdy takiej zdrady...

Nagle zostaje wdową, a kiedy Jakób, dowiedziawszy się o tem, zjawia się u niej, oświadcza mu, iż żadna siła nie jest już w stanie wskrzesić to, co na zawsze zniweczonem zostało.

Tita wstępuje do klasztoru, Jakób dostaje pomieszania zmysłów. Oczywiście jednak wkrótce wyzdrowieje...

Jeśli to ma być romans, oparty na własnem życiu autora, jest on, przyznać trzeba, djablo banalny.

Paryżanin, zakochany przez chwilę w kobiecie wyższego umysłu i serca, po rozdziale z nią wracający natychmiast do kobiet złego życia, nie wzbudza ani wzruszenia, ani żalu.

Pośród wszystkich rodzajów powieściowych, szkoła psychologiczna, której znakomitym reprezentantem jest Paweł Bourget, trzyma prym w obecnej chwili.

Czytelnicy mają dość romansów z przykładami tego ustawicznego idealizowania dawnej szlachty francuzkiej w kraju, gdzie mówią o nałożeniu podatków na szlachtę, jak na drzwi i okna. Nie popłacają też powieści historyczne, a opowiadania fantastyczne z przymieszką nauki pobudzają do ziewania. Lubują się w drobiazgowym rozbiorze namiętności, za którym ubiegają się bez tendencji, bez celu. Zkąd przychodzi i dokąd dąży zepsucie, nikt się o to nie troszczy.

Tego, co Bourget uprawia z właściwym mu wdziękiem, Becque spróbował brutalnie w sztuce dramatycznej, przedstawiając na deskach „Komedji francuzkiej" paryżankę niemoralną bez najmniejszych „okoliczności łagodzących", bez najlżejszego wyrzutu sumienia. Publiczność zapytywała siebie, po co jej podano uosobienie występku.

— Bo podnieca—odpowiada autor

Chcąc darzyć zaufaniem powieściopisarza, trzeba pozwolić mu śledzić w przecięciu wszelką niesumienność, wyszczególniać drobiazgowo wszystkie kłamstwa socjalne, przedstawić naukowo sprzeczność całą, jaka istnieje pomiędzy moralnością publiczną, zwyczajami światowemi a prawdziwemi obyczajami.

Wiele głów lekkomyślnych zrobi zapewne skutkiem tego rachunek sumienia, czytelnik zaś przeciętny zniecierpliwi się tym nieustannym opisem plam moralnych, wytykanych z równą obojętnością, jak astronomowie wskazują plamy na słońcu.

Jak się ustrzedz od tego piętna i jak się z niego wyleczyć?... Czy poradzi co na to zaszczepienie Bourget'a, jak się szczepi ospę ochronną?...

Tymczasem powieściopisarz-psycholog posiada cierpliwość uczonego niemieckiego, który oblicza ile bakteryj zawiera w sobie kropla krwi zepsutej, zadowolony jest z każdej fermentacji moralnej, dusze zdrowe nie obchodzą go, jak ludzie zdrowi nie obchodzą lekarza, żadna zgnilizna za to nie jest mu obojętną.

Za Ludwika Filipa wierzono w zbawienny wpływ powieści. Przypuszczano, iż opisy opłakanej egzystencji ludzi wykolejonych, wzbudzając litość u zamożnych, zachęcą ich do dawania jałmużny. Dziś większość czytelników żąda powieści, któreby ich oderwały na kilka godzin od świata rzeczywistego. Ci, którzy w życiu nie umieją kochać, nie są zdolni do poświęceń ani czynów heroicznych; czytając, stawiają się w położeniu bohaterów powieściowych i odczuwają ich wrażenia... dopóki nie skończą książki. Powieść, wzięta z tej strony, jest narkotykiem i zastępuje święte upojenie wschodnich narodów. Tylko liczba bohaterów powieściowych, godnych uosobienia, zmniejsza się znacznie.

Hugues le Roux opisuje zbrodnię, mianowicie zabójstwo stróża domu w Passy, przez trzech łotrów dokonane, i rzecz przewleka uwagami swojemi nad światem złodziei...

W braku bohaterów powieściowych czytelnik zadawalnia się wrażeniami z sali sądowej, lub przejmującej dreszczem sali okropności w Muzeum Tussaud'a w Londynie.

Po psychologji następuje fotografja ulicy, odbicie różnych faktów ogólnie znanych.

Pani de Mirabeau, która pod pseudonimem „Gyp" tak świetnie stenografuje język dzieci przed czasem dojrzałych i zgrzybiałych rodziców stolicy świata, wydała teraz książkę p. t. „Wychowanie księcia".

Kilka stronic zaledwie poświęca opisowi tego, czego książęta uczą się w Paryżu, następnie zaś haftuje warjacje na znanych tematach, jak proces wdowy de Luynes przeciw jej pasierbicy. Tu i owdzie jednak Gyp rzuca uwagę czysto paryzką i szczerze zabawną. Opisuje np. wielkiego krytyka, piszącego feljeton o premjerze i zaczynającego każdy ustęp od głośnych uwag. Podług niego więc sztuka jest niedorzeczna, aktorzy mierni, dyrekcja teatru idjotyczna, wystawa szkaradna.

Kiedy zaś ulżył sobie wypowiedzeniem tego, co czuje, zaczyna pisać, odtwarzając wprost przeciwne wrażenia. I tak. Sztukę zalicza do arcydzieł, aktorów chwali bezwzględnie, dyrekcję uważa za inteligentną, a wystawę za olśniewającą.

Krytykowi nie wolno wyrażać się inaczej.

Jeżeli zaś powieściopisarz chce mieć powodzenie, nie wolno mu tracić z oczu upodobań, nieświadomości i wad ogółu swoich czytelników. Gdyby się kiedy zapomniał, wydawca za niego pamiętać będzie.

Szczęśliwiec, który zyskał niezależność, stanowi wyjątek, potwierdzający regułę. Reszta musi iść utartym szlakiem. Tak dzieje się wszędzie, nietylko we Francji. Bądźcobądź jednak, we Francji panuje jeszcze większa swoboda, niż gdzieindziej i to właśnie nadaje pewną wyższość powieści francuzkiej. Ludzie, wdzierający się na szczyty, są rzadkością, każdy się lęka zawrotu głowy i woli eksploatować to, co go nie naraża. Nawet, pisząc „Tajemnice Paryża", Eugenjusz Sue dał główną rolę księciu.

Obecne powieści zajmują się wyłącznie demokracją, natomiast to, co w nich było romantycznego, znika coraz widoczniej.

Jeżeli powieść ma znowu stanąć na wysokości zadania, trzeba, żeby społeczeństwo samo przedtem podnieść się zdołało. Społeczeństwo zaś całkiem stetryczało. A przecież strumienie światła elektrycznego nie zaślepiają go chyba do tego stopnia, by nie spostrzegło się, że ma przed sobą kolosalny militaryzm, a za sobą groźny proletarjat. Zkąd się w takich warunkach może brać usposobienie idyliczne lub heroiczne?...

Towarzystwo bawi się, nie myśląc o jutrze, nie gniewa się na autorów, podejrzewa bowiem, iż mogliby mieć rację, i kupuje opisy kopalń, nor, gdzie gnije robotnik, który dziś jest wrogiem jego, a jutro panem stać się może. A zresztą bezpieczniej

jest spotkać się z robotnikiem w książce, aniżeli w szynku d(Belleville, lub tym podobnych miejscowościach.

Władysław Mickiewicz.

Z BEZSENNYCH NOCY.

Ja płynę dalej — wy dążcie do domów;
Niechaj mi żaden z was nie towarzyszy!
Nie chcę was widzieć—bladych w ogniu gromów,
Ni ziewających bezmyślnie wśród ciszy..

Serce wam dałem — jak wulkan płomienne
To serce było bez wiedzy cierpienia,
A wyście wzięli je, o! dusze senne,
I porzucili, jak kawał kamienia.

Czemuż żyć muszę wśród was, chore karły,
Gardząc oklaskiem i wawrzynem chwały?
Czemuż — bez skargi, zawiści i wzgardy,
Jak Tytan hardy,
Idę przez życia cmentarz smętnie biały?..

Miron.

*
* *

...Podczas wystawy paryzkiej urządzono wielki przegląd międzynarodowy straży pożarnych.

Liczba ogólna, razem z cudzoziemcami, wynosiła nie mniej, jak 8,000 ludzi, wliczając już w to i ogniste, czy ogniowe kobiety. Toć to pełna dywizja—i jaka!—powołana do ciągłej, na chwilę nie ustającej czujności, pozostająca bowiem ustawicznie na stopie bojowej, w stanie walki, walki rzeczywistej, brzemiennej śmiercią i kalectwem. Jest to więc także rycerstwo, które na śmierć idzie, by ofiary jej wydzierać...

Szczytne, zaiste, zadanie!

Bywałem niekiedy świadkiem ratowania w płonących domach. W oczach mi stoi jeden mianowicie obraz. Płomień objął piętra dolne i darł się ku górze, schody gorzały, z okien dymy buchały; na piętrach górnych pozostawali mieszkańcy, skazani na spalenie. Zdawało się, że ratunku dla nich nie było.

Aż tu naraz na ścianach zewnętrznych pojawiają się szafirowe, czerwonemi paskami przepasane, w złocistych na głowach hełmach postacie ludzkie. Pojawiły się i pełzną, niby koty się drapią, wlokąc za sobą płachty jakieś podłużne, mające pozór płócien, rozwijanych z półsetka. Nie zawadzają im one. Wdrapują się z gzymsu na gzyms — z piętra na piętro. Płomień pomyka za nimi, ale oni płomień wyprzedzają. Dopadli piętra górnego, znikli i naraz płótna, które oni ciągnęli, zmieniły się w rury płócienne, idące z góry do dołu, i w jednej z nich pojawił się przedmiot jakiś, który się szybko z góry w dół przesunął. Na dole się wynurzył. Był to człowiek, ogniowi z objęć wydarty i w rurę wrzucony. W drugiej rurze toż samo z kobietą się stało — kobieta zsunęła się zemdlona.

W sposób ten uratowano kilkoro obojga płci różnego wieku ludzi. Ratunek ten, widzów—w liczbie ich i mnie—w zachwyt wprawił. Zręczność i odwaga dokazały cudu, o którym się nie rozpisywano szeroko, który jednak w niczem nie ustępuje heroizmowi, notowanemu jako przykład pokoleniom późniejszym, w dziejach.

Wiemy, kto najwięcej ludzi zabił; nie wiemy, kto najwięcej uratował. A przecie...

T. T. Jeż.

POTWARCOM PIEŚNI.

Wy się śmiejecie z uroków i cudów,
Wy się śmiejecie z fantazji polotów,
Z mistrzów poezji, z przedniej straży ludów
Czyniąc Orlandów albo Don Kiszotów;
Pieśń, która serca, wśród życiowych trudów,
Strzegła od bólu i od zwątpień grotów,
Co wiodła duchy pod tarcz słońca złotą
Z sfer ideału chcecie zepchnąć w błoto.

Chcecie ją w błoto zepchnąć i pokalać,
I archanielskich pozbawić ją skrzydeł:
Serc nie powinna wiarą dziś ostalać,
Ani słonecznych tworzyć malowideł,
Ani nad głodem duchów się użalać,
Karmiąc je chlebem tęczowych mamideł,—
Niech ona świata nie czyni piękniejszym,
Niech żyje bytem ludzkim — i dzisiejszym...

Niech żyje bytem dzisiejszym?! Więc chcecie
W strofach pieśniarzy słyszeć nerwów granie?
Najbrutalniejsze zmysłowe zamiecie?
Najszlachetniejszych porywów konanie?
W tych dziwnych pieśniach wszystko to znajdziecie
Co najbrudniejsze wydają otchłanie,
Wszystko, co dzisiaj ludzkim duchem miota—
Władzę niewiary i gorączkę złota...

Pod czaszką gniazda znajdziecie wężowe,
W półtrupich piersiach chłodną lodu bryłę;
Dziś tłum nie patrzy w stropy lazurowe,
Zgniłe ma żądze i myśli ma zgniłe;
On nie wie, kędy jego drogi nowe,
Zkąd ma nadzieję, zkąd ma czerpać siłę
I gwiazd już swoich nie szuka na niebie —
On stracił wiarę i w Boga, i w siebie!

Więc o czem śpiewać?... O tym nędznym tłumie,
Co zda się z nerwów zlepionym i z kału?
Co, tracąc zmysły w orgji duchów szumie,
Drwi z epopei piękna i zapału,
Co już samego siebie nie rozumie,
W przepaść nicości zstępując pomału,
I bierze rozbrat z każdem bohaterstwem,
Żyjąc z szyderstwem, konając z szyderstwem?

Więc o czem śpiewać? O zgniliźnie bytu?
O żądz przesycie lub żądz rozbestwieniu?
O zmroku h nocy bez nadziei switu?
O hańbie duchów i serc potępieniu?
O tym chaosie, pełnym jęku, zgrzytu,
Co z blasków powstał, a nurza się w cieniu,
Co upodleniem skończy się i gniciem,
A dziś ludzkości światem jest i życiem?!

O nie! Pieśń winna czystą być i jasną,
Winna być ludów wieszczką i mistrzynią,
Wypiękniać duchy swą pięknością własną,
(Tak blaski słońca nawet z błotem czynią);
Miłość i wiara nigdy w niej nie gasną,
A dom jej nie jest kramem, lecz świątynią,
Ona byt ziemski wznosi i uświetnia
I nie poniża — ale uszlachetnia...

Pieśni niewolno tarzać po kałużach,
Jak niepodobna orła zmienić w żmiję.
W życiowych smutkach i w życiowych burzach,
Gdy serca stygną, gdy zmrok niebo kryje,
Niech ona śpiewa o majowych różach,
Niech ona wianki z wonnych kwiatów wije,
Niech wiosennemi barwy świat obleka,
Choć zima blizka... choć wiosna daleka...

Dzisiaj, gdy wszyscy prawie zapomnieli
O krajach marzeń, uniesień i złudzeń,
Niechaj pieśń spłynie w swej dziewiczej bieli
Niech tłum oczyści z duchowych obrudzeń,
Niech serca wskrzesi i myśl wyanieli
I da sen złoty... choćby bez przebudzeń,
Niech świat ukaże w barw tęczowych ramie —
Niech ona kłamie — lecz szlachetnie kłamie..

A jeśli chcecie, by inaczej śpiewać,
By schlebiać czerni zgłupiałej i nizkiej,
By jadem bryzgać i błoto rozlewać,
I czystych natchnień gasić złote błyski,
I w arlekinów szaty się odziewać,
I mieć dla podłych sprzedajne uściski, —
Wy tego chcecie... trzeba wam pieśniarzy
Z przegniłą piersią i z hańbą na twarzy...

Bo tych, co wierzą w kapłaństwo śpiewaków,
Co nad chwilowe wyżsi są zamiecie,
Tych wam nie ściągnąć z napowietrznych szlaków,
Tych wam nie ujrzeć w innym niż ich świecie;
Wy do pełzania lotu orlich ptaków
I do swej woli nigdy nie nagniecie,
I nie zmienicie w własnych bóstw bluźnierce —
Chyba wprzód mózg im wydrzecie i serce!

Or—ot.

*
* *

Prawo tem jest w życiu społecznem, czem powietrze w życiu fizycznem. Im mniej w powietrzu zbytecznych, szkodliwych dla zdrowia składników, tem normalniejsze są funkcje życiowe. Obecność w atmosferze wrogich życiu organicznemu pierwiastków łamie je lub zabija. Kataklizmy w naturze odświeżają atmosferę, usuwają pierwiastki zabójcze, zwracają organizm do warunków normalnych=rozwoju naturalnego.

Emil Weidel.

Naprożno...

Kto, krokiem chwiejnym drogą idąc grzązką,
Gdzie wsiąkły łez jego strugi,
Rzeknie: „Spłaciłem ludziom już z nawiązką
Znojem prac krwawych me długi;
Póty w pierś brałem ciężką ich niedolę,
Aż w pierś tę, bólem ich ranną,
Padło szyderstwo, jak szarańcza w pole,
Choć plon miał słodką być manną.

„Dziś jestem syty skarg i nienawiści;
I jak bluszcz, co zimne głazy
Tuli miłośnie zielenią swych liści,
Lecz, gdy pleśń zgryzie je w skazy,
Prostuje w górę gibkie latorośle,
Choć wiatr je jak źdźbła rozmiata —
Tak ja, swe ramię cofnąwszy wyniośle,
Serce odwracam od świata.

„Dziś gardzę ludźmi! Pragnąc żyć spokojny,
W bratnie te hasła nie wierzę,
Co grzmią pobudkę podjazdowej wojny,
Gdzie ran nie goi przymierze.” —

Ten próżno broni się myślą i słowy,
By nie stać w braterskem kole,
Bo, żyjąc, musi wlec spójni okowy,
I dzielić radość i bole.
Nieraz — wślad za nim współczucia westchnienia
Dźwięczą, jak złotych harf echa,
I wzrok litosny łzą się doń spromienia
A obce dziecię uśmiecha...

Kto wodwet tego, co od bliźnich bierze,
Potrząsa sakwą swą próżną,
Choć się ozdabia w swej pychy puklerze,
Jak nędzarz, żyje jałmużną.

El—ka.

MATKA.

(Z cyklu pod tytułem „PYŁKI”.)

Z jakąż niewytłumaczoną trwogą przekradałem się przez cienisty park...

Noc była, księżycowa noc; powietrze parne i cisza zupełna dokoła. Nie trwożył więc mnie nawet szum gałęzi i szmer liści. Wszystko w naturze stało spokojnie, jakby pod jakiemś tajemniczem zaklęciem.

Ale w sercu mojem za to coś drżało... nie wiem dlaczego.

Bo przecież to nie pierwszy raz wracałem tą samą drogą, o tej samej porze, nasycony wszystkiem, co świat i największa jego rozkosz, miłość, dać może... Nie pierwszy raz przekradałem się przez te wązkie, zarośnięte dróżki, i nie pierwszy raz słyszałem donośny odgłos swoich własnych kroków w tej długiej, szerokiej alei grabowej... Nie pierwszy raz, śpiesząc tak i wdychając w siebie woń letniej nocy, czułem jeszcze na swoich ustach jej namiętne pocałunki, na ramionach jej uściski, na szyi jej pieszczoty... i nie pierwszy raz, wraz z dalekiem nawoływaniem świerszcza, dźwięczały mi w uszach jej ciche wyznania...

Tak! Nie pierwszy raz..

A jednak w tę parną, spokojną noc, dopiero po raz pierwszy stanęło mi w myśli pytanie:

— Coś uczynił?...

I po raz pierwszy na każdej szczelinie, przez którą się blask księżyca przedzierał, wyrastała przedemną dumna postać—*jego*, tego człowieka, którego okradałem... Zdawało mi się, że co chwila zastępuje mi drogę, aby się zapytać, czemu odbieram mu szczęście, czemu wyrywam mu skarb najdroższy?!...

Czy ja wiem czemu... Mimowoli poniosłem chustkę do ust, aby zetrzeć ślady, jakie na moich wargach zostawiły jej wilgotne usta... Tak! bo przecież ja jej nie kocham!... nie kocham jej, jeśli tylko słodycze od niej biorę, jemu pozostawiając wszystko!...

Z trwogą dziwną wpadłem do mojego pokoiku.

Taka sama tam cisza panowała, jak w parku, i tak samo blade światło księżyca drgało na meblach, na łóżku, na zegarze i na drzwiach sąsiedniego pokoju...

Usiadłem w oknie...

Z klombów kwietnych przypływała do mnie odurzająca woń...

I przypomniałem sobie cały wieczór dzisiejszy.

...Po zachodzie słońca poszliśmy razem do ślicznego małego gaiku. Ona miała swobodną różową sukienkę, przepasaną paskiem, kapelusz duży, słomkowy. Szliśmy przez pola i łąki, pod rękę. I pamiętam, jak co chwila ręce nasze drżały, tuląc się do siebie.

Przed nami biegło dwoje tych miłych, wesołych dzieciaków, wciąż śmiejących się, gotowych do wszystkiego na każde skinienie matki i co chwila pocałunkami osypujących białe jej dłonie...

Oboje zbierali kwiatki polne... Później, w gaiku, ofiarowali jeden bukiecik matce, drugi mnie...

Cóż to było radości i śmiechu, kiedyśmy się zaczęli z niemi bawić!... Kiedyśmy zaczęli wraz z niemi biegać, gonić się, chwytać motyle!...

Po wieczerzy na ganku, matka natychmiast kazała im iść spać... I wówczas... wówczas zostaliśmy znowu sami, znowu sami!... Tylko ona i ja!...

Odskoczyłem od okna, bo mi się znowu zdawało, że z pośród nieśmiertelników, rezedy, róż i hjacyntów wysuwa się—*on*, z wyrzutem na ustach i zemstą w dłoni...

Wybiegłem do sąsiedniego pokoju, jak gdyby chcąc uciec przed widmem... Później, na palcach, przeszedłem do pokoju trzeciego, czwartego—i zatrzymałem się...

Byłem w sypialni mojej matki, tuż obok niej...

Leżała na łóżku i spała, oddychając ciężko, jak oddychają wszystkie staruszki.

Księżyc przez wielkie story przekradłszy się, srebrzył jej i tak już srebrzyste włosy i rozświetlał głębokie bruzdy koło ust, oczu i na czole...

Zapatrzyłem się w jej spokojne oblicze, wsłuchałem się w jej westchnienia.. I nagle tchu mi zabrakło w piersiach.

— Cobym uczynił—pomyślałem sobie, drżąc cały—gdyby mi jaki niegodziwiec powiedział, iż przed laty tak samo skalano moją matkę, tę najświętszą dziś dla mnie staruszkę, jak ja dzisiaj skalałem matkę tych dwojga miłych, wesołych dzieciaków?... cobym z sobą uczynił?!...

Ursyn.

KALENDARZ.

Imiona słowiańskie: Dziś Mieczysława b., Jutro Strzeżysława.

Wystawy: Wystawa Towarzystwa sztuk pięknych. (Krak.-Przedm. № 15—od 10-ej rano do 5-ej wieczorem.)— Wystawa obrazów Krywulta. (Hotel Europejski—od 10-ej rano do 7-ej wieczorem.) — Wystawa obrazów spółki malarzy i rzeźbiarzy. (Nowy-Świat № 56—od 10-ej rano do 7½ wieczorem.)—Wystawa prób i wzorów przemysłu fabrycznego i rękodzielniczego. (Gmach Muzeum przemysłu i rolnictwa na Krak.-Przedm., 66—od 11-ej rano do 2-ej po południu. Wejście bezpłatne.) — Wystawa etnograficzna, złożona z przeszło 1,000 okazów, przywiezionych przez p. Leopolda Janikowskiego z południowo-zachodnich brzegów Afryki. (Muzeum przemysłu i rolnictwa na Krak.-Przedm., 66—od 10-ej rano do 3-ej po południu.)

Teatry: Letni: dziś „Romeo i Julja" (z udziałem panny Klary Cordier, oraz p. Aristodemo Sillicha); jutro „Zabobon"; Rozmaitości: dziś „Klub kawalerów" (1-szy raz); jutro „Klub kawalerów";—Mały: dziś „Zabobon"; jutro przedstawienie zawieszone. (7½ wieczorem.)

Ogród zoologiczny: ulica Bagatela. (Otwarty codziennie od 10-ej rano do wieczora.)

Lombard miejski: Gotówki w kasie lombardu do rozdania na zastawy znajduje się na dzień jutrzejszy rs. 819 kop. 79. (Pożyczki wydawane będą. Wykup i prolongata uskuteczniają się od 9-ej rano do 1-ej po południu.)

— W dniu jutrzejszym odprawione będą solenne wotywy w kościołach:

archikatedralnym św. Jana, w kaplicy Pana Jezusa, o godz. 9-ej zrana;

św. Ducha (po-paulińskim), ku czci Matki Boskiej Częstochowskiej i przed Jej ołtarzem, o godz. 9-ej zrana;

Opieki św. Józefa (panien wizytek), jako w pierwszy piątek rozpoczętego miesiąca, o godz. 9-ej zrana, z wystawieniem N. Sakramentu;

św. Trójcy (po-trynitarskim), przed ołtarzem Pana Jezusa Nazareńskiego ku uczczeniu Męki Pana Jezusa, o godz. 9½ zrana, poczem podawany będzie do ucałowania relikwjarz z drzewem Krzyża św.

1-szy stycznia.

Jeżeli który z przygodnych mówców wczorajszych, wznosząc kieliszek z wybiciem godziny 12-ej w nocy na cześć Nowego roku, zagalopował się i przemówił np. tak:

„Panowie, *w tej oto chwili* mieszkańcy naszego globu witają przybycie Nowego roku..."—mógł go kto pociągnąć za rękaw i powiedzieć:

— Panie, przedewszystkiem Rok nowy *rozpoczyna* się w ciągu całej doby...

I miał rację, pomimo pozornego paradoksu.

Wiemy przecież, że dzień w różnych punktach ziemi nie o jednej rozpoczyna się porze. Miejscowości, położone na wschód od Warszawy, mają początek dnia wcześniej, na zachód zaś później. Wynika to, jak wiadomo, z pozornego ruchu słońca, które kolejno wchodzi na południki różnych miejscowości naszej ziemi.

Gdzie jednak dzień zaczyna się najwcześniej i gdzie, co za tem idzie, mieszkańcy najpierw mogli powitać Rok Nowy?

Właściwie nigdzie i wszędzie. Astronomowie, tyle dbali o ścisłość swych obrachowań, nie używają do nich t. zw. „roku obywatelskiego"—to też kwestja powyższa powstała dopiero z chwilą rozgałęzienia się stosunków wzajemnych na całej kuli ziemskiej, a zwłaszcza od czasu, w którym podróże „na około ziemi" stały się rzeczą powszednią i z interesami handlowemi ściśle związaną. Wtedy to pomyślano o ustanowieniu „granicy dat".

Niejeden z czytelników przypomina sobie ciekawe przygody bohaterów powieści Juljusza Verne'a p. t. „Podróż na około ziemi w ciągu 80-ciu dni", która posłużyła nawet za temat do przeróbki scenicznej, grywanej u nas na scenach ogródkowych. Otóż rozwiązanie tej powieści polega, jak wiadomo, na tem, że jakkolwiek podróżnicy, według własnego obrachowania, spóźniają się o dzień jeden, jednakże wygrywają zakład, gdyż w miejscu ich wyjazdu przez ten czas upłynęło tylko dni 80. Innemi słowami: podróżnicy, jadąc na wschód, t. j. na spotkanie słońca, widzieli je 81 razy na różnych południkach, w tym samym jednak czasie w miejscu ich wyjazdu widziano słońce tylko 80 razy na południku. Gdyby przeciwnie podróżnicy udali się w kierunku zachodnim, czyli, że tak się wyrazimy, uciekali przed słońcem, wtedy widzieliby je na południku tylko 79 razy. Dzieje się to przy każdej podróży naokoło ziemi i każdy kapitan okrętu wie o tem dobrze, że, udając się na wschód, winien w dzienniku okrętowym jedną datę zamieścić dwukrotnie, a na zachód—jedną datę przeskoczyć.

Nie odrazu jednak fakt ten spostrzeżono. Kiedy np. Sebastjan del Cano, pierwszy strernik wyprawy Magellana, zabitego na wyspach Filipińskich, powrócił do Hiszpanji, osada i sam jej dowódzca niemało byli zdziwieni, że data ich dziennika okrętowego różni się od daty w miejscu ich przybycia. Zgorszenie osady było tem większe, iż w ten sposób wszystkie święta obchodzone były przez nią fałszywie...

Dziś, chociaż fakt ten nie zdziwiłby nikogo, powstała potrzeba ustanowienia granicy, od której możnaby liczyć początek dnia dla kuli ziemskiej. Taką granicą jest dla żeglarzy południk 180-ty od Ferro, Greenwich i t. d. Jeśli żeglarz przepływa go na wschód, wówczas liczy jedną datę dwa razy, jeśli przepływa w kierunku zachodnim, przeskakuje jedną datę i liczy dzień następny.

Przyjęcie danego południka za linję, wzdłuż której rozpoczynałby się dzień na całej kuli ziemskiej, byłoby rzeczą najnaturalniejszą, skutek jednak używania odmiennych południków przez różne narodowości (południki Ferro, Greenwich, paryzki i t. d.) i innych czysto postronnych przyczyn, właściwa granica dat nie zbiega się z żadnym południkiem i jest linją nieregularną. Biegnie ona, poczynając od bieguna południowego, na wschód wyspy Chatham, około Nowej Zelandji, stałego lądu Australji, następnie przechodzi pomiędzy Nową Gwineją a wyspami Karolińskiemi, omija na zachód wyspy Filipińskie i Marjańskie, przechodzi na wschód około archipelagu Japońskiego i wysp Kurylskich, wreszcie kończy się w cieśninie Berynga.

Teraz już można odpowiedzieć na pytanie, gdzie najwcześniej rozpoczyna się dzień, a więc i dzień Nowego roku.

Rok Nowy witają tedy najwcześniej mieszkańcy wyspy Chatham, nowozelandczycy, następnie mieszkańcy lądu stałego Australji i tak koleją.

Gdy w Warszawie zegary wydzwoniły 12-tą i zapowiedziały przybycie Nowego roku—rok ten miał już historję przeszło 10-godzinną!

Wynika ztąd, że Rok nowy rozpoczynał się na kuli ziemskiej, gdy w Warszawie na zegarach dochodziła wczoraj godzina 2-ga.

Natomiast i dziś jeszcze, gdy numer noworoczny *Kurjera* opuszcza prasę, niektóre miejscowości na naszym globie liczą jeszcze datę 31-go grudnia.

Kto ciekawy, niech zajrzy do kalendarzy, które posiadają tabliczkę „Porównania czasu", a z łatwością obliczy sobie, że gdy w Warszawie rozpoczynał się rok Nowy, była już na Nowej Zelandji godzina kwadrans po 10-ej rano, w Sydney godzina prawie 9-ta rano, w Kalkucie—wpół do 5-ej rano, w Bombaju—wpół do 4-ej rano i t. d.

Z kolei znów Warszawa uprzedziła w powitaniu Nowego roku: Berlin o pół godziny, Paryż—o 5 kwadransów i t. d. W Nowym Jorku był wtedy jeszcze 31-szy grudzień godzina 5½ po południu, a w San Francisko dopiero 2½ po południu również 31-go grudnia.

W Rio Janeiro dzień rozpoczyna się o całe cztery godziny i kwadrans później, niż w Warszawie. Bawiący zatem w Brazylji Adolf Dygasiński o tyle dłużej musiał oczekiwać na powitanie Nowego roku...

Deodat.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

= Dzienniki petersburskie donoszą, iż w sferach rządowych poruszona została kwestja zreformowania instytucyj komisarzy sądowych (komorników). Jednocześnie, jak donosi wzmiankowana gazeta, ma być podwyższony cenzus obowiązkowy dla osób, zajmujących wzmiankowane posady.

= Rada adwokatów przysięgłych w Moskwie wydała niedawno szereg przepisów, ograniczających działalność pomocników adwokatów przysięgłych. Przepisy te znalazły licznych oponentów nietylko w gronie pomocników, lecz i wielu ich patronów. Jedni i drudzy wystąpili ze zbiorową skargą na postanowienia rady przed izbą sądową. Izba uznała się za niekompetentną w tym razie, gdyż dozór nad adwokatami przysięgłymi i ich pomocnikami należy wyłącznie do rady adwokackiej. Działalność rady pod względem tego dozoru nie ulega kontroli izby, gdyż do izby mogą być podawane skargi jedynie na decyzje rady, mające charakter postępowania dyscyplinarnego. Izba uchyliła tylko jedno postanowienie rady adwokackiej, mianowicie dotyczące wykreślenia 19-tu pomocników adwokatów przysięgłych, a to dlatego, iż rada nie umotywowała swego wniosku, jakoby owi pomocnicy nie zastosowali się do wydanych przez nią przepisów.

= Instytucja wzajemnego ubezpieczenia gubernjalnego od ognia w Królestwie Polskiem posiada fundusz zapasowy w wysokości 2,492,475 rs., deponowany w Banku państwa. Składka ogniowa, według rozkładu na r. 1891-szy, wyniesie 2,962,548 rs. Wysokość odszkodowania strat ogniowych, określona według przeciętnej z trzech lat ubiegłych, uczyni w tymże czasie 3,261,925 rs. i koszta administracyjne około 140,000, tym sposobem, według preliminarza budżetowego, fundusz zapasowy asekuracji gubernjalnej w d. 13-ym stycznia 1892-go r. zmniejszy się do 2,046,772 rs.

= Przy kasacji zgromadzeń zakonnych w Królestwie Polskiem członkowie tychże, którzy wyjechali za granicę bezpowrotnie, otrzymują od skarbu zapomogę w kwocie 150 rs. rocznie. W r. 1891-ym zapomoga rzeczona wypłaconą zostanie następującym zakonnikom: Justynowi Kalinowskiemu, Hermenegildowi Frydrych, Janowi Nowakowskiemu, Szymonowi Łukaszewskiemu, Tomaszowi Szlapczyńskiemu, Feliksowi Gawrońskiemu, Telesforowi Dybisbańskiemu, Brunonowi Kubikowi, Andrzejowi Prawdzikowskiemu, Leonowi Przyłuckiemu, Augustynowi Czekalskiemu, Klemensowi Kucharczykowi, Aleksemu Lenarkiewiczowi, Andrzejowi Strupińskiemu, Józefowi Grefe, Emilowi Hoch, Tomaszowi Eleszuk, Stanisławowi Miaskowskiemu, Józefowi Rosset, Wojciechowi Motyczyńskiemu, Andrzejowi Szczęsnemu, Józefowi Bytkowskiemu, Kwirynowi Zielińskiemu, Adamowi Lipińskiemu, Erazmowi Sobocińskiemu, Paschalisowi Motyczyńskiemu, Jakóbowi Świątkowskiemu, Ignacemu Rakowskiemu i Szymonowi Wilczyńskiemu. Ogółem dotąd jeszcze korzysta z zapomogi 29 osób.

= Wczorajsza licytacja w tutejszym magistracie na dostawę w ciągu r. 1891-go dla wodociągów miejskich i innych potrzeb zarządu m. Warszawy 150,000 pudów węgla kamiennego z szachty „Wilhelmina" kopalni „Solec" hr. Renarda, z kopalni „Rudolf" w Niwce, lub też z kopalni „Miłowice", nie dała ostatecznego rezultatu, z powodu złożenia przez p. Borkowskiego najkorzystniejszej dla kasy miejskiej deklaracji, mianowicie po 12¾ kop. za pud, lecz na węgiel z kopalni „Jan" i „Flora", a więc nie taki, jaki był wymagany. Najkorzystniejszą zatem dla kasy miejskiej deklarację na węgiel właściwy, mianowicie po 12·95 kop. za pud, złożyła firma Samuel i Michał Bergson. Komisja licytacyjna, nie będąc sama kompetentną w rozstrzygnięciu kwestji, czy deklaracja p. Borkowskiego uznaną być winna za ważną, zwróciła się z tem do magistratu, który wyda swoją opinję dopiero za dni kilka.

= Przerwane czasowo z powodu feryj świątecznych zajęcia praktyczne w Muzeum pszczelniczem (Koszykowa 41), rozpoczną się nanowo z d. 15-ym stycznia. Pod tymże adresem w kancelarji Muzeum informować się można we wszelkich kwestjach pszczelarskich, kupna uli itp.

= W dniu 19-ym grudnia r. b. na posiedzeniu komitetu i reprezentantów Towarzystwa resursy obywatelskiej wylosowano następujące numera obligów subrogacyjnych 100-rublowych tegoż towarzystwa: 44, 54, 122, 209, 333, 383, 387, 416, 419 i 429. Należność za obligi wylosowane wypłacana będzie od d. 20-go b. m. w kancelarji resursy.

= W dniu wczorajszym liczba miejsc wolnych w szpitalach warszawskich wynosiła: w szpitalu św. Łazarza 57, św. Rocha 12, św. Ducha 4, żydowskim 8, wolskim 5 i zapasowym 3.

= Rada miejska dobroczynności publicznej na ostatniem posiedzeniu zatwierdziła na r. p. etat ogólny szpitala na Pradze, ustanowiony na 60 chorych obojga płci, z dochodem i wydatkami, obliczonemi na rs. 13,283 rocznie.

= Prosektor uniwersytetu warszawskiego, lekarz p. Ciągliński, wydelegowany został za granicę w celach naukowych na cztery miesiące.

= **Z teatru i muzyki.**

* Dzisiaj w ogrodzie Saskim „Romeo i Julja", w Rozmaitościach pierwszy raz komedja Bałuckiego „Klub kawalerów", a w Małym „Zabobon".

* Na dzień jutrzejszy repertuar zapowiada w ogrodzie Saskim „Zabobon", a w Rozmaitościach „Klub kawalerów".

W teatrze Małym widowiska jutro nie będzie.

* Na repertuar teatru Rozmaitości wejść ma wkrótce komedja Becque'a „Paryżanka".

Jednocześnie wystawiona zostanie w teatrze w ogrodzie Saskim „Roznosicielka chleba".

* Teatr Mały przystąpi obecnie do wystawienia krotochwili Karola Laufsa, przerobionej z niemieckiego, „Szalony pomysł", tudzież wodewilu Meilhaca i Halevy'ego „Rudowłosa" (*La Roussotte*).

* Towarzystwo muzyczne zakończyło wczoraj rok ubiegły wieczorem „mniejszym" o improwizowanym niemal programie.

Chór Gounoda „W stajence", osnuty na starodawnej francuzkiej pieśni kolędowej (Noël), posłużył za prolog.

Następnie śpiew panny Wędrychowskiej i p. Szajdera, gra fortepianowa p. Golmera, oraz nader zręcznie wypowiedziany przez pannę Karolinę Święcicką monolog Dancourta, stanowiły główną treść koncertu.

Z nowości wyróżniały się dwa epizody z pracy Z. Noskowskiego p. t. „Melodies rutheniennes", wykonane przez autora i p. Golmera.

= Wieczór u subjektów.

Na zakończenie starego roku w dniu wczorajszym, w lokalu Towarzystwa subjektów przy ulicy Miodowej danym był wieczór tańcujący, na który zebrało się sto kilkadziesiąt osób obojga płci.

Damy w toaletach skromnych.

Tańce rozpoczęto o godz. 11-ej polonezem.

W chwili, gdy to piszemy (godzina 1-sza po pół-

nocy) w najlepsze idzie mazur, dzielnie prowadzony przez pp. Jana Waligórskiego i Fr. Gorywodę.

Do mazura stanęło czterdzieści kilka par.

Z rozochoconych min tancerzy i nadobnych tancerek wnosić należy, iż zabawa przeciągnie się do białego dnia.

= Zabawa gospodarska.

Zasoby bazaru niedzielnego z każdym dniem, dzięki ofiarności kupców i ziemian, powiększają się.

Dochodzi nas wiadomość, iż w wielu okolicach kraju odbywają się łowy z przeznaczeniem upolowanej zwierzyny do namiotów bazarowych.

Oprócz zajęcy, cietrzewi, kuropatw, należy się spodziewać sarn i dzików.

Trofea myśliwskie, oprócz swej realnej wartości, znakomicie salę przyozdobią.

Protektorki zabawy przygotowują kosze szczęścia z cennemi przedmiotami.

Każdy za złożeniem skromnego datku będzie mógł kusić fortunę.

Grota neapolitańska, sądząc z dokonywanych prób, wywrze niesłychany efekt.

= Bal artystyczny.

Zaprojektowany przez komitet Towarzystwa sztuk pięknych na bieżący karnawał bal artystyczny, z przeznaczeniem dochodu na powiększenie funduszu budowy własnego gmachu, na ten raz nie spełznie na obietnicach.

W roli gospodarzy, oprócz malarzy miejscowych, wystąpi kilku stale zamieszkałych w Monachjum.

Termin balu wkrótce będzie oznaczony.

= Szkoła zecerów.

Według ustawy, obowiązującej zgromadzenie drukarzy, uczniowie mogą być uznani za wykwalifikowanych wtedy dopiero, jeżeli na egzaminie udowodnią, iż z łatwością są zdolni odcyfrowywać i składać rękopisy w językach: francuzkim, niemieckim, łacińskim i greckim.

Dotąd warunek ten był lekceważony, głównie z powodu zupełnej niemożebności nabywania przez uczniów drukarskich języków obcych.

Traci na tem ogół zecerów, którzy, zmuszeni do poprawiania parokrotnego korekt rękopisów z wyrazami cudzoziemskiemi, zmniejszają swoje dzienne zarobki.

Celem dania możności uczniom należytego kształcenia się w fachu, urząd starszych zgromadzenia stara się o wyjednanie decyzji, iżby w szkołach 4-klasowych niedzielno-rzemieślniczych, po ukończeniu zwykłych godzin zajęć, odbywały się wykłady przynajmniej języka francuzkiego i niemieckiego dla uczniów drukarskich.

Odpowiedni w tym przedmiocie wniosek uczyniony został do magistratu.

Jaki sprawa ta weźmie obrót—przesądzać trudno; w każdym razie przed powrotem p. prezydenta żadne kroki poczynione nie będą.

Sądzimy wszakże, iż byłoby rzeczą stosowną, gdyby zgromadzenie drukarzy obmyśliło potrzebne na wykłady fundusze.

Dobry w tej mierze przykład dało zgromadzenie rzeźników, które z uwagi, iż godziny zajęć w tutejszych szkołach niedzielno-rzemieślniczych są dla terminatorów tego cechu niedogodne, utrzymuje swoim kosztem własną szkołę.

= Kochina w Warszawie.

Czasopismo *Zdrowie* w ostatnim numerze zwraca uwagę na potrzebę podawania do wiadomości powszechnej, jakie rezultaty przyniosło dotąd stosowanie leczenia gruźlicy, w różnych jej formach, metodą Kocha, w szpitalach warszawskich.

Stosowanie metody rozpoczęło się w Warszawie około 20-go listopada, a w przeciągu miesiąca leczono za jej pomocą przeszło czterdziestu chorych.

Poczynione przez lekarzy obserwacje, doprowadzają redakcję *Zdrowia* do następnych wniosków:

„Jeżeli po upływie kilkunastodniowych, lub kilkudniowych obserwacyj, poważni autorowie pierwotnie rościli prawo do przyznania środkowi Kocha niewątpliwej djagnostycznej wartości, to dziś mają już obowiązek wyprowadzić wniosek, że znaczenie djagnostyczne jest żadne, lub co najmniej ustępuje miejsca innym znanym metodom rozpoznawania suchot.

Przewrotu w leczeniu gruźlicy płucnej środek nie wywołał i wogóle, w dzisiejszej formie, metoda Kocha w leczeniu gruźlicy na wydatnym planie postawioną być nie może.

„Że metoda ta przedstawia pewne niebezpieczeństwo w zastosowaniu i dlatego tylko *ex consilio* i w zakładach może być stosowaną.

„Ze względu zaś na jej wątpliwą wartość, obecne jej stosowanie w praktyce prywatnej, do szarlatanizmu zaliczone być winno.

„Że w pewnych wypadkach wilka, metoda wywołuje pewne zmiany miejscowe, że w niektórych z wypadków tych osiągnięto polepszenie (wyleczenia dotychczas nie otrzymano), gdy w innych wypadkach tejże choroby środek pozostał bez wpływu. Czy istnieje jaki specyficzny stosunek pomiędzy „brunatnym płynem” a wilkiem, przyszłość wykaże; w tym bowiem względzie zdecydują doświadczenia z innemi płynami, przy wilku stosowane, oraz ze środkami Kocha przy innych chorobach skórnych.”

= Wystawa środkowo-azjatycka.

Komisja reprezentacyjna wystawców z Królestwa Polskiego na wystawie środkowo-azjatyckiej w Moskwie otrzymała od komitetu centralnego tejże wystawy zawiadomienie, iż wystawcy tutejsi stanowić będą odrębny oddział z Królestwa polskiego, żaden jednak z wystawców tutejszych, nie przechodzący przez komisję tutejszą do oddziału tego przyjętym nie będzie.

Komisja tutejsza została upoważnioną do przyjmowania lub odrzucania okazów na wystawę przeznaczonych, a członkowie jej wchodzą do składu *jury* wystawowego, a to dla popierania interesów wystawców tutejszych.

Nadto komitet centralny zawiadomił, iż z uwagi na doniosłe znaczenie wystawy, przedłużył termin składania deklaracyj do d. 27-go stycznia, co jednak nie powinno wpływać na zwlekanie ze składaniem deklaracyj, gdyż z 1,500 arszynów przeznaczonych dla wystawców z Królestwa, pozostało wolnego miejsca już tylko 100 arszynów, kwadratowych—pośpiech zatem jest konieczny.

W końcu komisja, otrzymawszy ważne i szczegółowe wiadomości dotyczące wystawców tutejszych, prosi ich za naszem pośrednictwem o zgłoszenie się w dniu jutrzejszym, t. j. w piątek d. 2-go stycznia, o godzinie 8-ej wieczorem, do kancelarji, w której składali deklaracje.

= Bilety.

Kancelarja prezesa sądu okręgowego przysłała nam zawiadomienie następujące:

„Z powodu pogłosek rozpowszechnionych wśród ogółu, iż do sali posiedzeń sądowych na sprawę, wyznaczoną na dzień (10) 22 stycznia, publiczność dopuszczaną będzie za biletami, do prezydującego sądu nadchodzą prośby o wydanie i nadesłanie biletów w ilości znacznie przekraczającej objętość sali posiedzeń.

Dla uniknięcia nieporozumień z rozporządzenia J. W. Prezesa Sądu, kancelarja Jego podaje do wiadomości powszechnej, że dla publiczności mają być przygotowane bilety w ilości nie przenoszącej 150, że takowe nikomu rozsyłane nie będą, osoby zaś które wyraziły życzenie otrzymania ich, będą mogły odbierać je w kancelarji Prezydującego, od d. (7) 19 stycznia, że dla panów przedstawicieli adwokatury będzie przygotowanych nie więcej nad 50 biletów, dla pp. przedstawicieli prasy nie więcej nad 15, a 10 biletów dla pp. studentów wydziału prawnego, które zostaną odesłane do dyspozycji dziekana tegoż wydziału.”

= Ślizgawki.

Z powodu silnego mrozu, na ślizgawki w ostatnich dniach mniej uczęszcza osób, niż dni poprzednich.

Najwięcej faworyzowane są tory lodowe u cyklistów i w Nowej Szwajcarji.

Pierwsza większa zabawa wieczorna odbyła się wczoraj na Foksalu z udziałem licznych łyżwiarzy i łyżwiarek.

Cykliści, gdy mróz cokolwiek zelżeje, przygotowywują maskaradę na lodzie z wieloma urozmaiceniami.

= Na łyżwach.

Zamierzona oddawna wycieczka łyżwiarska po lodzie, pokrywającym Wisłę, przychodzi do skutku.

W nadchodzącą sobotę ośmiu łyżwiarzy wczesnym rankiem wyruszy od Solca w górę rzeki.

Jest zamiar dotrzeć do Mniszewa.

Będzie to więc pierwsza dalsza wyprawa łyżwiarska i jeżeli pomyślnie wypadnie, zachęci do wycieczek jeszcze dalszych.

Według opinji specjalistów, trwały lód nie grozi żadnem niebezpieczeństwem, a na środku rzeki niema obawy natrafienia na przeręble, które się robią tylko przy brzegach.

= Niezwykłe *autodafé*...

W tych dniach zdarzył się w naszem mieście niezmiernie charakterystyczny wypadek.

Do kawalerskiego mieszkania pana X. w dzielnicy placu Trzech krzyży, mówiąc nawiasem wykwitnie urządzonego, zjechały matka i ciotka z głębokiej prowincji.

Lokaj, umieściwszy panie, udał się na miasto poszukiwać pana X., aby mu oznajmić o gościach, których przyjazd był istotnie niespodzianką.

W parę godzin później gospodarz był już w domu, aby powitać matkę i ciotkę...

Powitanie jednak zamieniło się w awanturę.

Oto poważne niewiasty, rozglądając się po mieszkaniu, znalazły kilkanaście obrazów mitologicznej treści i wiele swawolnych fotografij.

Oburzone kobiety bez namysłu powykrawały z ram płótna, będące kopjami: Rubensa, Tycjana, Greuza itp.

Płótna te łącznie z fotografjami wrzuciły w ogień.

Pan X., pomimo szacunku dla matki i ciotki, nie mógł się wstrzymać od ostrych wymówek, które wywołały przykrą scenę i natychmiastowe wyprowadzenie się niewiast do hotelu.

= Kradzieże.

Z otworzonego wytrychem sklepu Szulima Müncberga przy ul. Wązki Dunaj pod nr. 20-ym skradziono różnych towarów łokciowych na sumę 100 rs. — Z młockarni Wajcberga skradziono wszystkie części składowe maszyny wartości 1205 rs.— Zamieszkałemu przy ul. Gęsiej pod nr. 55-ym Majerowi Berlinerowi skradziono garderobę wartości 100 rs. — Z mieszkania Marji Rosensztadt przy ul. Smoczej pod nr. 33-im skradziono różnych rzeczy na sumę 250 rs. — Z mieszkania Bajli Frejzingerowej przy ul. Dzielnej pod nr. 31-ym skradziono różną garderobę wartości 171 rs. — Zamieszkałemu przy ul. Siennej pod nr. 15-ym Feliksowi Nikolowi skradziono palto, pościel i garnitur wartości 182 rs. — Z mieszkania Jankla Millera przy ul. Brackiej pod nr. 8-ym skradziono różnych kosztowności na 200 rs.

= Pożary.

W dniu wczorajszym, o godz. wpół do 2-ej, w domu pod nr 109-ym przy placu Zamkowym na 2-em piętrze, od silnie rozpalonego pieca, zapaliła się podłoga.

Po przybyciu na miejsce oddziału ratuszowego straży, topornicy, przez wyrąbanie podłogi, ogień ugasili.

O godz. 4-ej po południu, przy ul. Nowolipki pod nr. 46-ym w domu p. Susmana, w piwnicy, pękła rurka gazowa i gaz, z niewiadomej przyczyny, zapalił się.

Przybyły na miejsce oddział nalewkowski bez żadnych następstw gaz ugasił.

W drażliwym sporze.

Z powodu ostatnich nominacyj w Towarzystwie kredytowem ziemskiem, wszystkie niemal dzienniki nasze zajęły stanowisko względem tych nominacyj opozycyjne.

Nie poprzestając na tem, *Słowo*, w numerze sobotnim, zamieściło artykuł, roztrząsający stosunek Tow. kred. ziem. do prasy i w energicznych słowach piętnujący opinje naczelnych władz tej instytucji, wrogo usposobionej wobec wszelkich głosów kontroli publicznej.

W odpowiedzi na ten artykuł, prezes komitetu Towarzystwa nadesłał do redaktora *Słowa*, p. Godlewskiego, list, który poniżej przytaczamy w całości, czynimy zaś to dlatego, iż w ważnej tej sprawie jest to pierwsze odezwanie się poważnego przedstawiciela instytucji.

Żałować wszakże należy, iż list szanownego prezesa zawiera tylko zapewnienia formalne, w samym zaś sporze drażliwym o niewłaściwości ostatnich nominacyj zgoła żadnych dla prasy wyjaśnień nie podaje.

Tak tedy ostatnie nominacje pozostają i nadal niczem nieusprawiedliwionemi, a spór otwartym...

Oto list, o którym mowa:

Szanowny panie redaktorze,

Wyznaję, że zgorszony zostałem artykułem p. t. „Jakiem prawem?”, zamieszczonym w nrze 228-ym *Słowa*. Najmniej spodziewać się mogłem podobnej na członków Towarzystwa napaści w piśmie, którego sz. pan jesteś redaktorem. Byłeś bowiem przez lat dziesięć radcą dyrekcji głównej i w jej pracach czynny i bardzo użyteczny brałeś udział. Znasz zatem dokładnie wewnętrzną organizację Tow. kredytowego ziemskiego i ducha, który niem stale od lat wielu kierował. Najprzód zatem widzę potrzebę upewnić pana, że od czasu nowych w r. b. wyborów nic się w tym względzie nie zmieniło.

Towarzystwo kredytowe ziemskie składa co pół roku sprawozdanie z czynności swoich; nadto wszelkie ważniejsze postanowienia, dotyczące ogółu stowarzyszonych i kredytu listów zastawnych, drukiem ogłasza. Czynności te rozbierać, uwagi przedstawiać, żądać objaśnień, jest prawem i nawet obowiązkiem osób, na straży dobra publicznego stojących; ale wnikać w pobudki wewnętrznego postępowania władz Towarzystwa, żądać wyjaśnienia szczegółów osobistości dotyczących, tembardziej mieszać się do nominacji urzędników, tego dziennik życzliwy dla Towarzystwa, a zwłaszcza przejęty właściwem zrozumieniem publicznego dobra, czynić nie powinien.

Władze Tow. kred. ziemskiego mają zawsze w gronie swojem mężów, którym dobro stowarzyszonych i kredytu ziemskiego leży bardzo na sercu; oni też czuwają i czuwać pilnie będą nad użyciem środków, zmierzających do spełnienia włożonego na nich przez współobywateli obowiązku.

Upraszamm sz. pana o zamieszczenie tego listu w najbliższy nrze *Słowa*.

Z prawdziwym szacunkiem

Ludwik Górski.

W Warszawie d. 29-go grudnia 1890-go r.

NOTATNIK TERMINOWY.

— D. 2-go stycznia, o g. 5-ej po południu, w Towarzystwie dobroczynności, odbędzie się posiedzenie członków wydziału sierot i ochron.

— D. 2-go stycznia rozpocznie się zapis dawnych uczniów, oraz egzamin nowych i przyjęcie tychże kandydatów do zakładu naukowego prywatnego męzkiego z oddziałem przygotowawczym Józefa Górskiego przy ulicy Świętojerskiej pod № 18-ym. Wykład nauk zacznie się d. 9-go t. m.

BAŃKI MYDLANE.

(Scena przedstawia świat cały. Sesja. Czas prezyduje.)

ROK 1890-ty.

Więc mych zamiarów wysłuchaj, ludzkości!
Naprzód ci pałac zbuduję z kryształu
I szczerozłote dam odrzwia i progi.
Potem zapalę pająków tysiące,
Aby ci było jasno i wesoło,
Wreszcie zgotuję ucztę Lukullusa,
Godną podniebień nie ludzi, lecz niebian.
A potem łoże wyścielę puchowe,
Byś mogła marzyć o rozkoszach rajskich.
Słońcu nakażę, by cię nie prażyło
I wichry zimne ogrzeję łagodnie!
A nadewszystko środkiem niezawodnym
Wygubię wszystkie strapień twych mikroby.
Dam ci to wszystko! Chcę bowiem być hojny
W dwunastym życia mojego miesiącu.

(Bije północ.)

CZAS.

Zawiąż, o roku, rzemienie sandałów
I żywo w drogę przygotuj twe sakwy,
Czas już, byś poszedł na łono wieczności...

ROK 1890-ty.

Natychmiast panie! Już idę! Już idę!
Niech tylko spełnię pierwej obietnice.
Oto zaczynam!... Masz tu, o ludzkości...

CZAS.

Halabardnicy! za kołnierz go weźcie
I wyprowadźcie poza kraniec świata.

(Halabardnicy biorą rok 1890-ty za kołnierz.)

ROK 1890-ty.

Gwałtu! choć chwilę!...

CZAS.

O halabardnicy.
Czemuż leniwie rozkaz mój spełniacie?...

(Halabardnicy wyrzucają rok 1890-ty za drzwi. Wchodzi rok 1891-szy.)

CZAS.

Witaj, o roku!

ROK 1891-szy.

Witaj, o ludzkości!

LUDZKOŚĆ.

Hej! Hej! paniczu. Papa twój przed chwilą
Miljony słodkich obiecał nam rzeczy.
Więc się do dzieła bierz szparko i dokończ,
Czego wykonać nie zdążył rok stary.

ROK 1891-szy.

Hm... Hm... doprawdy bardzo mi to przykro,
Alem ja na to, doprawdy, zamłody.
Dajcie mi, proszę, dwanaście miesięcy,
Abym połapać się mógł w sytuacji.
Wówczas, świadomy już celów i środków,
Zamiary papy w czyn wprowadzać zacznę.

CZAS *(na str.)*

A ja pachołkom wówczas wydam rozkaz,
Gdy znów dwunasta godzina wybije.
I znów *circulus* zacznie się *vitiosus*.

(Zasłona spada.)

W miejsce powinszowań noworocznych:

Na kasę wsparć wdów i sierot po farmaceutach.

Abramowicz rs. 2, Barcz rs. 3, Biertümpfel rs. 2, Borkowski rs. 1, Bukowski rs. 3, Dzierzkowski rs. 1, Dziechciński rs. 1, Ekerkunst rs. 2, Fijałkowski rs. 3, Francki rs. 2, Gessner rs. 2, Grabowski rs. 1, Gromadzki rs. 1, Gronau rs. 2, Habielski rs. 1, Hubert rs. 3, Jarnuszkiewicz rs. 2, Kamiński rs. 1, Karpiński rs. 3, Kaun rs. 2, Klawe rs. 3, Klicki rs. 2, Kościński rs. 1, Kuśmierski rs. 2, Kucharzewski rs. 3, Teofil Lewandowski rs. 1, Karol Lilpop rs. 2, Łopaciński rs. 1, Łękawski rs. 1, Manduk rs. 3, Mrozowski rs. 2, Mutniański rs. 3, Nawrocki rs. 1, Olsztyński rs. 2, Peel rs. 2, Rutkowski rs. 2, Russyan rs. 3, Szmidt rs. 1, Szymański rs. 3, Skomorowski rs. 2, Treutler rs. 2, Trzciński rs. 1, Urbanowicz rs. 1, Wenda rs. 1, Więckowski rs. 2, Wiorogórski rs. 1, Wróblewski rs. 2, Leonard Ziemiński rs. 1 kop. 50, Witold Ziemiński rs. 1 kop. 50, Teodor Tafiłowski rs. 1, sukcesorowie: Biehlera rs. 3, Borowskiego rs. 1, Heinricha rs. 3, Iwańskiego rs. 2, Thugutta rs. 2; Adam Chmielewski rs. 2.

Na wpisy dla biednych uczniów.

Tomasz Przyjemski rs. 1, H. M. Borkowscy rs. 3, Eugenjusz i Marja Łypaczewscy rs. 2, Adam Luer z żoną rs. 3, Stanisław Ćwikiel z żoną rs. 1, Wincenty Arndt rs. 3, St. Dołęga-Cieszkowski, współpracownik *Ziarna*, rs. 1, Leon Rosenbaum rs. 3, inżenier Wiktor Korabiewski z żoną rs. 2, Sadowski rs. 1, Konrad Olchowicz rs. 3, Jan Szlenker z żoną rs. 10, Leopold Meyer z żoną rs. 3, Seweryn Nelken z żoną rs. 2, Edward Nelken z żoną rs. 2, Gustaw i Antonina Korybut Daszkiewiczowie rs. 3, Kotarbiński Józef z żoną rs. 1, Wacław Orłowski rs. 1, Juljan Endler rs. 1, Aleksander i Stefania Michałowscy rs. 3.

Na kasę Mianowskiego.

Dr. Br. Chrostowski z żoną rs. 3, Gustaw Mann rs. 1, Czesław Tyszkiewicz rs. 2.

Na ochronę przy gminie ewang.-augsburskiej:

Wilhelm Henneberg z żoną rs. 5, A. C. Wolff z żoną rs. 2.

Na wdowy i sieroty po muzykach.

Władysław Hertz rs. 1.

Na Schronienie nauczycielek.

Ludwik Kwiatkowski, budowniczy, rs. 1, Antoni Michałowski rs. 1, Zygmunt Rowiński rs. 1, Józefa Zaborska z córkami rs. 1, Dominik Anc rs. 5, Juljan Zabokrzycki rs. 2.

Dla zakładu biednych matek.

Konrad Machczyński rs. 2, Żelisławski z żoną rs. 1, Klotylda i Feliks Schiele rs. 5, Maksymiljan Augustynowicz z żoną rs. 1, Kazimierz i Anna Schiele rs. 5, Józef Skibiński z żoną rs. 5, Tomasz Przesmycki z żoną rs. 2, Helena Baraniecka z synem Tomaszem rs. 1, Daniel i Cecylja Krausharowie rs. 3, Stanisławowie Piotrowscy rs. 5, Maksymiljan Glücksberg, adw. przys. rs. 3, Józef Jeziorański rs. 2, Romanowa Janikowska rs. 1, Józef Hildt z żoną rs. 1, Juljan Pruszyński rs. 1.

Na dom przytułku starców i sierot gminy ewangelicko-augsburskiej.

Zofja i Teodor Ludwigowie rs. 1, Gustaw Schlike z żoną rs. 5.

Na przytułek rekonwalescentów, wychodzących ze szpitali.

Jan i Cecylja Bersohnowie rs. 6, J. Lilienstern rs. 3.

Na budowę gmachu sztuk pięknych.

Władysław Kremky z żoną rs. 3, Ludwika i Bronisława Wiesiołowskie rs. 1, Tadeusz Średnicki rs. 1.

Na szkołę rzemieślniczą.

Henryk i Józefa Barylscy rs. 3.

Dla najbiedniejszych na opał.

W. Płoski rs. 1, Teodor Kiczorowski rs. 1, Gustawowie Starzyńscy rs. 2, M. Wiśniewski z żoną rs. 1, Wichliński kop. 50, H. Eisenberg rs. 1, A. Kociołkiewicz rs. 1, Alfredowie Tohn 50 kop., Artur Regulski z żoną rs. 2, Władysław Muśnicki rs. 3, T. Arkuszewski rs. 5, Stanisław Morozowicz z żoną rs. 1, Robertowie Herse rs. 3, Benigna Sawicka rs. 2, Kazimierz i Emilja Kopytowscy rs. 3, Aleksander Bębnowski rs. 3, K. Puchalski rs. 2, Juljusz i Joanna Wertheimowie rs. 10, Narcyz Maszewski rs. 2, Aleksander Pollack rs. 6, Julja Wiemann rs. 2, Edward Siwiński rs. 1, Henrykowie Wyganowscy rs. 1, Maksymiljan i Helena Chachamowiczowie rs. 1, Henryk Ehrenfried rs. 3, D. Grossman rs. 2, Aleksander Podowski inżynier rs. 1, Franciszek Wolffie rs. 3, Aleksander Haberbusch rs. 3, Wacław Kanigowski rs. 2, Paweł Wollenberg kop. 50, Bonawentura Teplitz rs. 3, L. Płaczkowski rs. 1, Piotr Maszyński rs. 1, Kazimierz i Kamelja Zielińscy rs. 1.

Dla staruszka ze Starego Miasta Nr. 16.

Florentyna Koskowska rs. 3, dr. Cz. Słupecki rs. 1, Józef Żabiński rs. 1.

Na kasę wdów i sierot po lekarzach.

Dr. Kryże rs. 3, dr. Józef Staszewski rs. 2, dr. Juljusz Witkowski rs. 1, dr. Zweigbaum rs. 2, dr. Maliszewski rs. 1, dr. Adam Przyborowski rs. 3, dr. F. Guliński rs. 1, dr. Ludwik Natanson z żoną rs. 5, dr. Tomasz Reutt rs. 2, Marjan Barcz z żoną, właśc. apteki rs. 5, dr. Teodor Borysowicz rs. 3, dr. Woźnicki rs. 1, dr. Anders rs. 3, dr. Woźnicki rs. 1, dr. Anders rs. 3, dr. Kulesza rs. 1, dr. Władysław Freudenson rs. 1, dr. Jan Gromadzki rs. 3, dr. Stanisław Kondratowicz rs. 3, dr. Adolf Rappel rs. 2, dr. Pruszyński z żoną rs. 2, dr. Józef Drzewiecki rs. 2, dr. Zyg. Kramsztyk rs. 3, dr. Wolkowicz rs. 1, dr. Józef Poznański rs. 1.

Na budowę kościoła św. Aleksandra.

Maksymiljan Augustynowicz z żoną rs. 1, dr. Gutsaw Fritsche rs. 3.

Dla pogorzelców z ulicy Dobrej.

Dr. Sipniewski rs. 2, Edmund Makowski z żoną rs. 5, Francuzka rs. 1, Edward i Bronisława Plewińscy rs. 2, Wandzia P. z własnych oszczędności kop. 50, T. Zydel rs. 1, Jan baron Lesser z żoną rs. 3, Maurycy i Jadwiga Kremky rs. 2, Juljusz Ksawery Held rs. 3, Tadeusz Czacki z żoną rs. 5, Juljuszowie Fechner rs. 3; — dla rodziny po ś. p. Markiewiczu i Osieckim w równej części: Jerzy Aleksandrowicz rs. 3, Wilhelm i Natalja Kukszowie rs. 2, Stanisław Krasuski z żoną rs. 3, Henryk i Aniela małż. Hoffmanowie rs. 5, hr. Ludwika Ostrowska rs. 6, S. M. rs. 1, Bolesław Żórawski rs. 1, Jakób i Helena Gieysztorowie rs. 2, Aleksander Austern z Bieszna rs. 2.

Na kasę wparcia drukarzy.

Fabjan Lewental z żoną rs. 1 kop. 50.

Na osady rolne.

Fr. Maternicki rs. 3.

Na przytułki nocne:

Dr. Funk rs. 2, Stefan i Joanna Okołów rs. 1, Karol Gottman rs. 3, Artur i Jadwiga Szaniawscy rs. 3.

Na kasę pomocy adwokatów.

Karol Dunin z żoną rs. 2, Leon i Eugenja Rotwandowie rs. 3, Edward i Zofja Grabowscy rs. 15, Aleksander Strachowicz rs. 3, adwokat Stanisław Leszczyński rs. 3, Marceli Kramsztyk rs. 5, Maksymiljan Glücksberg, adw. przys.. rs. 3, Leon i Laura Grabowscy rs. 5.

Na odnowienie kościoła ewang.-reformowanego.

Kazimierz Loewe rs. 3.

Dla wstydzących się żebrać.

Aleksander Łapiński z żoną rs. 5, L. Lefevre rs. 1 Marceli Szudrawski z żoną rs. 1.

Na zakład wychowawczy sierot po robotnikach.

Karol Adelstein z żoną rs. 3, Kazimierz i Jadwiga Ratyńscy rs. 3.

Na szpitalik dziecięcy.

Antoni i Kazimierz Połtawscy rs. 1, Józef i Marje Rotherowie rs. 3, A. Bełdowski z żoną rs. 1, Walerja Myszkowska rs. 3, Ludwik Śliwiński rs. 2, Maurycowie Bormanowie rs. 3, Dominik Anc rs. 5.

Na nędzę wyjątkową.

Stanisław i Julja Jaroszewscy rs. 2, inżenier Hipolit Cieszkowski rs. 2, Feliks i Franciszka Wojciechowscy rs. 3, Marja Lentzka rs. 15, Józef Weyssenhoff rs. 10, F. K. rs. 3, Ludwik Juściński rs. 1, Zofja i Feliks Czaccy rs. 10, Teofila Golcz i Izabela Zielińska rs. 3, Józef i Józefa Wiśniakowscy rs. 2, Paweł Wollenberg rs. 1, Juljusz i Leonja Winzerowie rs. 3, Danielowa Lesser rs. 3, Karol Deike z żoną rs. 5, Felicja Szebeko rs. 9 kop. 12, Aleksander Raubal rs. 1.

Na dom podrzutków.

Jan A. Brochocki rs. 1.

Na budowę kościoła WW. Świętych.

Juljan Pruszyński rs. 1.

Na ochronę Baudouina.

Karolina Kochanowska rs. 1.

Na zakład chorych nieuleczalnych.

Z. Bojarska rs. 3.

Na wpis dla Jana Górskiego.

Marja Saenger rs. 5, August Berg rs. 1.

Na kasę rzemieślniczą.

Roman Szewczykowski z żoną rs. 1, hr. August Potocki rs. 15, Ferdynand Woroniecki rs. 1.

Na warsztatаty rzemieślnicze przy Tow. subjektów handlowych wyznania mojżeszowego.

Edward Rejcher z Aleksandrowa -pogranicznego rs. 10.

Dla Matyldy Jabłońskiej kaleki.

Helena i Alfons Preissowie rs. 3.

Na gminę ewangelicko-reformowaną.

Emil i Wanda Weidlowie rs. 2, Jan i Adela Stern rs. 3.

Na nieuleczalnych chorych gminy ewangelicko-augsburskiej.

W. Dillenius z żoną rs. 3.

Na szwalnię nr. 5.

Aleksander i Melanja Rajchmanowie rs. 3, Ryszard i Amelja Schönfeldowie rs. 1.

Na kolonje letnie.

Kazimierz Natanson z żoną rs. 3, Maurycy i Lucyna Pusch rs. 2, Ryszard i Julja Scheller rs. 2, Leon i Emma Rappaportowie z Zawiercia rs. 2, Adolf Gins z żoną rs. 2, Teodor Paprocki księgarz rs. 1, inżenier Leopold Hantower z żoną rs. 5, J. Borzęcka rs. 1, Henryk Kozieradzki rs. 1.

Dla Towarzystwa dobroczynności.

Stanisław i Ludwik Kronenbergowie rs. 5, Aleksander i Teresa Radwanowie rs. 2, Henryk Natanson z żoną rs. 5, Leon Grosglik z żoną rs. 1, dr. Ludwik Natanson z żoną rs. 5.

Na kasę wsparcia podupadłych kupców.

Salomon Konitz rs. 3, Maurycy Luxemburg z żoną rs. 3, Adolf Peretz rs. 3.

Na paralityków.

Stanisław i Leokadja Cygańscy rs. 1, Bronisław i Helena baronostwo Lesserowie rs. 4, Konrad i Marja Wodzińscy rs. 3, Jan Alb. Krausse rs. 15, Aleksander i Emilja Jałowieccy rs. 3.

Na budowę kościoła na Pradze.

Romuald Piętka rs. 1, Teofil i Marja Łagunowie rs. 3, Z. W. Wichliński z żoną rs. 2, adw. Antoni Rembieliński z żoną rs. 3, Zofja i Włodzimierz Powichrowscy rs. 5, Arturowie Bardzcy rs. 5.

Na Przytulisko.

Stanisław i Marja Zahorowscy rs. 2.

Na zakład rzemiosł przy ulicy Składowej.

Kazimierz Leśkiewicz rs. 1.

— P. Leopold Kronenberg z małżonką nadesłał do kasy Towarzystwa dobroczynności rs. 100 do funduszu balu, na dochód ubogich przedmieścia Pragi urządzić się mającego.

— Na wpisy dla biednych studentów uniwersytetu łaskawie nam nadesłać raczyli: JW. Feliks hr. Sobański rs. 50, JW. Julja z hr. Potockich Branicka rs. 25, JW. hr. Józef Potocki rs. 25, JW. Julja bar. Zachert rs. 25, JW. Józefa z hr. Tyszkiewiczów Wodzińska rs. 20, JW. Stefanja hr. Moszyńska rs 1 i p. Woldemar Kozakowski rs. 1, za co przesyłamy serdeczne „Bóg zapłać". *Z. Korsak.—P. Górski.*

— *Sprostowanie.*—Na str. 4-ej, szp. 2-ej, wierszu 11 od dołu w bajce greckiej Henryka Sienkiewicza p. t. „Wyrok Zeusa" mylnie wydrukowano: „ludzie chcą być *oszukani*" zamiast, jak być powinno: „*oszukiwani*", zaś w tej samej szpalcie, wierszu 48, zamiast *Hera*, wydrukowano przez pomyłkę: *Hero.*

NEKROLOGJA.

† Ś. p. Emiljan Konarski,

zarządzający administracją „Kurjera Codziennego," przeżywszy lat 47, po długiej i ciężkiej chorobie przeniósł się do wieczności dnia 30 grudnia, o godzinie **9-ej i pół** wieczorem. Pogrążeni w smutku żona i dzieci zapraszają przyjaciół, kolegów i życzliwych na nabożeństwo żałobne, mające się odbyć dnia 2 stycznia 1891 r., o godz. **10-ej i pół** rano, w kościele św. Krzyża, a następnie na wyprowadzenie zwłok z tegoż kościoła, w tymże dniu o godz. **3-ej** po południu, na cmentarz powązkowski. —1723—

† W dniu 30-ym grudnia po długich i ciężkich cierpieniach zasnęła w Bogu, w 50-ym roku życia

ś. p. Julja z Suchodolskich KURELLA.

Nieutuleni w smutku matka, mąż, dzieci i rodzina zapraszają na wyprowadzenie zwłok z kościoła Wszystkich Świętych dnia 2 stycznia 1891 r., o godzinie **12-ej** w południe na cmentarz powązkowski, odbyć się mające. —4589—

† Ś. p. Wincenty Hryniewicz,

EMERYT,

opatrzony św. sakramentami, zasnął w Bogu dnia 30-go grudnia 1890 r. Stroskana rodzina zaprasza krewnych, przyjaciół i znajomych na żałobne nabożeństwo do kościoła św. Jana dnia 2-go stycznia 1891 r., t. j. w piątek, o godzinie **10-ej** zrana, oraz na wyprowadzenie zwłok w tymże dniu i z tegoż kościoła, o godzinie **3-ej** po południu, na cmentarz powązkowski.—4597

† Nabożeństwo żałobne za spokój duszy

ś. p. Edwardowej Leowej

odbędzie się w sobotę, o godzinie **10-ej** zrana, w kościele popaulińskim. —27—

† W dniu 4-ym stycznia w kościele św. Aleksandra, o godzinie **10-ej** zrana, jako w pierwszą bolesną rocznicę, odbędzie się msza święta za duszę

ś. p. Romana Frankenstein,

na którą pozostała w smutku żona i dzieci zapraszają rodzinę i znajomych. —4587—

† W sobotę, to jest dnia 3-go stycznia r. b., jako w pierwszą bolesną rocznicę śmierci

ś. p. ZYGMUNTA ŁEMPICKIEGO,

b. rejenta, w kościele Wszystkich Świętych, o godzinie **10-ej** rano, odprawiona zostanie za spokój duszy jego żałobna wotywa, na którą pozostała żona zaprasza krewnych i przyjaciół zmarłego. 2—4591—

† W dniu 3-im stycznia r. b., to jest w sobotę, o godzinie **8-ej** rano, w kościele powązkowskim odprawiona zostanie msza święta za duszę ś. p. **Bartłomieja Raczyńskiego**, a to z legatu przez niegdy Bartłomieja Raczyńskiego uczynionego, o czem rektor kościoła powązkowskiego interesowanych zawiadamia. —16—

Wszystkim tym, którzy raczyli przyjąć udział w smutnym obrzędzie odprowadzenia zwłok naszego ukochanego syna

GEORGE DOUGLAS'A,

niniejszem składamy serdeczne podziękowanie.

29 Nieutuleni w żalu

B. D. i Marja Fothergill.

Telegramy „Kurjera Warszawskiego".

Kalkuta 31-go grudnia. (*Tel. Ajenc. półn.*)— Jego Cesarska Wysokość Cesarzewicz Następca Tronu powrócił wczoraj do Bombaju i wieczorem udał się do Ahmadabad, gdzie przybędzie we czwartek wieczorem. W piątek Jego Cesarska Wysokość uda się do Todpor. Szczegóły podróży Jego Cesarskiej Wysokości do Radżputane nie są jeszcze określone.

Petersburg 31-go grudnia. (*Tel. Aj. półn.*)— Wczoraj zakończył życie admirał Kern, bohater Synopy, Sewastopola i uczestnik podbicia Kaukazu.

Odesa 31-go grudnia. (*Tel. Aj. półn.*) — Port zamarzł.

PODRÓŻ CESARZA WILHELMA.

Petersburg 31-go grudnia. (*Tel. Aj. półn.* — **Według telegramu, nadesłanego z Berlina do *Nowosti*,** cesarz niemiecki zamierza w ciągu lipca 1891-go r. odwiedzić Anglję i Szkocję.

NOWA SPÓŁKA.

Toruń 31-go grudnia. (*Tel. pryw. K. W.*)— Jest zamiar założenia „Spółki ziemskiej w Toruniu" dla Prus zachodnich. Projekt do ustaw i instrukcji na podobnych zasadach, na jakich pracuje spółka ziemska w Poznaniu, został już opracowany. Spółka ziemska znajduje się wobec Banku ziemskiego w stosunku klijenta do swego bankiera.

SPRAWA PARNELLA.

Londyn 31-go grudnia. (*Tel. pr. K. War.*) — Wczoraj O'Brien porozumiewał się z Parnellem. Rezultat niewiadomy. (*Aj. półn.*)

POWRÓT MILANA.

Petersburg 31-go grudnia. (*Tel. Aj. półn.*) — Do *Nowosti* telegrafują z Wiednia, że król Milan powraca do Belgradu. Redaktor gazety *Videlo* został oddany pod sąd za wydrukowanie memorjału królowej Natalji.

SPÓR Z PATRJARCHATEM.

Konstantynopol 31-go grudnia. (*Tel. pr. K. Warsz.*)—Trzej metropolici greccy udali się do pałacu sułtańskiego, celem doręczenia sułtanowi petycji o zadośćuczynienie życzeniom patrjarchy ekumenicznego. Poseł russki poparł tę prośbę przez pierwszego dragomana poselstwa, który wyraził przed sułtanem gorące życzenie posła, aby ze względu na zbliżające się święta żądaniom patrjarchy uczyniono było zadość. (*Aj. półn.*)

Petersburg 31-go grudnia. (*Tel. Aj. półn.*) — Z Konstantynopola donoszą, że patrjarcha ekumeniczny otrzymuje wiele próśb o otwarcie cerkwi na czas świąt Bożego Narodzenia.

UTARCZKA Z INDJANAMI.

Nowy Jork 31-go grudnia. (*Tel. pr. K. W.*)— Według najświeższych wiadomości, onegdajsza utarczka pomiędzy indjanami a wojskami związkowemi była bardzo uparta. Ze strony indjan zabito około 100 osób, wiele kobiet i dzieci. Strata wojsk amerykańskich wynosi 70 ciu zabitych i rannych. Indjanie wykonali napad już po rozbrojeniu. (*Aj. półn.*)

Berlin 31-go grudnia. (*Tel. pr. Kur. Warsz.*) — Dzisiejsza *Norddeutsche Allgemeine Zeitung* zaprzecza najkategoryczniej doniesieniu jednego z dzienników wiedeńskich, jakoby odwołanie Emina baszy nastąpiło wskutek żądania Anglji.

Berlin 31-go grudnia. (*Tel. pryw. Kur. W.*)— *Hamburger Correspondenz* donosi, że ks. Bismark zamierza oddać zarząd dóbr swoich Warcina, Schoenhausen i Schoenau swoim synom, sam zaś ograniczy się na administrowaniu majątkiem Friedrichsruhe.

Berlin 31-go grudnia. (*Tel. pr. Kur. W.*)— Ren pokrył się zupełnie lodem.

TELEGRAMY HANDLOWE.

Berlin 31-go grudnia. (*Tel. pryw. Kurjera Warsz.*)— Dzisiejsze zebranie giełdowe było również usposobione dość ospale, pomimo większej obfitości gotówki na rynku pieniężnym. Ruble i wartości russkie trzymały się dość słabo i wykazują pewne straty. Ruble w obrotach końcomiesięcznych osiągały około 1-ej i w chwili urzędowego notowania 238.25, zyskały zaś następnie 25 fen. W porównaniu z wczorajszemi kursami obniżyły się banknoty russkie w obu terminach o 50 fen. Warszawa krótkoterminowa gorzej o 90 fen., podczas gdy Petersburg krótki lepiej o 10 fen., a długoterminowy bez zmiany. Przekazy na Wiedeń notowane wyżej, krótkie o 30 fen. (178.60), długoterminowe zaś o 1 mar. (177.60). Listy zastawne ziemskie obniżyły się o 20 kop., a pożyczki wschodnie o 30 kop.; listy likwidacyjne nie uległy zmianie. Wyżej otrzymywano za 4% pożyczki konsolidowane russkie z r. 1880-go, i 4½% listy zatawne russkie, tyleż co i wczoraj za pożyczki premjowe russkie z r. 1864-go i kupony celne, mniej zaś za premjówki russkie z r. 1866-go i 6% russkie renty złote. Akcje kredytowe austrjackie notowano po 171.50, dyskonto prywatne tańsze o ¼% (4¾%). Żyto w towarze gotowym było bardzo silnie zaofiarowane i oddawane taniej o 3 m. 75 fen., a w towarze dostawowym podrożało o 50 fen.

Berlin 31 go grudnia. (*notowanie urzędowe giełdy*).

Bil. ban. rus. w tr. ust.	237.60	Akcje d. ż. war.-wied.	—.—
Weksle na Warszawę	237.90	Akcje kredytowe	171.50
Wek. na Petersb. krót.	237.30	Weksle na Lon. kr.	20.33[5]
Wek. na Petersb. dług.	236.50	„ „ dł.	20.15
Bil. ban. russk. na dost.	238.50	Żyto w tow. gotow	175.75
Wschodnia poż. II-ej	76.80	Żyto na wiosnę	170.25
Listy zast. serji I-ej	71.70		

Kursa z 30 go grudnia 238.10, 238.80, 237.20, 236.50, 239.—, 77.10, 71.90, —.—, 179.50, 169.75.

ŁAMIGŁÓWKA.

(DO NAGRODY.)

Z następujących liter: a, a, a, a, a, c, c, c, cz, d, e, e, e, e, ę, g, h, i, i, i, i, i, i, k, k, k, k, l, l, l, ł, n, n, n, n, o, o, p, r, r, s, ś, ś, sz, t, u, u, u, w, y, y, ułożyć następujące wyrazy:

Pierwszy wyraz to trunek co głowę odurzy,
Drugi znowu część ciała przyjmująca głosy,
Trzeci znany wędrowiec z dziwnych swych podróży
Którym zbyt fantastyczne kierowały losy;
Czwarty wyraz, to wynik jaką zgoda rodzi,
Piąty jest celem pragnień w życiu człeka całem,
Szósty znowu rozrywka, którą lubią młodzi,
Siódmy zaś samogłoska w znaczeniu zdrobniałem,
Ósme wreszcie znajdziecie w legominy rzędzie,
A cały, gdy go czytać ktokolwiekbądź będzie
Zestawiwszy frontowe i z końca litery,
Da nazwę zakonnika głośną, jak te ery
Któremi świat i ludzkość od wieków się chlubi,
A którego historja nigdy nie zagubi.

Nagród oznacza się trzy: dla Warszawy, prowincji i Cesarstwa z zagranicą.

Pierwszy, nadsyłający dobre rozwiązanie z Warszawy, otrzyma: „*Uranję*" Fiammariona;

pierwszy nadsyłający dobre rozwiązanie z prowincji otrzyma „Kartki z życia kobiety" Estei; wreszcie

pierwszy nadsyłający dobre rozwiązanie z Cesarstwa lub zagranicy dostanie „Bohaterki poezji polskiej" z ilustracjami Andriollego.

W razie równoczesnego otrzymania kilku dobrych rozwiązań, pierwszeństwo przyznane będzie rozwiązaniu wyciągniętemu losem.

Ostateczny termin przyjmowania rozwiązań upływa z dniem 15 stycznia, poczem w dniu 18 t. m. ogłoszone będzie rozwiązanie oraz lista dobrze rozwiązujących.

SPIS RZECZY

w Numerze Noworocznym *Kurjera warszawskiego*.

DZIAŁ LITERACKI.

—o—

DZIAŁ BIEŻĄCY.

Sprawozdania z targów.

Targ zbożowy na Pradze w dniu 31-ym grudnia. Dowozy były nieco większe, wynosiły bowiem 30 wagonów, usposobienie jednak niezdecydowane, a obroty mało ożywione. Żyto słabo, dowozów nie było, żądano za wyborowe 78 do 79 kop., za średnie 76—77 kop., ordynaryjne 74—75 kop. Owies mocno, dowieziono 26 wagonów, kupowano wyborowe gatunki po 72 do 74 kop., średnie po 69 do 71 kop., ordynaryjne po 63 do 66 kop. Jęczmień spokojnie 72 do 81 kop. stosownie do gatunku. Kasza jaglana słabo, ceny nominalne, bez zmiany.

Oleje i makuchy. Z dotychczasowego przebiegu wnioskować należy, że mocne usposobienie dla **olejów** i nadal takim pozostanie. **Oleju rzepakowego** dowóz z p owincji bardzo mały, tak że były chwile, iż brak na rynku naszym odczuwać się dawał, tranzakcji dokonano po rs. 4 do 4.05 i 4.10; na późniejszą dostawę żądają rs. 4.20. O **oleju lnianym** pisaliśmy na tem miejscu, że podrożał, dziś zaś donieść możemy, że podwyżka ta wynosi kop. 30 na pudzie, przewidują, że na poziomie tym nie pozostanie, bo Moskwa już dziś żąda rs. 4.25 na miejscu, co z doliczeniem frachtu czyni wyżej rs. 4.50. **Oleju rzepakowego** wcale sprowadzać nie chcą, bo cena jego wyniesie coś około rs. 5.40, obawiają się przeto czy w takich warunkach znajdą nabywców. **Olej słonecznikowy** nieco tańszy, to jest około rs. 4.90. Dla **makuchów** usposobienie nieco lepsze, ale pomimo tego brak nabywców dotkliwie odczuwać się daje. Za rzepakowe płacą stosownie do gatunku 65 do 75 za pud franco Warszawa, lniane droższe.

Metale. Z powodu przedświątecznej ciszy, ceny metali na rynkach zagranicznych prawie żadnym nie uległy zmianom.

Miedź, cyna, cynk i ołów jak w zeszłym tygodniu. Cena **surowca** poprawiła się nieco i notowano z końcem zeszłego tygodnia: Scotch 46,10, Midlesbro 43.2, Hematite 54.2.

Srebro podskoczyło na 49½ lecz spadło potem o ¼ d.

Łódź 27-go grudnia. — Płacono wczoraj na stacji towarowej za korzec rs. 4.40 do 4.50, owsa od rs. 2.25 do 2.40. Na Starym rynku za korzec pszenicy od rs. 5.70 do 6, za korzec żyta od rs. 4.40 do 4.50, owsa od rs. 2.35 do 2.60, jęczmienia od rs. 3.60 do 3.75, za centnar siana rs. 1 do 1.05, słomy 85 do 90 kop., koniczyny rs. 1 50 do 1.?5.

Libawa d. 26-go grudnia. — Żyto słabiej, (z gwarancja 120 funt. holenderskie) 75 do 75½ kop., owies biały słabiej, litewski suchy 62—63 kop., wyborowy od 62 kop., wyborowy biały 65—66 kop., w wysokich gatunkach 66—71 kop., owies szarpany (bez ości) 71—72 kop., dobry pstry 71½—72. Owies czarny w towarze gotowym słabo, w wysokich gatunkach 63—64 kop., zwyczajny 62—63 kop., owies czarno-pstry od 60 kop. Jęczmień bez zm., wyborowy kurlandzki 65—66 kop., litewski wyborowy 63—64 k., na paszę suchy 61—62, russki 63 do 65 kop. Pszenica bez nabywców, breczka słabo, z gwarancją wagi 100 funt. 75 kop., lżejsza 72—73 kop.; groch suchy słabo, na paszę 65 do 66 kop., suchy russki 67—68 kop., bób 71—72 kop., wyka litewska 60 do 62 kop., fasola biała 95 do 100 kop., siemię lniane słabiej, 101 do 118 kop., makuchy lniane 63 do 66 kop., makuchy konopne 45—49 kop., otręby pszenne mocno grube 58—59 kop., średnie 52—53 kop., litewskie 52—54 kop., otręby żytnie 53—54 kop., siemię konopne do 125 kop., lnica 85—92 kop. nominalnie za pud. Dowóz w dniu 24 i 25-ym grudnia wynosił 310 wag. żyta, 13 wag. jęczmienia, 360 owsa i 213 wagonów różnych innych towarów.

Toruń dnia 23-go grudnia. — **Pszenica** słabo, 126 funt. pstra 181 mar., 128 f. jasna 183 mar., 130 funt. jasna 184 do 185 mar. Żyto bez zmiany, 122 funt. 163 mar., 124/5 funt. 165 mar. Jęczmień browarny 140 do 150 mar., na paszę 119 do 123 mar., groch słabo, na paszę 116 do 119 mar. Owies 131 mar. do 135 mar. Wszystko za 1,000 kilogramów franco kolej włącznie z clem. Makuchy rzepakowe 5.05 do 5.15 mar. Makuchy lniane 5.50 do 5.60 mar. Otręby pszenne miałkie 4.00 mar. do 4.05 mar., jasne średnie 4.15 mar., 4.20 m., grube 4.30 m., 4.35 mar. Otręby żytnie 4.25 mar. do 4.40 mar. Wszystko za 50 kilogramów franco kolej.

Sosnowice 23-go grudnia. — Żyto w słabem usposobieniu, polskie 80 kop., russkie 76 do 78 kop. Pszenica słabo, biała 89¼—93½, żółta 88—92¼ kop. Owies bez obrotu. Jęczmień słabo, browarny 84⅓ kop., średni 70½ k., na paszę 63¼ kop. Groch Wiktorja 101¾ do 102½ kop., warzelny 77¼ do 91¼ kop., na paszę 63⅓ kop. Bób koński od 73 do 74¼ kop. Gryka wyborowa 77¼ kop., średnia 75¾ kop. Kukurydza stara 67½ kop., kukurydza nowa 65 kop. Siemię lniane wyborowe 135 kop., średnie 126 kop., zwyczajne 107⅓ kop. Proso od 61⅓ do 79½ kop. Makuchy konopianne od 51 do 52 kop., makuchy rzepakowe 74¼ do 77¼ kop., makuchy lniane miały zbyt trudny, 82¼ k. Siemię konopne 97½ do 103¼ kop. Rzepak 119¾ do 142½ kop. Otręby pszenne grube 54¾ kop. Otręby żytnie 59¾ kop. za pud.

Mięso. W ciągu ubiegłego tygodnia (do d. 28-go grudnia) Warszawa łącznie z Pragą spotrzebowała wołowiny 16156 pud., wieprzowiny 11989 pud., baraniny 141 pud., i cielęciny 816 pud., razem 29101 pud. Cyfra ta mniejszą jest od zeszłotygodniowej o 3050 pud. Ceny średnie i przeciętne za funt mięsa pierwszej dobroci były następujące: wołowego 12 kopiejek, wieprzowego 12 kop., baraniego 11½ kop., i cielęcego 14 kop., świeżej niesolonej słoniny 15½ kop. Inwentarz żywy płacono jak następuje: wół stepowy od rs. 68 do 104, krowa dojna od rs. 53, wieprz od rs. 15 do 38, baran średni od rs. — kop. — i cielę średnie od rs. 8 kop. 50. Średnie ceny za jedną sztukę skór suszonych były: wołowych 9 rs. — kop., baranich rs. 1 kop. —, cielęcych rs. 1 kop. 35 i końskich rs. 5 kop. 25.

Nafta. W ubiegłym tygodniu sprzedawano w Warszawie naftę po cenie rs. 1.08 za pud franco rezerwoar z akcyzą, bez beczki, a w Carycynie notują obecnie 74 do 75 kop. za pud, przy tendencji chwilowo trochę mocniejszej. Podwyżka ta spowodowaną została brakiem wagonów w Carycynie, zasadniczo bowiem sytuacja rynku nafty pozostała niezmienioną.

Surowe produkty browarne. Z powodu świąt dowozy **jęczmienia** w ubiegłym tygodniu były nieznaczne. Ceny pozostały bez zmiany. Za jęczmień dwurzędowy płacono rs. 3.80 do 4.30, za czterorzędowy rs. 3.60 do 3.80 za korzec. Obrotów w **słodzie** nie było żadnych. Za pud dwurzędowego żądano po rs. 1.90, za pud czterorzędowego po rs. 1.75. **Kwiatu** pud sprzedawano bez zmiany po kop. 60. W **chmielu** panowała zupełna cisza.

Cukier. Odesa 23-go grudnia. Odeski rynek cukrowy zachowywał się spokojnie. Od 1-go stycznia do 1-go listopada 1890 roku eksport cukru wynosił 438,483 pud. Notowano rafinadę: Brodzkiego po rs. 5 kop. 30 do rs. 5 kop. 35, hrabiego Bobryńskiego po rs. 5.25 do rs. 5 kop. 30, Gniewań od rs. 5 kop. 20 do rs. 5 kop. 25, Czerkaskiego rs. 5 kop. 25 do 5.30, fabryki Sobolówka po rs. 5 kop. 20 za pud. Mączka cukrowa krystaliczna po rs. 4 kop. 30 do rs. 4.35 za pud.

Wełna. Odesa dnia 23-go grudnia. — W ostatnich czasach dokonano na rynku odeskim sprzedaży 10,000 pud. pięknej wełny z nad Donu po rs. 8 do rs. 8.15 za pud. Aukcje wełny w Londynie zakończone zostały 5% zniżką względnie do cen końcowych aukcyj październikowych, a nadto pozostało niesprzedanych 12,500 bel. Zapotrzebowanie ze strony Francji nie było stałe i osłabło pod koniec aukcji. Co się tyczy rynku odeskiego, to nie mamy do zaznaczenia żywszego ruchu i nie przewidujemy większego ożywienia w handlu wełną.

Stan rynku zbożowego w Kijowie. Z Kijowa donoszą nam, iż interes zbożowy w ostatnich tygodniach zachował tam charakter spokojny. Na eksport nic zrobić nie można, gdyż stosunki obecne nie dopuszczają w tym względzie, pomimo obniżonego kursu rubla, żadnego rachunku; żyto osiąga w kraju lepsze ceny niż na eksport, a nadto zapasy żyta po wsiach są tak drobne, iż młynarze krajowi płacą wysokie ceny za żyto z dostawą na maj i czerwiec. Kijowski młyn parowy kupił dwie duże partje żyta z odbiorem o 30 wiorst od Bobrowicz, stacji kolei kursko kijowskiej, po 58 kop. na maj i czerwiec 1891-go r. Wywóz w ostatnich czasach ograniczył się głównie na pszenicy, z załadowaniem której spieszono się bardzo, gdyż z d. 1-ym lutego 1891-go r. zaczną obowiązywać podwyższone stawki frachtowe. Większość właścicieli ziemskich młóci teraz pełną siłą, ażeby módz wywiązać się ze swoich zobowiązań załadowania ziarna przed 1-ym lutego. Po tym terminie prawdopodobnie bardzo niewiele zboża na eksport pozostanie w stronach tutejszych.

Cukier. Według sprawozdania biura przedstawicieli fabrykantów cukru w Kijowie z dnia 17-go grudnia r. b., w okresie czasu od dnia 9-go grudnia do dnia 17-go grudnia r. b., dokonano na tamtejszym rynku cukrowym następujących tranzakcyj mączką cukrową krystaliczną: *Z kampanji 1890/91 r.:* w dniu 3-im grudnia 10,200 pudów z odbiorem na stacji Olszanica na styczeń-luty po rs. 4.15, z zapłatą przy odbiorze towaru i 10,200 pudów również na stacji Olszanica na maj-czerwiec po rs. 4.30, z zapłatą przy odbiorze towaru; w dniu 8-ym grudnia 20,000 pudów na stacji Kalinowka na grudzień po rs. 4.10, z zapłatą w dniu 22-im lutego i 10,000 pudów na stacji Tahańcza na styczeń-luty po rs. 4.15, z zapłatą przy odbiorze towaru; w dniu 9-ym grudnia 40,000 pudów na stacji Szpoła na styczeń-luty po rs. 4.15, z zapłatą przy odbiorze towaru i 20,000 pudów na stacji Holendry na grudzień po rs. 4.10, z zapłatą w dniu 22-im lutego; w dniu 10-ym grudnia 15,000 pudów na stacji Olszanka na maj-czerwiec po rs. 4.25, z zapłatą przy odbiorze towaru i 10,200 pudów na stacji Kijów na grudzień po rs. 4.30, z terminem zapłaty 6-miesięcznym; w dniu 12-ym grudnia 30,000 pudów na stacji Mironówka na grudzień-luty po rs. 4.12½, z zapłatą przy odbiorze towaru i 10,000 pudów na stacji Sucholasy na luty-kwiecień po rs. 4.22½, z zadatkiem 32½ kop.; w dniu 15-ym grudnia 15,000 pudów na stacji Tahańcza na styczeń marzec po rs. 4.15, z zapłatą przy odbiorze towaru. *Z kampanji 1891/2 r.:* w dniu 8-ym grudnia 30,000 pudów na stacji Zmerynka na wrzesień-listopad po rs. 4.25, z zapłatą 4 rs. w terminie 6-miesięcznym; w dniu 10-ym grudnia 30,000 pudów na stacji Wapniarka na wrzesień-listopad po rs. 4.22½, z terminem zapłaty po 6-ciu miesiącach; w dniu 11-ym grudnia 50,000 pudów na stacji, Olszanka na wrzesień-luty po rs. 4.10, z zadatkiem 25 kop. w maju i 75 kop. w sierpniu, oraz rs. 1 po 6-ciu miesiącach; w dniu 15-ym grudnia 30,000 pudów na stacji Zmerynka na wrzesień-styczeń po rs. 4.05, z zapłatą przy odbiorze towaru. *Na wywóz na zachód* sprzedano w dniu 14-ym grudnia 20,400 pudów z odbiorem na statku w Odessie grudzień-styczeń po rs. 2.90, wraz ze świadectwami akcyznemi. *Świadectw wywozowych* europejskich sprzedano: w dniu 9-ym grudnia na 15,000 pudów cukru na styczeń po rs. 1.55; w dniu 10-ym grudnia na 12,000 pudów na styczeń po rs. 1.55 i na 5,000 pudów na listopad po rs. 1.54; w dniu 14-ym grudnia na 30,000 pudów na marzec po rs. 1.55 i na 5,000 pudów na grudzień po rs. 1.52½ w stosunku puda. *Ceny rafinady* pozostały na grudzień niezmienione i wynoszą: rs. 5.30 towarzystwa rafinerji kijowskiej, rs. 5.30 hr. Bobryńskich, rs. 5.15 fabryki Gniewań, rs. 5.10 rafinerji aleksandrowskiej, rs. 5.10 rafinerji czerkawskiej i rs. 5.25 fabryki Trostjaniec za pud.

Odesa 23-go grudnia (rynek zbożowy). — Tydzień ubiegły odznaczył się ożywieniem, jakiego już bardzo dawno nie mieliśmy. Targowano około 101,800 czetwierti, z których większą część stanowiła pszenica ozima. Ruch ten na targu tutejszym trudnym jest do wytłumaczenia wobec niezbyt zachęcających wiadomości z rynków konsumpcyjnych. Zdaje się jednak, iż lepsza tendencja zaczyna mieć przewagę na rynku tutejszym o tyle, o ile kupiectwo przekonywa się, iż zapasy pszenicy ozimej w Europie nie przedstawiają się tak obficie, jak tego chciano dowieść. To pozwala nam mieć nadzieję, iż po świętach popyt będzie więcej ożywiony, oraz, iż ceny nie pozostaną na obecnym poziomie. Rozumowanie takie skłoniło niektórych naszych eksporterów do operacyj, celem skorzystania jednocześnie ze sprzyjającego kursu rubla i pomyślnych cen frachtów morskich. Pszenicę ozimą notowano: wyborową wagi 10 pudów rs. 1 do rs. 1.02, gatunki drugorzędne, wagi 9 pudów 35 funtów 94 kop. do 96 kop., gatunki poślednie wagi 9 pudów 20 funtów 86 kop. do 90 kop. Sandomierka po 92 kop. do 98 kop. za pud względnie do gatunku. Girka z okolic Aleksandrowska wagi 9 pudów trzymana jest po 92 kop., a ziarno z okolic Kachowki po 77 kop. do 79 kop. Żyto raczej spokojnie. Brak kupujących zmusza sprzedających do zniżania swoich żądań o 1 kop. na pudzie. Dziś ofiarowano ziarno wagi 9 pudów 10 funtów do 9 pudów 15 funt. po 76 kop. za pud. Zapasy na rynku odeskim są wciąż ograniczone, skutkiem czego przy pierwszem silniejszem zapotrzebowaniu, ceny żyta doznają zwyżki. Jęczmienia targowano około 39,200 czetwierti po 63 kop. do 65 kop. w śpichrzu. Możnaby jeszcze znaleźć nabywców na jęczmień, lecz posiadacze tego ziarna przeszkadzają obrotom swojemi zbyt wygórowanemi żądaniami. Kukurydza. Mamy do zanotowania słabą obniżkę cen kukurydzy starej, spowodowaną obfitem zaofiarowaniem ziarna nowego, którego kondycja zdaje się być dość zadowalniającą. Płacono za starą kukurydzę 61 kop. do 62 kop., podczas gdy ziarno nowe jest ofiarowane po 56 kop. do 58 kop.

Sprawozdanie meteorologiczne

z d. 31-go grudnia 1890 r.

(Według spostrzeżeń stacji warszawskiej.)

	Barom.	Wilgot.	Wiatr	Tem. C.	=	Temp. R.
D. 30-go g. 9 w.	768.8	100	W	—14.0	=	—11.2
D. 31-go g. 7 r.	768.6	100	W	—18.0	=	—14.4
" g. 1 pp.	767.1	85	WPd	—12.6	=	—10.0

W ciągu d. 30-go b. m.: Temperatura najniższa C.—15.6=R.—12.4; " najwyższa C.—11.1=R.— 8.0; Wysokość wody spadłej 0.0 mm.

— Zarząd Warszawskiej Gminy Starozakonnych podaje do wiadomości publicznej o wakujących dla biednych tutejszej gminy starozakonnych wsparciach z niżej wymienionych legatów, w zawiadywaniu zarządu gminy pozostających.

1) Z legatu niegdy Hersza Goldberga przypadają do rozdziału w rocznicę śmierci testatora 22 Szwat, to jest 19 (31) stycznia 1891 r., roczne procenta w sumie rs. 187 kop. 50, z których jedna połowa przeznaczona jest dla biednych krewnych testatora wyznania mojżeszowego, druga zaś dla biednych tegoż wyznania w ogóle z gminy tutejszej.

2) Z legatu niegdy Fajgi Morgensztern przypadają do rozdziału w rocznicę śmierci testatorki 19 Adar—Ryszon, to jest 15 (27) lutego 1891 r., roczne procenta, przeznaczone:

a) w kwocie rs. 400 dla biednych krewnych testatorki, pochodzących z Abrama i Chany z Goldmanów małżonków Goldman;

b) w kwocie rs. 50 dla obcych biednych mieszkańców m. Warszawy.

3) Od ofiary b. p. Anny Fonleib przypadają do rozdziału w rocznicę śmierci ofiarodawczyni 18 Adar—Ryszon, to jest 14 (26) lutego 1891 r., roczne procenta w sumie około rs. 140 przeznaczone na wsparcia dla biednych wdów wyznania mojżeszowego.

Osoby, pragnące ubiegać się o wsparcia z funduszów powyższych, winny wnieść do zarządu gminy podania, a mianowicie: z legatu niegdy Goldberga najpóźniej do d. 4 (16) stycznia, z legatu zaś b. p. Fajgi Morgensztern oraz z legatu niegdy Anny Fonleib najpóźniej do d. 1 (13) lutego 1891 r., z załączeniem poświadczenia ubóstwa, wydanego przez opiekuna ubogich wyznania mojżeszowego właściwego cyrkułu; biedni zaś krewni niegdy Hersza Goldberga i Fajgi Morgensztern, winni prócz tego przedstawić dowody, przekonywające o ich pokrewieństwie z testatorami.

Za prezesa, członek zarządu *L. Korngold.*
Sekretarz. *I. L. Grosglik.*

RĘKAWICZKI BALOWE

duńskie i glansowane 10 guz. „Sarah“ 150 kop., 12 guz. 170 kop.
„ „ 14 „ „ 195 „ 16 „ 225 „
poleca Fabryka i Magazyn **JÓZEFA LUKREC Tłomackie 3.**

Na podarunki ślubne!

Obrazy, akwarele, szkice najcelniejszych malarzy.
Wybór wielki, ceny niskie.
FRANCISZEK REINSTEIN
Miodowa 6. 4546

W ogrzewanym cyrku ul. Ordynacka:

Cyrk włoski M. Truzzi.

Dziś 1-sze nadzwyczajne przedstawienie w roku ***1891.*** Na zakończenie przedstawienia wielki ***obraz allegoryczny Nowego Roku 1891.***

Szczegóły w afiszach. Początek o godz. 8-ej wieczorem. 26r

— ***Gazeta losowań*** wychodzić będzie w roku 1891 ***w powiększonej objętości.*** Obok dotychczasowej treści zawierać będzie sprawozdania z giełd i rynków produktowych. Cena rs. 1 w Warszawie, rs. 2 na prowincji.
1705r Warszawa, Krakowskie-Przedmieście nr 51.

— Dr ***Szumlański*** przyjmuje z chorobami uszów, nosa i gardła od 4—6. Krucza 25. ***W Lecznicy*** (Senatorska 11) od 9½—10½. 4518

KOMITET

Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego

podaje do wiadomości pp. członków, że d. 3-go stycznia 1891-go r., tj. w sobotę, o godz. 10-ej wieczorem, w lokalu Towarzystwa urządzony będzie bal dla członków, ich rodzin i wprowadzonych gości.

Bilety wydawane będą w d. 31-ym grudnia i 2-im stycznia, tj. w środę i piątek, w kancelarji Towarzystwa, od godz. 8-ej do 10-ej wieczorem. Liczba biletów ściśle ograniczona. 1719r

---

Trwałość przeszło 10 letnia!

ANTONI PECH et C-ie
Warszawa—Nowo-Miodowa 1.
Główny Skład
Technicznych przyborów i Wyrobów Gumowych
Towarzystwa Russko-Francuskich Fabryk „Prowodnik“ otrzymał znaczny transport
„LINOLEUM“
(korkowe dywany różnokolorowe)
w rolach do wyłożenia całych pokoi, sklepów, biur itp.
4596
oraz
chodniki i dywany w pięknych deseniach.

100% ***Tańsze od Cerady***

POLECAMY
nowowprowadzoną
najlepszą

Herbatę Chińską

po 2 rs. za funt
firmy
W. Tryniszewski i S-ka
WARSZAWA
Senatorska 8 (w podwórzu). — 4600

Najem karet i powozów

M. KONOPNICKI i S-ka

Nowosenatorska 7, hotel Litewski,
poleca znane swe eleganckie ekwipaże wszelkiego rodzaju, oraz ***ekwipaże na gumowych kołach,*** specjalne ***karety ślubne*** i jako ***nowość KARETY OGRZEWANE.***

Wskutek rozsiewanych wieści, jakoby ceny z powodu elegancji moich powozów były u mnie wygórowane, zmuszony jestem nadmienić, ***iż ceny moje są takie same, jak ogólnie w remizach tutejszych praktykowane nie zaś wyższe,*** 14r

---

Kawior astrachański

bezpośrednio sprowadzany w najlepszych gatunkach w cenie po 2 rs. 75 kop. i po 2 rs. 40 kop. w kantorze ajencji handlowej ***W. Tryniszewski*** — Warszawa—Senatorska 8 (w podwórzu). 4599

— Massażystka ***Emilja Biernacka.*** Hoża nr 9, m. 46, przyjmuje od 1—4. 4582

Fabryka Kwiatów 4564

J. KOZŁOWSKIEJ

Krakowskie-Przedmieście nr 63,
poleca kwiaty po ***cenach umiarkowanych.***

— ***Joachim Peretz,*** p. adw. przys. przeprowadził się na ul. Krakowskie-Przedmieście nr 51. Przyjmuje do 10 zrana i od 5—7. 4575

436r ***Jeziorko*** pod Łomżą poleca swoją wódkę z traw nadnarwiańskich ***„Żubrówkę“.*** Skład hurtowy w Warszawie Krakowskie-Przedmieście 64

„CORICIDE“.

Amerykański plaster na odciski (niezawodny sposób pozbycia się takowych), poleca skład materjałów aptecznych ***Trzcińskiego, Urbanowicza i Różyckiego,*** Krakowskie-Przedmieście nr. 17, wprost kościoła po-karmelickiego.
Cena pudełka 35 kop. 4456

KOMITET

Kasy Pożyczkowej Przemysłowców Warszawskich

ma zaszczyt podać do wiadomości, że od 2 stycznia 1891 r. n. st. płacić będzie od sum lokowanych w kasie:

za 7-dniowem wypowiedzeniem 2½%,
za 3-miesięcznem wypowiedzeniem 4%,
za 6-miesięcznem wypowiedzeniem 4½%,
za rocznem wypowiedzeniem 5%.

Równocześnie postanowiono obniżyć stopę pobieranego procentu o pół od sta a od przekazów kolejowych (Nachname) pobierać 8% w stosunku rocznym. 1722r

---

— Składkę asekuracyjną od 5% Pożyczki Premjowej Russkiej z r. 1864 (pierwszej emisji), której ciągnienie odbędzie się 2 (14) stycznia r. p., ustanowiliśmy na 1601r

70 kop. od biletu,
Biuro Bankowe „Gazety Losowań“
w Warszawie, ***Krakowskie-Przedm. 51.***

Cement, Cegła ogniotrwała w 11 różnych kształtach i wielkościach i ***Glinka,*** angielskich, niemieckich i krajowych fabryk, zawsze na składzie u firmy ***Z. A. Krajewski.*** Kantor Bielańska 9 (hotel Paryzki). Telefon nr. 28. 3630

— Dentysta ***Zofja Gutzman*** wstawia zęby sztuczne, leczy, plombuje. Przyjmuje codziennie od 10—5-ej po poł. Zgoda nr 4, Szpitalna 3. 4560

NOWE KĄPIELE

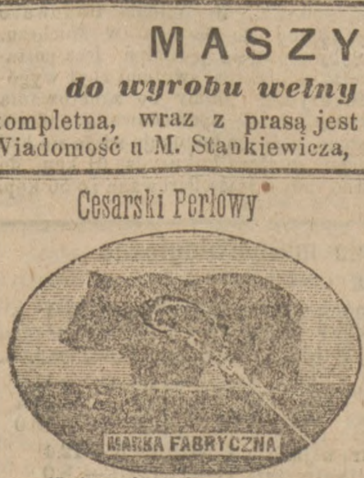
i prysznice

Marszałkowska nr. 114 (róg Złotej) Złota nr. 7/9 1352

MASZYNA

do wyrobu wełny drzewnej
kompletna, wraz z prasą jest tanio do sprzedania. Wiadomość u M. Stankiewicza, Wierzbowa nr. 1. 4557

Cesarski Perłowy



Myśliwski i Kapiszonowy

PROCHU

Główny skład i wyłączna sprzedaż na Królestwo Polskie hurtowo i detalicznie
B. RONCZEWSKI
Warszawa.
KRÓLEWSKA 31. 4509

Złote i srebrne

Zegarki Genewskie



wyłącznie pierwszorzędnych fabryk
poleca bardzo tanio zegarmistrz

JAN LAUTERBACH

NIKLOWE i STALOWE **143 Marszałkowska 143.** 1631r

SPECJALNOŚĆ.



ŁYŻWY

w wielkim wyborze tak męzkie, jak i damskie wszystkich systemów, ze stalowemi ostrzami, od rs. 1 za parę poleca

Fabryczny skład broni
i artykułów wszelkiego sportu
Roberta Ziegler
ul. Trębacka nr. 4, dom Szeiblera.
Cenniki ilustrowane na każde żądanie. 1711r

KORESPONDENCJA PRYWATNA.

— Do Gr.
Duszy mej kochanku,
Przyjm tego poranku
Życzenia. Proszę cię serdecznie,
A Motylka kochaj wiecznie! 4595

— Z Nowym Rokiem najserdeczniejsze życzenia wszystkiego dobrego—po książki jeszcze nie byłam. 4594 X. Z.

— Droga moja Różyczko! Kocham cię bardzo... bardzo. Chciałbym widzieć się z tobą we cztery oczy. Proszę o odpowiedź. Zmieniłem cokolwiek tytuł. Czy dobrze?—Twój Fijołek. 4588

Rozkład jazdy na kolejach żelaznych

POCIĄGI	Odch. godziny i minuty	Przych. godziny i minuty
Warszawsko-wiedeńska:		
I) Do Wiednia:		
Pospieszny 3 klasy	6 — r.	10 20 w.
Osobowy 3 klasy	10 45 r.	6 45 w.
Osobowo-miejsc. 3 kl. do Piotrkowa (Powyższe pociągi łączą się z koleją łódzką.)	5 35 p. p.	11 05 r.
Kurjerski I i II kl. (Wagony sypialne I-ej i II-ej kl. idą do Granicy, dalej tylko I-ej kl.)	9 20 w.	6 10 r.
I.) Do Aleksandrowa:		
Kurjerski I i II kl.	8 35 p. p.	2 20 p. p.
Osobowy 3 klasy	7 05 r.	9 40 w.
Osobowo miejscowy 3 kl. do Kutna	6 30 w.	8 35 r.
Warszawsko-terespolska:		
Poczt. (3 kl. od Łukowa do Brześcia)	3 45 p. p.	1 50 p. p.
Towarowo-osobowy 3 kl. do Brześcia	10 45 w.	7 01 r.
Towarowo-osobowy 3 kl. do Brześcia	9 30 r.	8 11 w.
Warszawsko-petersburska:		
Poczt. 3 kl. do Wilna, 2 kl. do Petersb.	9 53 r.	7 53 w.
Osobowy 3 kl.	11 13 w.	4 23 r.
Osobowy 3 kl.	4 58 p. p.	9 08 r.
Nadwiślańska do Kowla:		
Osob. (także do Dąbr. i Ostrowca)	11 15 w.	8 05 r.
Poczt. (także do Kielc i Koluszek)	3 30 p. p.	2 15 p. p.
Miejscowy do Lublina (także do Dąbrowy, Ostrowca i Koluszek)	7 45 r.	10 22 w.
Nadwiślańska do Mławy:		
Pocztowy	6 15 w.	11 15 r.
Osobowy	9 — r.	8 35 w.
Obwodowa z kolei wiedeńsk.:		
Osobowy	2 50 p. p.	2 57 p. p.
Obwodowa z kolei terespolsk.:		
Osobowy	2 14 p. p.	7 54 r.
Osobowy	8 12 w.	3 30 p. p.